

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/597

1997



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

M. WILK: ZAPISKI SOŁOWIECKIE (IV)

J. MONDRY:

**PRZYSZŁOŚĆ SOJUSZU USA-JAPONIA;
NATO, ROSJA A JAPONIA**

K. WOLICKI: PRZED MECZEM

SPIS RZECZY

Mariusz Wilk:	<i>Zapiski solowieckie (IV)</i>	3
Andrzej Koraszewski:	<i>Ethos urzędnika</i>	17

WIERSZE

Wojciech Kawiński:	<i>Prawie zmierzch, fragment obrazu</i>	24
Mira Kuś:	<i>Wahanie</i>	25
Adam Mencnarowski:	<i>Nicość</i>	25
Aldona Pienczęwska:	<i>Antrak</i>	26
Janusz Szuber:	<i>Stepując po sosnowych deskach</i>	27
Bolesław Taborski:	<i>Haust. – Jak Ifigenia. – Metamorfozy.</i> – <i>W teatrze</i>	28

ARCHIWUM POLITYCZNE

Janusz Mondry:	<i>Przyszłość sojuszu USA–Japonia; NATO, Rosja a Japonia</i>	31
Basil Kerski:	<i>Niemiecki kapitał w Polsce</i>	46
Tomasz Mianowicz:	<i>Bojówki Kociotka</i>	56

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Przed meczem</i>	61
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	71
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	79

SPRAWY I TROSKI

Piotr Skórzyński:	<i>Fala</i>	89
Anna Strońska:	<i>Czy rzecz cierpi?</i>	92
Piotr Daszkiewicz:	<i>„Końska” polityka Wspólnoty Euro- pejskiej</i>	97

SĄSIEDZI

Mieczysław Jackiewicz:	<i>Przez Grodno do Witebska</i>	100
Stefan Kozak:	<i>Czy Polacy i Ukraińcy sprostają wyzwaniu współczesności</i>	106
–	<i>VI Wschodnia Szkoła Letnia 1997</i>	110
–	<i>Działalność kulturalna na Rosję</i>	111

Z PERSPEKTYWY POGRANICZA

Krzysztof Czyżewski:	<i>Pomiędzy Timisoarą a Tîrgu Mures</i>	113
----------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Literatura „ratunkowa”</i>	121
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Kazimierza Traciwicz podróż do kresu mroku</i>	125
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Powieści pięciu pań</i>	128
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	135

WOLNA TRYBUNA

Andrzej Koźmiński:	<i>Kto wygra następne wybory?</i>	136
--------------------	---	-----

POLEMIKI

Kazimierz Karnkowski:	<i>Uwagi o artykułach Kultury</i>	151
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	154
D. Beauvois, St. T. Orłowski, M. Stępień, Z. Trojanowi- czowa –	<i>Listy do Redakcji</i>	157
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec/Juin

1997

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia szesnastej rocznicy śmierci naszego Męża i Ojca Stefana Strelcyna – Żona i syn Jerzy z rodziną (Manchester, Londyn)	F. 200,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna w szesnastą rocznicę Jego śmierci – Syn, Synowa i Wnuczka z Paryża	F. 150,00
Zbigniew Paweł Okołowicz, Millerton, NY (USA) – po raz 10-ty – dol. 76,00	F. 418,00
K. Steve Rasiej, Teaneck, N.J. (USA) – po raz 19-ty – dol. 34,00	F. 187,00
Marek i Adam V. Rudzcy z rodzinami, Forest Hills, NY (USA) – dla uczczenia dziesiątej rocznicy śmierci Ojca Adama Rudzkiego – dol. 200,00	F. 1.100,00
W siódmą rocznicę śmierci, 13 czerwca, Stefana Kopera – żona Zofia i syn Piotr, Arlington VA (USA) – dol. 100,00	F. 550,00

DZIĘKUJEMY

Zapiski sołowieckie (IV)

„Wydaje się, że każdy Europejczyk, jakiej by on nie był narodowości, zawsze łatwiej się nauczy innego europejskiego języka i wnuknie w duszę innej nacji, niż opanuje język rosyjski i pojmie nasze, ruskie sedno. Bo nawet ci, którzy specjalnie nas badali, dla jakich bądź celów (a i tacy tu bywali), i wkładali w to ogromny trud, wyjeżdżali stąd, choć i sporo wiedząc, lecz do końca nie pojmując wielu rzeczy i długo jeszcze nie będą ich rozumieć, ani w obecnych, ani w przyszłych pokoleniach”.

F. DOSTOJEWSKI, „Dziennik pisarza”, 1873

Jerzy Pomianowski utyskuje w *Kulturze* (1-2/1997), iż obraz Rosji, wyłaniający się z relacji polskich korespondentów, „przypomina film z migawkowych ujęć, sklejkę przed montażem”. Albowiem: „Mało kto i z rzadka pozwala sobie na spojrzenie ogólne, tym mniej – na prognozę”. I tak: „W rezultacie oglądamy drzewa, nie widząc lasu”. Co do filmu się zgadzam: obraz Rosji w polskich (i nie tylko polskich) relacjach w istocie przypomina sklejkę przed montażem, natomiast przyczyny takiego stanu rzeczy widzę inaczej. Las tylko z dala można zobaczyć, lub z wysoka. Na przykład: z lotu ptaka. Nie przeczę, taka perspektywa ma swoje zalety (ba, prerogatywy, bo zwalnia z konkretów) ale często bywa omylna i dym pożaru można wziąć za mgłę. By pojąć, co zagraża lasowi, należy drzewa obejrzyć, ich korę, choroby, pasożyty, układ korzeni i liszaje na liściach. Tak i z Rosją. Piszący o niej patrzą (na ogół) bądź z daleka – przez lornetę TV i gazet, bądź z wysoka – ze szczytów kremlow-

skich intryg. Zatem lepią kolaż z cudzych mniemań, lub łamigłówkę układają, w rodzaju szachowych końcówek: kto komu da mata i w ilu posunięciach. Bywają i tacy, co ów las przelatują, albo na samolocie, albo na ekspresie i fundują nam potem klaser z przeżroczami, bądź turystyczny bedeker po *goriaczim toczkam*. Rosja jest tak ogromna, że nie tylko umysłem jej pojąć nie sposób (Tiutczew), ale i życia mało, by ją przeżyć – całą. Stąd każda próba uogólnienia wypada błado, a prognozy trafiają jak kulą w płot. Albowiem najtężsi sowietolodzy wróżyli z fusów politycznych, ale puczu i rozpadu Sojuza żaden nie przewidywał. Zatem nie prognoz bym oczekiwał (w rodzaju: „Czy Rosja przetrwa do roku 2000”), i nie uogólnień, a faktów i zbliżeń. Rzecz jasna faktów nie byle jakich i zbliżeń nieprzypadkowych, ale to już inny temat – to sprawa rzemiosła. Gogol potrafił całą Rosję w jednym powieście pokazać.

Wźmy ruską banię, dla przykładu. Wszak to detal, a jakże symboliczny i bogaty w znaczenia. Już pierwszy ślad bani w ruskim piśmiennictwie jest charakterystyczny, bo związany z... relacją cudzoziemca! Otóż w „Powieści minionych lat” znaleźć można opis podróży apostoła Andrzeja po Dnieprze do Kijowa i dalej na północ, do Nowgorodu, a raczej do miejsca, gdzie Nowgorod potem zbudowano. (Nie zapominajmy, rzecz tyczy początków naszej ery). Tam, na Północy, św. Andrzej spotkał plemiona słowiańskie, poznał ich obyczaje i był wielce poruszony sposobem, w jaki się myją i chłuszczą brzozowymi witkami. O rozmiarach jego zdziwienia niech świadczy fakt, iż po powrocie do Rzymu o niczym innym nie mówił, tylko o bani w północnych krajach: „Zadziwiające rzeczy oglądałem u Słowian po drodze tutaj. Widziałem drewniane banie, rozpalone do czerwoności i ludzi w nich, rozebranych do naga, którzy się oblewali kwasem garbarskim, i unosili nad sobą witki młode, i bili sami siebie dotąd, aż z trudem wyłazili, ledwie zapiąc, i oblewali się zimną wodą, i tylko tak ożywali. I czynili to codziennie, przez nikogo nie przymuszani, i sami siebie dręczyli, mówiąc, że to nie męka, jeno ich ablucje”. Jeżeli przyjmiemy, że św. Andrzej

był pierwszym cudzoziemcem na Rusi, to jego opowieść o ruskiej bani możemy uznać za narodziny *genre'u*. (Niechaj nas nie kłopotczy fakt, iż włóczęga apostoła na Północ należy do mitów, wszak z mitologii literatura się zaczęła). Innymi słowy, ustęp o bani z „Powieści minionych lat” mógłby być prototypem wszelkich cudzoziemskich relacji o Rusi. A sama bania – metaforą... teje?

W ruskiej bani bywa tyle pary, że czasem trudno cośkolwiek tam dojrzeć – rzeczy wyłaniają się znieenacka, z kłębow wilgoci: to twarz, to zad, to miednica czyjaś... Latem był na Sołówkach mój przyjaciel z Polski. Reporter-fotograf. Był krótko, zaledwie tydzień (za to pstrykał wiele!), raz zatem zdążył bani popróbować, bo bania sołowiecka jest raz w tygodniu: w piątki dla kobiet, w soboty dla mężczyzn. Mój przyjaciel wrócił z bani pod wielkim wrażeniem i od progu jął opowiadać, co mu się tam przywidziało, a przywidzieć mogło się sporo, albowiem pamiętam swój „pierwszy raz”, kiedy para i mat zagęszczały pole widzenia, a brzęk stakanów w tumanie parni urastał do znamion uczt. Mój przyjaciel długo nie mógł przyjść do siebie, że nie wziął aparatu fotograficznego, bo raptem, zdaje się, pojął, dlaczego Swidrigajłow mówił o wieczności jako wiejskiej bani z pajakami po kątach. Niestety, polski reporter w bani na Sołówkach tylko rzeczy dojrzał – typy śmieszne, kawałki jakiegoś świata, szczegóły, których w żaden sposób nie mógł złożyć w całość, by rzeczywistość zobaczyć, a przy okazji siebie, w niej.

Na Sołówkach żyje ponad tysiąc ludzi, z różnymi biografiami – jakby z różnych światów wychynęli lub z różnych opowieści. Ale w bani myją się pospół, tu ich losy się krzyżują – w jednej parni. Tu muzyki z toni przyjeżdżają, by wypić pod świeżą rybę, i młodzi posłuszni tutaj czas mitrzą, wymknąwszy się spod oka czujnego monacha. Tu przychodzą zwolennicy reform i stronnicy silnej ręki, i prawosławni, i lewoskrętni, i niewierzący doszczętnie, a na jednej półce polegają i wory, i wolnonajemni, i byli zeka, i ich nadzorcy, i stróże porządku, i gwałciciele tegoż, i wszyscy goli. Jedni się chłuszczą witkami z brzozy, inni gałązkami

jałowca, a stary Doncow pękami pokrzyw, bo to na reumatyzm pomaga. Tu świeże plotki można pleść i na Czubajsa ponarzekać, i o rybach pogawędzić, i o babach, i o chorobach, i o nierobach... Bo bania na Wyspach i za klub służy, i za kafejkę, i za ambonę, i za trybunę. Tutaj agituja, prawią i knują, i popijają, i zagryzają. Sasza Pinagorski, dla przykładu, świeżo upieczony deputat, judzi tu naród przeciw Administracji, a łże-monach Dionizy pozaprzeszłym latem jątrzył ludzi na temat monastyrskich zberezeństw, aż się okazało było, że to raskolnik i wariat. W bani wieści się rozchodzą, jak para i jak para zasnuwają oczy. Tutaj wystarczy uszy otworzyć, by Rosję usłyszeć: jej szum i mat, i ból. – *Bania eto wtoraja mat* – mówi ruskie przysłowie.

Sołowiecką banię zbudowano w 1717 roku. Z dała poznać rękę monastyrskich mistrzów: kamienna budowla ogromnych rozmiarów, bardziej przypominająca spichrz, niż łaźnię. Wewnątrz dwie przestronne sale, rzędy ław, stopy cebrażyków, pod ścianami krany, na podłodze deski. Dalej parnia: zapach brzozowych witek, półki w trzy piętra, na najwyższym trudno wytrzymać, kamienny strop, kapie skroplona para, w kącie głazy, bucha żar. Obok drewniana przybudówka z późniejszych czasów, w niej rozbieralnia, wieszaki, zaduch. Banię zbudowano dla pątników i trudników, mnisi mieli swoją – w monasterze. Potem, za SŁON-a, zekom służyła, raz w tygodniu. Dzisiaj to zabytek architektury pod ochroną państwową, o czym głosi tabliczka nad drzwiami, i myjemy się tu wszyscy: od Głowy Administracji do ostatniego, zawszawionego bomża, i monachy z nami. Każdy ma swój czas i swoje miejsce na półce: jedni lubią o drugiej, zaraz po otwarciu (zwłaszcza mnisi i starcy), inni nieco później, kiedy para uszy zwija (młodzież, czynownicy, muzealnicy), a jeszcze inni przychodzą pod wieczór, po powrocie z rybałki (muzyki, bicze). Trzeba więc nieco pożyć na Wyspach i o różnych porach do bani zaglądać, by się rozeznać, jako tako. Mycie w bani to obrzęd – z całym rytuałem, akcesoriami, porzekadłami. I od razu tutaj widać cudzych, nieobytych. Na przykład: moich znajomych z Polski, którzy czasami, z ciekawości, próbują bani, lecz odwagi im starcza do wejścia, bo dalej, już rozebrani i wyraźnie skrepowani, myją się pośpiesznie, z rzadka korzystają z parni, jeszcze rzadziej z witek, i nie

ochłonawszy, chyłkiem się wymykają. Za to opowiadają potem niestworzone rzeczy. Jak ów reporter-fotograf.

Jakby na potwierdzenie moich słów o rosnącym zainteresowaniu Rosjan relacjami cudzoziemców o ich kraju, przysłało mi z Moskwy świeżo wydane „Zapiski o Moskovii” La Neuville’a, którymi Instytut Historii Rosyjskiej Akademii Nauk i Centrum Kształcenia Humanistycznego „Piotr Wielki” inaugurują nową serię wydawniczą: „*Rossija i rossijskoje obszczestwo glazami inostrancew, XV-XIX w.*”. W przedmowie czytamy: „Ich [cudzoziemców] relacje są niezastapione, albowiem w rosyjskich źródłach praktycznie brak analogicznych danych. Dlatego już od czasów Karamzina badacze rosyjskiej historii XV-XVIII w. systematycznie wykorzystywali cudzoziemskie zapiski, a informacje w nich zawarte przydawały spojrzeniu uczonych niezbędną stereoskopowość i wielowymiarowość. (...) Kardynalne reformy w Rosji końca XX-go wieku stawiają nowe zadania w jej stosunkach ze zjednoczoną Europą, a niedawne przyjęcie Rosyjskiej Federacji do Rady Europejskiej są kamieniem milowym w tym procesie, wymagającym pełnej i obiektywnej analizy doświadczeń historycznych. Oto dlaczego za główny kierunek naszej działalności naukowo-wydawniczej wybraliśmy program, poświęcony zapiskom cudzoziemców o Rosji i rosyjskim społeczeństwie XV-XVIII w.”. Znaczenie tej nowej serii, co podkreślają autorzy przedmowy, polega nie tylko na udostępnieniu czytelnikowi prac rzadkich, dawno lub w ogóle nie wydawanych w Rosji, ale także na opatrzeniu ich obszernym aparatem krytycznym, wykorzystującym aktualny stan wiedzy o epoce i autorze, oraz najnowsze metody analizy tekstu. I rzeczywiście, przyznać wypada, iż „Zapiski” La Neuville’a są wydane niezwykle starannie; w wersji dwujęzycznej, ze szczegółowymi komentarzami, indeksami, bibliografią i gruntownym wstępem, omawiającym ich zawikłane losy.

Od pierwszego wydania (Paryż, 1698) wokół „Zapisków o Moskovii”, krążyły gadki, poddające w wątpliwość zarówno wiarygodność relacji, jak i samo istnienie La Neuville’a. Już w 1713 niejaki Lenglet ogłosił, iż pod takim pseudonimem

skrywa się znany mistyfikator Adrian Baillet, a same „Zapiski” są zaledwie zręczną kompilacją, nie zasługującą na najmniejszą uwagę, bowiem wyszły spod pióra człowieka, który w życiu nie widział Moskwii. W obronie autentyczności La Neuville’a wystąpił niejeden autorytet (m.in. Wolter), lecz plotka puszczona przez Lengleta przeżyła do naszego wieku, tym bardziej, że w archiwach rosyjskich nie znaleziono żadnych śladów pobytu La Neuville’a w Rosji, a i sam autor „Zapisków” mnoży niejasności i w różnych kopiach rękopisu różnie swą podróż do Moskwii motywuje: to jeździł tam jako poseł polskiego króla, Jana Sobieskiego, to jako tajny agent dworu francuskiego. Na koniec dociekania uczonych udowodniły ponad wszelką wątpliwość istnienie La Neuville’a i fakt jego podróży, acz jej charakter (komu był służył?) – do dziś pozostaje niejasny.

La Neuville bawił w Rosji krótko, zaledwie pół roku, lecz zdarzenia, których był świadkiem, miały decydujące znaczenie dla dalszych dziejów Imperium: intrygi carówny Zofii, knowania Golicyna, bunt strzelców, zwycięstwo Piotra I w walce o tron. Przy czym autor „Zapisków” wyraźnie podkreśla (jakby był przewidział zarzuty o kompilację), że wszystko to widział na własne oczy, „bo miałem czelność, dla niepoznaki się przebrawszy, i po mieście łązić, i nawet w monastyr Troicki zaglądać”. Niektóre z faktów w „Zapiskach” budzą zastrzeżenia uczonych, albowiem nie znajdują pokrycia w innych źródłach historycznych (na przykład zamiar ucieczki Zofii do Rzeczypospolitej po nieudanym spisku), ale skądinąd wiadomo o powiązaniach La Neuville’a z jezuitami, więc niewykluczone, że czerpał informacje z tajnych materiałów zakonu. I być może celowo wprowadzał w błąd czytelnika, by ukryć konszachty z Jezusowym Bractwem i, tym samym, prawdziwe cele swojej misji w Rosji? Pewne światło tu pada z ustępów, w których autor „Zapisków” opowiada o księciu Wasylu Golicynie, z wyraźną sympatią. Ów faworyt carówny Zofii i faktyczny władca Moskwii w okresie jej rządów, uknuł był plan, wedle którego na patriarchę Rusi wybrać miano ojca Sylwestra (cytuje: „polskiego mnicha greckiej wiary, człowieka doświadczonego, który zrazu wysłałby posłów do Rzymu dla połączenia obu kościołów”), zatem, przy poparciu papieża zadowolonego przyłączeniem Moskwy

do Rzymu, sam Golicyn zawładnąłby rosyjskim tronem i przekazał go swojemu synowi. Przyjazd La Neuville’a do Moskwy mógł być związany z tymi planami. Warto też zauważyć, że Golicyn w relacji francuskiego podróżnika to najjaśniejsza figura w owym krwawym fresku, to reformator, próbujący oderwać Rosję od azjatyckiej tradycji i pchnąć ją w ramiona Europy i diametralne przeciwieństwo Piotra I, którego portret narysowano najczarniejszymi barwami, jako despotę i maniaka, wysyłającego ludzi na śmierć dla zabicia czasu.

Lecz nie intrygi polityczne i nie fakty historyczne (te można znaleźć i u rosyjskich autorów) stanowią o prawdziwej wartości cudzoziemskich relacji o Rosji (w tym także „Zapisków o Moskwii” La Neuville’a), ale detale: kolor północnego nieba, widziany oczyma Francuza, ruskie obyczaje, ich bania i jadło, ruska wiara, zabobon i życie. Podróżnik zwykle zwraca uwagę na rzeczy, których tubylec nie zauważa, przywykły do nich, toteż w postronnych opisach rosyjskiej przeszłości możemy zobaczyć wiele charakterystycznych cech dnia dzisiejszego, jak w twarzy dziecka na starej fotografii można dojrzeć rysy dorosłego, stojącego obok. Oto, dla przykładu, co La Neuville pisze o łapownictwie wśród stróżów porządku publicznego: „Dla zmniejszenia przestępczości zwiększono oddziały strażników, ale żołnierze, tak samo wyrachowani, jak i wszyscy pozostali, przychodzą po dokonaniu przestępstwa, po to tylko, by swoją dolę odebrać, tak że bandyci czują się tutaj bezpiecznie. Ba, tu codziennie znajdują na ulicach ludzkie trupy i nikt się temu specjalnie nie dziwi”. Rosja gorszyła Francuza wieloma rzeczami: i wódką, osuszaną tu czarkami na każdym kroku (i na każdej stronie „Zapisków”) z chwilą przekroczenia granicy, i karą knuta, opisaną tu z dokładnością do każdego kawałka mięsa, wyrwanego rzemieniem, i kobietami bez skrupułów i bez zahamowań, i brudem, i wiarołomstwem, i naruszaniem praw człowieka... Cóż, im więcej czytam relacji cudzoziemców o dawnej Rosji, tym mniej mnie dziwią trupy na ulicach dzisiejszej Moskwy, zbrodnie puszczone płazem (zabójstwo Mienia, Chołodowa czy List’iewa), korupcja, mafia. Jedyne, co mnie jeszcze zadziwia, to to, że inni się dziwią.

27 marca

Na Sołowkach znowu *wieczje* (tak dawniej na Rusi zwano zgromadzenia ludowe) w ramach kolejnej ogólnorosyjskiej akcji protestu (o poprzedniej, listopadowej, pisałem w *Kulturze* 3/1997). Ludzie inni, niż jesienią. Wtedy dominowały babki, wzburzone, że emerytur nie dają, dziś przyszli robociarze w waciakach, wściekli. Rozpoznają muzyków z elektrowni, są też komunalszczyki, którym nie płacą od maja, paru osiłków z Leschoza i straż pożarna w komplecie. Z boku milicjanci – Gołowczak, Jabłoński, Kulbida. Muzyki niby żartują, że jeśli menty broń oddadzą, to unikną pokusy strzelania do ludzi, lecz uśmiechów na twarzach nie widać. Tłumek się zbiera, kłębi. Popluwają, pomrukuje. Znacznie groźniej to wygląda, niżli w listopadzie, bardziej serio. Do drzwi Administracji przybijają plakaty, na szarym pakowym papierze czerwone bukwę:

Ordajtie nam naszi dien'gi!

Nie lezcie w naszi karmany, oni pusty!

Browin, nowy mer Sołówek, nie kazał na siebie czekać. Punktualnie o dziewiątej wyszedł do ludzi. Wtedy, jesienią, był jednym z nich, w takim samym waciaku, w podobnej uszance, a teraz w kurcie puchowej, w czapie z jenota, z plikiem papierów. Wówczas gardłował przeciw, dziś... póki co, milczy i spode łba popatruje. A lud coraz głośniejszumi: dawajcie! – krzyczą – zaczynać! Ale kto ma zaczynać, i co? Nikt nie wie. Więc wypychają, jeden drugiego: to związkowca z elektrowni, to naczelnika z Leschoza. Do mowy nikt się nie kwapi. Wreszcie Browin wziął inicjatywę we własne ręce. (Potem, w komentarzach TV, lektorzy często podkreślali współudział władz różnego szczebla w masowych akcjach protestu...).

Zaczął od tego, że pieniędzy nie ma i nie będzie, jeśli sami ich nie zarobimy. W *oblasti* mówią o nas: *nachlebnyki* (ci, co żyją na proszonym chlebie). I rzeczywiście, zaledwie 3% budżetu Sołówek wypracowujemy na miejscu, reszta, 97% przychodzi w ramach dotacji. Dłużej tak być nie może. Nowa Administracja przygotowała już program wyjścia z kryzysu. Przede wszystkim: podatki. Należy zaostrzyć kontrolę

ich zbioru, bo firmy, zarejestrowane na Wyspach, albo nie płacą podatków wcale, albo je odprowadzają do *oblasti*, gdzie nasze ruble wsiąkają. Zaczniemy też brać opłaty za arenę pomieszczeń municypalnych od przedsiębiorstw, które dotychczas były z nich zwolnione: z poczty, z fermy, ze sklepów posiołkowych, z Leschoza. Dalej: stawiamy na turystykę, zwłaszcza na cudzoziemców, to „żywe dolary”. W tym celu władze Sołówek zamierzają wziąć usługi turystyczne w swoje ręce (czyli: zmonopolizować je!), aby miliony rubli nie rozpełzały do prywatnych kieszeni tylko szły na dobro narodu sołowieckiego. A komu się to nie podoba, tego podatkami zadusimy. Wreszcie, biorąc pod uwagę ogólnorosyjskie znaczenie sołowieckich zabytków, oraz samej przyrody Archipelagu, żądamy funduszy na ich utrzymanie z budżetu federalnego. Tyle program Administracji. Rzecz jasna, wszystko to kwestia bliższej lub dalszej przyszłości choćby dlatego, że sezon turystyczny rozpoczyna się dopiero za trzy miesiące. A jeśli się chce już dziś! Sytuacja na Wyspach jest skrajnie trudna. Brakuje podstawowych lekarstw, ceny rosną horrendalnie, byle główka kapusty kosztuje majątek (7-8\$). Najtańszy produkt to wódka (niecałe 3\$ za butelkę), nie dziw więc, że naród się spija. Bicze z głodu okradają kartoflane jamy. Dzieci żebrzą po domach. Jesteśmy w pułapce. Bilet na samolot w jedną stronę kosztuje pół miliona (prawie 100\$) – kto może sobie nań pozwolić? A ostatnio, za długi, wyłączają TV i radio, pozbawiając naród jedynej, oprócz wódki, rozrywki. Dawniej człowiek mógł, choćby na chwilę, uciec od sołowieckich śmietników w syty świat „Santa Barbary”, a teraz na ekranie... migotliwa szara kasza. Dlatego Administracja przygotowała pismo do Prezydenta Federacji Rosyjskiej od narodu Wysp Sołowieckich, w którym...

– *J... twoju mat', chwatit waszych pis'm* – ryknął Żeńka Kozłów.

– *Wszech pod sud, i Jelcyna, i Czernomyrdina, i Czubajsa* – dorzucili z tłumu

– *Njurnberg im ustroit'...*

– *Rassrielat'...*

Młody Kozłów wyszedł na środek. Masywny, posiniąły od złości i mrozu. Zaczął od tego, że milicja już ma nań oko, rzekomo za podburzanie ludzi, niezgodne z prawem. Ale on

się pyta, czy niewypłacalność państwa jest zgodna z prawem? Czy za to nie powinno się karać? Dlatego proponuje dać ultimatum: albo zaległe pieniądze, co do kopiejki, będą wydane do 1 maja, albo sami je weźmiemy. Gdzie? Poszukamy u komersantów, zwłaszcza u tych, którzy podatków nie oddają. Lecz zaczniemy od tego, że broń odbierzemy u mentów, by im do głowy nie strzeliło...

– *Da zdrowstwujet, Albania!*

– *Ura!*

Poza dwoma, trzema jawnie zacierzwionymi, reszta niby żartowała, aczkolwiek nie ręczyłbym za granicę między śmiechem i gniewem. Dawszy upust wzburzeniu, naród powoli się rozchodził, tym bardziej, że minęła dziesiąta i sklepy z wódką otworzyli. Na placu przed Administracją został Browin, Podkorytow, milicjanci i ja. Podkorytow zaczął czytać posłanie od narodu Wysp Sołowieckich do Prezydenta Federacji Rosyjskiej...

Red. Giedroyc przysłał mi *Russkuju Mysl'* (z 27 marca) z wywiadem Sołżenicyna dla programu „Itogi” (23 marca), którego nie widziałem, bo kanał NTV na Sołowki nie dociera. Redaktor pisze, że wypowiedź Aleksandra Isajewicza dosyć go przestraszyła, czym mnie zaintrygował. Przeczytałem raz, i drugi. I nie poruszyło. Widać przywykłem do tutejszych strachów.

Sołżenicyn mówi o głębokim rozłamie rosyjskiego społeczeństwa na znędzniały naród i gromadkę (w oryg. *kuczku*) łupieżców, do których zalicza zarówno władzę, jak i nowobogackich, nie szczędząc im epitetów typu: drapieżniki, brudnołapy. Według Aleksandra Isajewicza dzisiejszy rozłam jest głębszy, niżli był przed rewolucją lutową, a wszelkie „pakty pojednania i zgody” między władzą i opozycją niewiele będą znaczyć wobec gniewu mas nędzarzy. Ci, którzy myślą, iż wystarczy pojednanie partii władzy z partiami opozycji dla zażegnania konfliktu, nie pojmują grozy sytuacji. Jedyne, co może zapobiec krachowi, to zgoda między ograbionymi i grabieżcami, a tę można uzyskać tylko wtedy, kiedy grabieżcy oddadzą zgrabione. Oddadzą? Ba...

Dalej Sołżenicyn mówi o „przechowaniu narodu” jako jedynej nacjonalnej idei na najbliższe 20-30 lat, mogącej zjednoczyć wszystkie narody Rosji i wszystkie warstwy społeczne, oprócz, rzecz jasna, drapieżników i brudnołapów. Principium „przechowania narodu”, jego zdrowia, oświaty, kultury i tradycji, powinno być głównym kryterium przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji czynowniczych, prawem wyższym niż konstytucja. Idea nienowa, 250 lat temu Piotr Iwanowicz Szuwałow ją sformułował, lecz ani kolejni carowie, ani potem bolszewicy jej nie realizowali. Sam Aleksander Isajewicz przypomniał o niej w broszurce „Kak nam obustroit' Rossiju”, wydanej siedem lat temu w 27 milionach egzemplarzy. Niestety, cisza...

Zatem Sołżenicyn mówi o „regionach”, jak dzisiaj nazywają rosyjską prowincję. Jej głównym problemem jest brak samorządności. Dopóki „regiony” nie będą miały własnych finansów, dopóty samorządy będą fikcją. Zależność od zapłaty wydzielanej przez władzę z góry, przekreśla wszelką niezależność inicjatyw od dołu. Kolejne Dumy wydają kolejne ustawy o samorządach terytorialnych, ale pożytku z nich mało. Aleksander Isajewicz objechał 26 guberni i wszędzie napotykał energicznych ludzi z inicjatywą, niestety ich energia uchodzi na walkę z administracyjną ścianą...

I na koniec Sołżenicyn narzeka na rosyjską TV, że go tam blokują...

Teraz pojąłem, rekapitulując, dlaczego mnie to nie rusza. Rzeczy, o których mówi Aleksander Sołżenicyn, znam z autopsji, na co dzień. Pod każdym ogólnikiem wielkiego pisarza dostrzegam konkrety, za oknem. I, proszę mi wierzyć, świat za oknem nie tylko mocniej mnie porusza, niż rozmyślanie pisarza, lecz także bardziej jest skomplikowany. Obraz Sołżenicyna, jak każdego proroka, bywa tendencyjny i namiętny, czasami jawnie pod tezę skrojony. Choćby ów podział na ograbiony naród i gromadkę łupieżców. Skąd to deminutivum? Toż gołym okiem widać, że to nie gromadka, a wielka horda żulików, kombinatorów, łapówkarzy, tudzież zwykłych worów, panoszących się wszędzie, od metropolii do ostatniej gminy, jak Rosja długa i szeroka. Linie podziałów na biednych i nowobogackich poprzerynały cały kraj, w byłe Kiemi swojska mafia buszuje. Proces *prichwatizacji* objął

posiołki, kołchozy i tonie, tu rozbierają wszystko: od cegieł, rur i klepek do drzewa w lesie. Bezprawnie wyławiają tony ryby z morza, wyrzynają reny, wydzierają trawę z dna morskiego, a potem jedni wszystko przepijają, inni zaś w biznes inwestują, czyli w tak zwaną *kommerciju*. Ot wam i komersanci, przeciw którym młody Kozłow naród podburzał na ostatnim mitingu, krzycząc o oddawaniu. Aleksander Isajewicz też mówi o oddawaniu, tylko nie dopowiada, jak to zrobić... Albo idea „przechowania narodu”. Niewątpliwie słuszną, tylko, hm, co myśleć o przechowywaniu narodu, kiedy pochować go nie ma w czym. Starego Niłowicza tydzień w kostnicy trzymali, bo desek na trumnę nie było. Ludzi tu więcej umiera, niż się rodzi. Bo żeby żyć, trzeba jeść, a nie pić. Sześć lat temu, kiedy tu przyjechałem, wódka kosztowała 13 rubli, a bochen chleba 20 kopiejek, czyli za pół litra można było kopę bochenków kupić, a dzisiaj za jedną butelkę jak za trzy chleby płacisz. O szkole, służbie zdrowia, czy kulturze lepiej nie wspominać... Lub prowincja. Czy rzeczywiście problem samorządów jest tu najważniejszy? Śmiem wątpić. Co prawda nie objechałem aż 26 guberni, ale wystarcza mi parę tuzinów pomorskich wiosek, które co roku odwiedzamy z Wasią na jachcie, chodząc wzdłuż brzegów Białego morza. Tam nie ma kolei, ani dróg, ani lotnisk, tam żadni pisarze nie jeżdżą. A ludzie tam myślą nie o samorządach, tylko chcą uciec stamtąd, jak najdalej. Samorządności terytorialnej też mam okazję się przyglądać, bo właśnie nowy Sowiet Deputatów na Wyspach wybrano i często bywam na jego posiedzeniach. Na pierwszym deputaci zatwierdzili nowy etat dla sekretarza Sowietu i jeszcze dwa etaty dla Administracji... I na koniec TV. Sołżenicyn się żali na blokadę. W '95 Aleksander Isajewicz występował na ORT, głównym kanale rosyjskiej telewizji, co dwa tygodnie po piętnaście minut. Potem audycję zlikwidowano, trudno powiedzieć, czy dlatego, że była nudna, jak uważa wielu, czy dlatego, że za ostra, jak sam pisarz twierdzi. Mam w ręku książkę „Po minutie w dzień”, która jest zapisem owych biesiad i stwierdzam, że w wywiadzie dla „Itogow” Aleksander Sołżenicyn nic nowego nie powiedział. Zapewne, sprawy o których mówił i tu, i tam są ważne, ba – zasadnicze i wciąż, i wciąż należy o nich powtarzać, ale publiczność woli

urodziny Ałły Pugaczowej, lub teleturniej „Polie czudies”. Nikt Kassandry w TV nie lubi...

Na początku XX wieku, w lipcu 1909, Wasilij Wasiliewicz Kluczewskij zapisał w swoim „Dzienniku” cały szereg uwag na temat zacofania państwa rosyjskiego w stosunku do Europy Zachodniej i niebezpieczeństw zbyt pośpiesznych reform. Albowiem nauki przenoszone z Zachodu na rosyjską ziemię – wedle Kluczewskiego – zwykle okazywały się bezpłodne w zetknięciu z obcymi sobie pojęciami i porządkami żywioowymi, a nie znajdując zastosowania w praktyce, stawały się zabawką dla próżnujących umysłów. Pogoni Rosji za rozwiniętymi krajami Europy Zachodniej zawsze towarzyszyły zjawiska, do których Kluczewskij zaliczył:

1. Pojawienie się nowych zajęć, wymagających pośpieszenia zebranych informacji, zatem preferencja półwykształconych dyletantów;

2. Oddalenie się owej klasy dyletantów od narodowej masy, nie umiejącej tak błyskawicznie przyswajać sobie nowych zajęć i pojęć;

3. Pustka światopoglądowa (nihilizm) powstała z rozpadu starych ideałów i zasad żywiowych, przy jednoczesnym braku nowych, których nie sposób sformułować z chaotycznych elementów importowanych ideologii, obcych rodzimym tradycjom.

Dwa lata później, w styczniu 1911, Kluczewskij wraca do tematu i notuje: „Im bardziej się zbliżamy do zachodniej Europy, tym mniej u nas swobody narodowej, bowiem środki zachodnio-europejskiej kultury, popadając w ręce nielicznych, obracają się w narzędzia, wygodne do ochrony interesów wąskiej grupy społecznej, a nie na pożytek ogółu i zwiększając rozwarstwienie socjalne, służąc do różnorodnej eksploatacji bezbronnych kulturowo mas, obniżając zarazem ich społeczną świadomość i budząc nienawiść, czym ich do buntu popychają, a nie ku swobodzie”.

Dzisiaj, pod koniec XX wieku, Rosja znowu goni za uciekającą Europą. I można się tylko dziwić, że nikt dziś nie czyta Wasilija Wasiliewicza. Albowiem w jego nieco

staromodnym języku możemy odnaleźć i „nowych ruskich”, ową wąską grupę społeczną, zainteresowaną w ochronie niniejszego *status quo*, i nowoczesne narzędzia, służące do eksploatacji nie przygotowanych kulturowo mas, choćby słynne bankowe piramidy, lub mass media z agresywną reklamą, wreszcie pustkę duchową w narodzie, zniechęcenie i wściekłość...

Mariusz WILK

Ethos urzędnika

I heartily accept the motto, „That government is best which governs least”... Carried out, it finally amounts to this, which I also believe, – „That government is best which governs not at all”.

Henry David Thoreau – „Civil Disobedience”, 1849 r.

W końcu lat czterdziestych jednym z instrumentów likwidacji sektora prywatnego był „domiar”. Domiar był całkowicie woluntarystycznie wyznaczanym podatkiem, który z reguły wykraczał poza możliwości właściciela firmy i ostatecznie oznaczał jej bankructwo. Domiar dawał komunistycznej władzy pozory legalności w nacjonalizowaniu małych firm. Z początkiem stycznia br. weszła w życie nowa ustawa radykalnie zwiększająca uprawnienia Urzędu Skarbowego. Projekt ustawy zakłada możliwość rewizji lokali i badania dokumentów osób podejrzanych o uchylanie się od podatków. W krajach zachodnich urzędy skarbowe mają tego rodzaju uprawnienia i od czasu do czasu prasa donosi o najazdach policji na biura i mieszkania podejrzanych. W Europie Zachodniej największy rygoryzm podatkowy jest w krajach skandynawskich, a wśród krajów skandynawskich w Szwecji. Przed laty szerokim echem odbiło się aresztowanie podejrzanego o przestępstwa podatkowe Ingmara Bergmana. (W następstwie tamtych wydarzeń Bergman wyemigrował ze Szwecji). Znacznie poważniejszą konsekwencją nadmiernego podatkowego rygoryzmu była masowa ucieczka kapitału ze Szwecji. W efekcie władze szwedzkie poszły po rozum do głowy i zmniejszyły zarówno presję podatkową jak również

techniki działania w stosunku do osób podejrzanych. W prasie szwedzkiej spotyka się obecnie zdecydowanie mniej doniesień o rewizjach i aresztowaniach osób podejrzanych o przestępstwa podatkowe.

Uchylenie się od płacenia podatków jest przestępstwem w każdym kraju, a co więcej, ściganie przestępstw podatkowych jest często jedyną możliwością postawienia przed sądem ludzi łamiących prawo na innych polach. Zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i we Włoszech członkowie mafii znacznie częściej odsiadują kary więzienia za przestępstwa podatkowe, aniżeli za morderstwa, handel narkotykami, łapownictwo czy za wymuszanie okupu. W obliczu zмовy milczenia, organa śledcze często nie mają żadnej możliwości udowodnienia przestępstw, za które członkowie mafii są poszukiwani w pierwszym rzędzie, natomiast z reguły i to bez większego trudu, daje się udowodnić, że płacone przez nich podatki są niewspółmiernie niskie w porównaniu do ich dochodów czy raczej wydatków.

W demokratycznym świecie kontakty obywatela z państwem są dość ograniczone. W Wielkiej Brytanii policjant nie ma prawa mnie ani wylegitymować, ani tym bardziej zrewidować (chyba, że ma bardzo poważne podejrzenia, iż popełniłem lub zamierzam popełnić przestępstwo). Nie mam obowiązku noszenia przy sobie żadnego dowodu osobistego, ani zdawania nikomu sprawy z tego gdzie mieszkam. Jedy-nym przedstawicielem państwa, przed którym muszę się systematycznie spowiadać, jest inspektor urzędu podatkowego.

W państwie takim jak Polska nowe uprawnienia mogą (ale nie muszą) otworzyć drogę do bardziej systematycznego zwalczania przestępstw urzędniczych. W chwili obecnej nikt nie zna rozmiarów tej przestępczości. Z prasy, wywiadów dziennikarskich i prywatnych rozmów z ludźmi, wyłania się obraz urzędnika państwowego, traktującego każdą decyzję jak towar. Sami urzędnicy państwowi z reguły przyznają, że przypadki łapownictwa się zdarzają, ale są rzadkością. Cztery lata temu skontaktowałem się ze mną pracownik jednego z wojewódzkich oddziałów NIK. Twierdził, że wie o przestępstwach urzędniczych popełnianych na taką skalę, że ich ujawnienie mogłoby spowodować zagrożenie dla niego i jego rodziny. Na próby przekonania go, żeby się zwrócił do

swoich przełożonych w Warszawie, czy do lokalnej prokuratury twierdził, że nie zdaje sobie sprawy z sieci przestępczych powiązań. Próby badania tej sprawy wykraczały daleko poza moje możliwości – byłem w tym mieście przejazdem, nie miałem nawet szans na dłuższą i poważną rozmowę. Zaproponowałem, żeby do mnie napisał do Londynu, ale nigdy więcej się ze mną nie skontaktował. Podczas tamtego spotkania, widząc moją niepewność, zapytał czy mógłbym się przejść z nim po parkingach kilku urzędów w mieście, bo chciałby mi pokazać samochody ludzi zarabiających nominalnie znacznie mniej niż on. Po powrocie do Londynu przeprowadziłem telefoniczny wywiad z ówczesnym prezesem NIK, Jarosławem Kaczyńskim. Kaczyński przyznał, że liczba przestępstw urzędniczych jest z pewnością ogromna, ale ich ujawnianie jest niesłychanie trudne. W przypadku łapówek obie strony są zainteresowane, aby sprawa nigdy nie została ujawniona, decyzje podejmowane przez urzędnika mogą być technicznie poprawne. Często łapówka dawana jest za nadanie sprawie toku, za bardziej życzliwą opinię, za zrobienie czegoś, co i tak należy do obowiązków urzędnika. Klasycznym przykładem takich właśnie łapówek jest powszechna praktyka dawania prezentów personelowi w szpitalach, czy koperty dla nauczycieli wręczane przed zakończeniem roku szkolnego. Zdaniem Kaczyńskiego jedyną skuteczną formą walki z przestępstwami urzędniczymi jest walka o podniesienie etosu urzędnika. Skłonność do zachowań nieetycznych jest jego zdaniem uzależniona od postaw przełożonych, ponieważ po pierwsze, tylko przełożony może zwrócić uwagę na drobne z pozoru nieprawidłowości w podejmowanych decyzjach, a po drugie, tylko przełożony obserwuje codzienną pracę swoich podwładnych, widzi petentów, może wrywkowo kontrolować konkretne decyzje.

Podejrzenia? Tak, bardzo często są podejrzenia, że urzędnicy czerpią dochody z łapówkarstwa, ale w przypadku takich podejrzeń przełożony może tylko zwiększyć czujność, sprawdzać podejmowane decyzje, zadawać pytania, które nawet jeśli nie będą prowadziły do ujawnienia przestępstwa, mogą odstraszyć od kontynuowania tego rodzaju praktyk. Często jednak – stwierdzał w tej rozmowie Jarosław Kaczyński – łapówkarstwo urzędników jest największą plagą tam,

gdzie sami przełożeni mogą być podejrzewani o czerpanie nieuczciwych korzyści z tytułu swoich stanowisk. Oczywiście w przypadku gdy nieuczciwy urzędnik działa w nieuczciwym środowisku, wykrycie przestępstw urzędniczych przez kontrolę zewnętrzne może natrafić na jeszcze większe trudności.

Kaczyński przyznawał, że ówczesny system prawny nie dawał żadnych szans na wszczęcie dochodzenia tylko w oparciu o podejrzenie wysokie wydatki urzędników. Fakt, że ktoś wydaje znacznie więcej niż oficjalnie zarabia, nie mógł być podstawą do podjęcia jakichkolwiek formalnych kroków.

W toczącej się w kraju dyskusji nad nową ustawą mówiono przede wszystkim o tzw. „zarejestrowanych i nie zarejestrowanych podmiotach gospodarczych”. Praktycznie rzecz biorąc wszyscy przedstawiciele biznesu wyrażali obawy i wątpliwości twierdząc, że tego rodzaju uprawnienia w rękach urzędu skarbowego będą prowadziły wyłącznie do utrudniania i szykanowania ludzi prowadzących działalność gospodarczą. Nawet pobieżna analiza tych wypowiedzi wskazywała na daleko idącą nieufność do aparatu państwowego. Ta podejrzliwość w stosunku do przedstawicieli aparatu państwowego nie ogranicza się wyłącznie do tej grupy, przeciwnie, można powiedzieć, że jest w Polsce zjawiskiem powszechnym. W dowolnym środowisku, już po kilku minutach rozmowy usłyszeć można nie kończącą się litanię zarzutów pod adresem lokalnych urzędów. Często padają bardzo konkretne zarzuty – rolnik od wielu lat cierpiący na uszkodzenie kręgosłupa „poinformował” mnie, że załatwienie renty inwalidzkiej kosztuje 1000 złotych, które trzeba wręczyć lekarzowi z komisji; właścicielka niewielkiego przedsiębiorstwa w poznańskim, że nieuniknione łapówki podnoszą jej koszty inwestycji o 5-10 procent; lekarka w szpitalu, bez żadnej żenady przyznała, że szpital płaci urzędnikom ZOS za „wygospodarowanie” niektórych leków czy urządzeń.

Całkowita eliminacja przestępstw urzędniczych jest niemożliwa. W wielu krajach jednak udało się ten typ przestępczości wyeliminować z codziennego życia. Finansowe skandale związane są z wielkimi kontraktami, z decyzjami politycznymi, gdzie w grę wchodzi miliony; łapówkarstwo zostało jednak dość skutecznie wyeliminowane z obszaru codziennych kontaktów szarego obywatela z urzędami. Zaważyły na

tym stworzone mechanizmy odwołań od decyzji urzędniczych, działalność instytucji nadzoru pracy urzędów, wolna prasa, ale zapewne również możliwości kontroli stanu majątkowego urzędników.

W Polsce, w okresie komunistycznym, niemal wszyscy byli pracownikami państwowymi, a upadek komunizmu i proces prywatyzacji zbiegł się z głębokim kryzysem idei państwowej na Zachodzie. Od dziesięcioleci obserwowaliśmy na Zachodzie stopniową erozję statusu pracownika państwowego, aczkolwiek mówiło się tu raczej o kryzysie państwa opiekuńczego, a nie o kryzysie myśli państwowej jako takiej. To rozróżnienie jest szczególnie istotne, gdyż krytyce nadmiernie rozbudowanych służb publicznych niestety nie towarzyszyła i nadal nie towarzyszy dyskusja wokół pytania o charakter i kształt tych służb w przyszłości. Jak się wydaje, zdecydowana większość krytyków ogranicza się do prezentacji dowodów niskiej sprawności tych służb i do stwierdzenia, że im mniej państwa tym lepiej. Konsekwencją takiego stwierdzenia jest nie tylko możliwość redukcji *ad absurdum*, ale przyspieszenie obniżania statusu pracowników państwowych oraz dramatyczne obniżenie ich morale.

W rozmowach z przedstawicielami samej administracji nieustannie powraca problem rekrutacji, trudności pozyskania do pracy w administracji państwowej i samorządowej ludzi z odpowiednio wysokimi kwalifikacjami. Niskie płace oraz niski status społeczny urzędnika państwowego powodują, że kariera urzędnicza nie stanowi alternatywy dla nikogo, kto ma jakiegokolwiek szanse na pracę w sektorze prywatnym. Urzędnik państwowy ma bardzo niski prestiż w opinii publicznej. W największym skrócie, urzędnik w odczuciach społeczeństwa, to człowiek arogancki, leniwy, niekompetentny i nieuczciwy. Wielokrotnie, szczególnie w wypowiedziach mieszkańców małych miasteczek, tego rodzaju opiniom towarzyszą zapewnienia, że nie dotyczy to wyłącznie urzędników z tej, czy innej partii politycznej. Czy ten obraz urzędnika skażony jest negatywnymi doświadczeniami przeszłości? Często spotykamy się z zapewnieniami, że jest zgoła przeciwnie, że stopień korupcji urzędników i ich poczucie bezkarności znacznie wzrosło, że bezczelność oczekiwania łapówek jest często zupełnie otwarta, a w dodatku nierzadko towarzyszy jej ostentacja życia ponad stan.

Dla przeciętnego obywatela państwo to nie są spory o konstytucję, czy o kształt takiej czy innej ustawy, to nie są nawet spory między przywódcami poszczególnych partii politycznych. Dla przeciętnego obywatela państwo to przede wszystkim kontakty z lokalnymi urzędami. Działalność tych urzędów uzależniona jest od systemu organizacji aparatu administracyjnego i od jakości praw, ale w równie poważnym stopniu od uczciwości, rzetelności i poziomu kompetencji samych urzędników. Plaga przestępstw urzędniczych przekreśla szansę na budowę szacunku i zaufania do instytucji przedstawicielskich i państwa jako takiego. Nowa ustawa mogłaby być przydatnym narzędziem w walce z tego typu przestępczością. Nie oznacza to oczywiście, że obawy środowisk biznesu są nieuzasadnione. Prawo badania stanu majątkowego i porównywania go z legalnymi dochodami, od których opłacono podatki, może rzeczywiście odstraszyć niektórych ludzi od działalności gospodarczej, może również przenieść na bardziej konkretną płaszczyznę dyskusję o stopie opodatkowania działalności gospodarczej (w szczególności małych firm), ale z drugiej strony może znakomicie przyczynić się do ograniczenia szarej strefy gospodarczej i do zmiany obrazu państwa w oczach społeczeństwa.

Jarosław Kaczyński twierdził we wspomnianej rozmowie, że tego rodzaju zmiana wymaga stworzenia ethosu urzędnika państwowego. Trudno się z takim stwierdzeniem nie zgodzić. Obawiam się jednak, że umoralniające pogadanki wiele tu nie zmieniają jeśli przestępstwa urzędnicze otoczone będą nadal nimbem przestępstw niewykrywalnych.

W pierwszych dniach stycznia Naczelna Izba Kontroli opublikowała raport o kontroli działalności gmin. Połowa skontrolowanych przez NIK gmin narusza prawa w zakresie ściągania podatków. Gminom zarzuca się przede wszystkim brak rzetelnych ewidencji podatników i niewykorzystywanie uprawnień do kontroli podatkowej. Woluntarystyczne decyzje o zwolnieniach z podatków, niekompletne dane o podatnikach. Wiele gmin nie sporządza odpowiednich sprawozdań finansowych na temat swoich własnych dochodów. W raporcie NIK zwraca się uwagę na fakt, że kontrolerzy NIK nie dopatrzyli się znamion przestępstwa, że mowa tu raczej o niekompetencji i nierzetelności. Podejrzewam, że w wielu

wypadkach kontrola rejestrów właścicieli samochodów, dokumentów hipotecznych i kont bankowych, mogłaby prowadzić do znacznie dalej idących wniosków.

Możemy i powinniśmy się spierać o wielkość aparatu państwowego i samorządowego, podejrzewam jednak, że dopóki w odczuciach społecznych aparat ten cechują systematyczne nadużycia i samowola, marzenie o społeczeństwie obywatelskim trąci naiwnym romantyzmem. Apele o to, aby państwa było jak najmniej, są z pewnością słuszne. Jednak nawet zwolennicy doktryny liberalnej powinni pamiętać, że konieczna jest tu również pozytywna odpowiedź na pytanie o zakres niezbędnej działalności państwa i na temat technik zapewniających sprawność, rzetelność i uczciwość tych działań.

Andrzej KORASZEWSKI

Wiersze

Wojciech KAWIŃSKI

PRAWIE ZMIERZCH, FRAGMENT OBRAZU

(Vermeer)

a w nim, niczym w wypukłym lustrze
wielkie ciało miasta. Panorama budynków,
parada wież kościelnych, rzeka prawie brązowa,
bagienna i kręta; na brzegu, gdzie piach i kamyki
dwie kobiety, kilku mężczyzn, dziecko na ręku
jednej z nich. Rozmawiają?, milczą?, czekają
na łódź losu? Słońce jeszcze się nie schowało,
dlatego dachy czerwone, dachówki niczym drobne fale,
chmury, dotychczas jasne, przenika brązowa zapowiedź
burzy; pejzaż jest ramą tworzącą kontrast:
barwy ciemne przechodzą w czern, w jej mowie
wypowiada się lustro wody, wycieniowane do srebra;
struktura wież, strzelista i prosta
kłuje obłoki; pod stopami ziemia rdzawa, i wierna.

widać to tylko, co jest, ale –
to więcej niż wiele, ale ciągle mało...

1996

Wojciech KAWIŃSKI

Mira KUŚ

WAHANIE

zastanawiające jak szeroka fraza
łatwo nas porywa piernik właśnie
wylewa się z brytfanny i każe się streszczać
albo udane ciasto albo kwieciste gadanie

gdyby nie miłość do materii
języka

Mira KUŚ

Adam MENCNAROWSKI

*Krzysztofowi Kiesłowskiemu jako że będąc
wielkim człowiekiem zbyt wcześnie
odszedł w*

NICOŚĆ

Nicość to ty i ja

Nicość to całe życie

Nicość to wielka gra

W którą wszyscy wchodzicie

Nicość to bezkres i Bóg

To bezmiar ludzkich spraw

To płatanina ludzkich dróg

To wielki teatr (bez braw)

Idąc przez każdy zwykły dzień

Ty marny szary człowieku

Patrząc w nicości ciemny cień

I trwając w morderczym biegu

Zastanów się chociaż na chwilę:
 Czy byłeś? Czy będziesz? Czy trwasz?
 Czy stojąc kiedyś przed Bogiem
 Będziesz mógł zachować twarz?

Adam MENCNAROWSKI

Aldona PIENCZEWSKA

ANTRAKT

Na mojej bezludnej wyspie
 wschody słońca nie zawsze są przejrzyste
 strumień światła się nie zapala
 ulewy i burze też ją omijają z dala

wiatr nie przeszywa
 przestrzeń nie otacza
 otoczenie przygniata
 dzień wszystko oddala
 powietrze nie przejmuje
 noc nie dominuje
 piasek stóp nie wciąga
 ziemia nie nosi

huk oceanu nie tańczy we mnie
 tysiącami wibrujących uderzeń
 teatr się nie wypełni
 brakiem cienia
 spektakl się rozgrywa
 gdzieś tam
 nigdy tutaj

Bruksela, 1996

Aldona PIENCZEWSKA

Janusz SZUBER

STĘPUJĄC PO SOSNOWYCH DESKACH

Przyszedtł prosto z treningu, obolały,
 Wyrażnie utykając i, nie ściągnąwszy kurtki,
 Usiadł ciężko w fotelu. *Jeśli będziesz miał*
Czas, to przeczytaj – położył na stole

Przeźroczyście skoroszyt z nowymi wierszami.
 Pomyślałem: dzieli nas przecież
 Ponad trzydzieści lat i, na dobrą sprawę,
 Mógłby być moim synem a wtedy

Musiałbym odgrywać przed nim
 Rolę, zastroskanego o potomka, ojca.
 Te rowy tektoniczne *pomiędzy*, uskoki.
 Nad którymi jakoś podajemy sobie ręce,

Osobność mówiących tym samym językiem
 W tym samym miejscu i czasie,
 Kiedy ja próbuję sięgnąć wstecz
 Nakładając perukę dymiącą wezuwiuszem pudru,

Na stopy saboty stępujące po sosnowych deskach,
 Aby tą okrężną drogą wrócić z powrotem
 W odpowiednią rubrykę kalendarza
 I powiedzieć mu: *tak, przeczytałem jeszcze dziś*
wieczorem.

Janusz SZUBER

Bolesław TABORSKI

HAUST

każdy haust życia jest boskim postojem
 na ruchomej taśmie piekielnej maszyny
 w której tak czy owak tkwimy bo musimy
 i tak się mieszają do czasu piekło z niebem
 już wszystko o tym napisałem choć nie czytał nikt
 zostawiam pole tym słodkim idiotom
 co świat dla siebie odkrywają po raz
 nie wiadomo który nowy wspaniały
 (nowy dla ciebie naiwna Mirando)
 niech im będzie na zdrowie bo choroba
 przyjdzie sama do obcych do obcych
 bo ja już swoje pogubiłem strachy
 zbłądziwszy w tym strasznym lesie śmierci
 powrotu z niego nie ma więc pośpiech zbyteczny
 na postoju gdzie jeszcze został życia haust

16.8.96

JAK IFIGENIA

Ifigenia swych bogów prosiła o łaskę
 a o co my prosimy w naszych złych Taurydach
 przez Scytów osaczeni i w wieży zamknięci
 bez okien niewidomi żebyśmy nie mogli
 wypuścić przyjaznego węża z wiadomością
 wypisaną na łuskach że tutaj ktoś cierpi?

więc o co prosić mamy jak nie o tę wolność
 tak nam potrzebną jak powietrze świeże
 gdy cuchnącą zgnilizną oddychać musimy
 lecz kogo prosić skoro tamtych bogów nie ma

a nowi się odnoszą nieufnie do mitów
 Ty wtedy miałaś lepiej smutna Ifigenio

choć suplikacje twoje tak są przejmujące
 jakby się cała twoja w nich zawarła dusza
 chciałaś ocalić swego nieszczęsnego brata
 Erynie nas ścigają także – tyś nam siostrą
 też o życie nam chodzi i o przeznaczenie
 przez nowych bogów dane okrutne nieznane

z posągiem Artemidy weź nas do Brauron

29.8.96

METAMORFOZY

przemieniasz się do niepoznaki
 ten sam – przyjmujesz to na wiarę
 ale nie taki sam bo nie poznajesz świata
 i ludzi to cię wkurwia (brzydkie słowo
 w poezji ale w tym świecie zbyt ładne)
 do diabła z blichтром i pozorami
 cywilizacji bez ładu i składu
 współczuję tym przyszłym pomóc im nie mogę
 bo nie pomogłem sobie i teraz już całkiem
 niepotrzebny ginę na spokojnie inaczej
 niż na wojnie co mnie kiedyś ocaliła
 od przedwczesnego czego? jeszcze zobaczmy

13.8.96

W TEATRZE

Powiedzmy że dobrze się bawimy
 widząc na scenie sprawy które nawet
 jeśli prawdziwe to nas jak mniemamy
 (co za słowo: mnie mamy nie mamy bo mama
 była ale poszła niestety nie wróciła)
 więc nas jak mniemamy nie dotyczą
 co nas dotyczy? na szczęście nie wiemy
 a jeśli się domyślamy to oddalamy
 bo po co psuć humor innym sobie też
 zwidy wróżą nieszczęście więc trzeba je wyśmiać
 po cóż przed czasem oszaleć idąc za popędem
 wyobraźni co po równi tworzy i zabija
 po równi pochyłej poruszać się żwawo
 niemrawo iść dokąd i do czego
 poczekaj kolego czasu mamy trochę
 by opóźnić ten poślizg nieunikniony
 straszą nas nieustannie ale my już mamy
 strachów tych dosyć oboleli głusi
 odważnie brniemy tam gdzie nikt dojść nie chce
 bo nie ma tam nic co by dawało nadzieję –
 czy to teatr absurdu czy to teatr śmierci?

25.8.96

Bolesław TABORSKI

Archiwum polityczne**Przyszłość sojuszu USA-Japonia
NATO, Rosja a Japonia**

1.

Mijał już rok od kwietniowego szczytu ub.r. w Tokio, kiedy prezydent USA Clinton i premier Japonii Hashimoto podpisali wspólną deklarację w sprawie bezpieczeństwa, obwieszczając światu „nową erę” w stosunkach amerykańsko-japońskich. Deklaracja podkreśla dalsze trwanie i wzmocnienie Układu Bezpieczeństwa USA-Japonia jako kamienia węgielnego dla bezpieczeństwa w całym rejonie Azji-Pacyfiku, oraz podtrzymuje kontynuację wysokiego profilu militarnego USA w Japonii i całym rejonie. Została ona przyjęta na ogół z zadowoleniem, chociaż nie bez zastrzeżeń, w większości krajów Azji. Natomiast w samej Japonii, jak również w pewnych kręgach USA, stała się od razu przedmiotem krytyki i rosnącej kontrowersji. Pod powierzchnią oficjalnej euforii kiełkują nowe napięcia i wątpliwości. Pomimo pewnych, nawet istotnych poprawek do Układu, paląca sprawa *równego partnerstwa* w stosunkach strategiczno-obronnych pozostaje nadal nie załatwiona.

Bliskie, nawet intymne więzy między kulturowo i geograficznie tak odległymi krajami jak USA i Japonia są bez precedensu. Z zakończeniem zimnej wojny, dalszy rozwój stosunków między dwoma gigantami gospodarczymi można uznać za najważniejszy dla przyszłego pokoju i dobrobytu w świecie. Nie ulega jednak wątpliwości, iż sojusz USA-Japonia znajduje się dziś na rozdrożu, a jego dalsze trwanie zależy głównie od zadawalającego rozwiązania w dziedzinie bezpieczeństwa.

Układ Bezpieczeństwa USA-Japonia

Po wojnie, pokonana Japonia – pomimo upokarzającej kapitulacji i goryczy po bombach atomowych na Hiroshimie i Nagasaki – postawiła zdecydowanie na sojusz z USA. Po podpisaniu Układu Pokojowego w San Francisco w r. 1951, ówczesny premier Japonii Yoshida Shigeru jeszcze w tym samym roku podpisał Układ o Wzajemnej Współpracy i Bezpieczeństwie z USA, odtąd skrótowo nazywany Układem Bezpieczeństwa USA-Japonia. Równocześnie dla zapobieżenia odradzania się militarizmu japońskiego, USA narzuciły Japonii tzw. „pokojuwą konstytucję”, formalnie zezwalając Japonii na utrzymywanie sił obronnych, lecz nie armii, w najszerszym tego słowa znaczeniu. Japonia w ten sposób stała się najważniejszą bazą strategiczną USA na Dalekim Wschodzie, pierwszą linią operacyjną w wypadku konfliktów regionalnych. W zamian otrzymała gwarancje bezpieczeństwa oraz ochronę przeciwko zewnętrznej agresji. Układ z USA zaczął odgrywać kluczową rolę w strategii obronnej Japonii, co pozwoliło jej skupić się całkowicie na odbudowie gospodarczej i handlu, z wiadomymi do dziś dnia skutkami. Jednakowoż w miarę jak rosła siła gospodarcza Japonii w latach 70-tych i 80-tych, a z nią deficyt Ameryki w handlu z Japonią, nasilało się w USA kwestionowanie celowości kosztownego parasola ochronnego dla Japonii. Podobnie w Japonii – równolegle z rosnącymi wydatkami na utrzymanie baz amerykańskich, oraz na tle częstych konfliktów handlowych – wzrastały się głosy niezależnej krytyki odnośnie „nierównego przymierza z Ameryką”.

Koniec zimnej wojny, rozpad ZSSR i zniknięcie ze sceny głównego zagrożenia na Dalekim Wschodzie, postawiły pierwszy raz poważny znak zapytania nad dalszą racją bytu Układu. Eksperci po obu stronach zaczęli się zastanawiać, czy Układ powinien być wzmocniony, zrewidowany, czy też porzucony zupełnie? Po-zimnowojenna krytyka w USA wychodzi z założenia, iż w nowej sytuacji Ameryka nie ma potrzeby łożenia olbrzymich sum na bezpieczeństwo w tym rejonie. Istnieją jednak obawy, iż pozostawiona sama sobie Japonia może ponownie zagrozić militarnie sąsiadom w Azji,

stąd konieczność dalszego trwania układu, w jak najmniej zmienionej postaci.

Natomiast niezależna krytyka Układu Bezpieczeństwa w Japonii ma przede wszystkim wymiar strategiczny w najszerszym tego słowa znaczeniu. Sedno debaty sprowadza się tu do zasadniczego pytania, co jest pierwotnym celem Układu: obrona Japonii, czy też obrona szerszych interesów strategicznych USA w tym rejonie? Bo jeżeli to drugie, to pomijając sprawę rosnących kosztów dla Japonii i niedociągnięć operacyjnych Układu, należy ponownie zrewidować sprawę polegania Japonii na parasolu ochronnym USA. Tak czy owak, w swej obecnej formie jest on anachronicznym dziwologiem i powinien być odpowiednio zrewidowany.¹ Z japońskiego punktu widzenia jest również istotna krytyka aspektów operacyjnych Układu, na wypadek realnej sytuacji konfliktowej. Konkretnie chodzi tu o podniesienie Sił Obronnych Japonii (SOJ) do statusu równego partnerstwa z wojskami USA, zarówno na płaszczyźnie logistycznej, jak i dowodzenia. Bez gruntownej rewizji założeń operacyjno-logistycznych Układu, amerykańskie deklaracje o większej roli militarnej dla Japonii są pustymi frazesami bez pokrycia.

Nowa strategia Pentagonu

Po okresie wahań i niezdeterminowania, administracja Clintona w styczniu 1993 podkreśliła ważność Dalekiego Wschodu w globalnej polityce USA. Główne wytyczne tej polityki zostały szczegółowo naświetlone w lutym 1995, w kontrowersyjnym raporcie Pentagonu „Strategia Polityki Bezpieczeństwa USA dla Azji Wschodniej”. Też wytyczną raportu jest stwierdzenie, iż polityka dalszego, głębokiego zaangażowania militarnego USA w rejonie Azji-Pacyfiku jest niezbędnym

1. Teksty ekspertów z Yomiuri Research Institute w Tokio (np. T. Takahama: Przyszłość Układu Bezpieczeństwa USA-Japonia, JJI&I, No 3/1995), Wyd. Spraw Międzynarodowych uniwersytetów Aoyama Gakuin Daigaku, Tokyo Daigaku w Tokio, oraz ekspertów do spraw wojskowych jap. MSZ (np. T. Shikata, na łamach periodyku politycznego *Sekai Shuho*).

gwarantem dla stabilności politycznej i gospodarczej tego rejonu. Jeden z głównych postulatów stwierdza, iż „nie ma dla USA ważniejszego, dwustronnego układu w tym rejonie, o zasadniczym znaczeniu dla strategii USA w Azji, jak z Japonią”. Pomimo takiego wyszczególnienia, nie ma w raporcie niczego, co wskazywałoby na możliwość jeśli nie gruntownej rewizji, to przynajmniej zasadniczych poprawek w Układzie Bezpieczeństwa, w kierunku zaspokojenia japońskich aspiracji. Podkreślając kontynuację „przewodniej roli” Ameryki w tym rejonie, „nowe” wytyczne strategii amerykańskiej sprawiają wrażenie, jakby się nic nie zmieniło od końca zimnej wojny. Dla Tokio sygnalizuje to praktyczne pogodzenie się USA z ujemnymi bilansami w handlu z Japonią, za cenę jej kompletnego podporządkowania się Ameryce w sprawach bezpieczeństwa. Jednakowoż bieg wypadków wykazał niebezpieczną złudność takich założeń. Krytyczne nasilenie się wojny handlowej w sektorze samochodowym przelało się od razu do sfery bezpieczeństwa, ze wzmocnionymi atakami na „nierówny układ” po obu stronach. Pod rosnącą presją krytyki autor raportu, ówczesny podsekretarz Stanu Dept. Obrony, J. Nye, podjął się jego obrony na łamach *Foreign Affairs*². Wiele nowego nie powiedział, lecz dowiadujemy się wreszcie, dlaczego jest przeciwny zmianom w anachronicznej konstytucji Japonii, jak również poprawkom w Układzie. Zauważa on, iż od wiosny 1994 r. Japonia jest w procesie formułowania nowej polityki bezpieczeństwa, rozważając różne opcje, w tym również przejście na drogę „normalnego narodu” wg recepty Ozawy, co oznaczałoby w praktyce remilitaryzację Japonii³. A więc wyszło przysłowiowe sztydło z worka. Większość establishmentu politycznego Japonii opowiada się nadal (dziś jeszcze) za ścisłym sojuszem z USA, ale lepiej śruby zbytnio nie

2. J.S. Nye, Asst. Secretary of Defence: „The Case for Deep Engagement”, w: *Foreign Affairs* Jul/Aug 1995, oraz Ch. Johnson & E. Keckh: „The Pentagon's Ossified Strategy”, który jest ostrą krytyką polityki japońskiej Pentagonu.

3. Ichiro Ozawa – architekt reform politycznych Japonii, autor głośnej książki „Blueprint for a New Japan” (1994), która wywołała wielki niepokój w kołach Pentagonu i CIA. Książkę tę omówiłem w *Kulturze* Nr 5 (1995), w artykule pt. „Plan dla Japonii”.

luzować. Wywody Nye'a spotkały się z ostrą polemiką na tychże łamach. Padło oskarżenie, iż nowa doktryna Pentagonu tylko potwierdza politykę dalszego trzymania Japonii w ryzach, w formie „protektoratu”. Polityka taka nie tylko blokuje dalszy rozwój liberalizacji politycznej, lecz wręcz zachęca reakcyjne odłamy establishmentu japońskiego w kierunku niezależnej doktryny bezpieczeństwa, czego się Waszyngton tak mocno obawia. Pentagon powinien zrozumieć, iż bez względu na konsekwencje i ryzyko, tylko Japonia po wyrwaniu się z wasalnego statusu, może odegrać rolę autentycznego partnera Ameryki w budowaniu systemu bezpieczeństwa w Azji. Należy więc wspierać, a nie krzywić się na tych polityków japońskich, którzy dążą do likwidacji anachronicznej, ograniczającej suwerenność państwa ustawy.

Kryzys wokół Okinawy

W międzyczasie zaostrzał się kryzys w stosunkach dwustronnych. We wrześniu 1995 doszło do incydentu, który od razu uderzył w samo sedno sojuszu. Tragiczny w skutkach gwałt na nieletniej dziewczynie nie był pierwszym tego rodzaju wybrykiem soldateski USA, lecz jak żaden podobny incydent w przeszłości rozpętał on nową falę protestów antyamerykańskich, ze wzmocnionymi presjami na likwidację baz USA na Okinawie. Przypomnę tutaj, że 75% baz amerykańskich w Japonii znajduje się w prowincji Okinawa, lecz w odróżnieniu od lat 70-tych i 80-tych, ich lokalny przyczynek gospodarczy jest dziś minimalny, a większość mieszkańców Okinawy widzi je jako przeszkodę do autentycznego rozwoju gospodarczego. Wojowniczy gubernator tych wysp już od dwu lat zabiega o zasadniczą redukcję baz, których dzierżawa kończy się w b. roku. Rząd w Tokio zrozumiał, że jeżeli odłożony na wiosnę 1996 r. szczyt z prezydentem Clintonem ma przynieść pozytywne rezultaty, to nie obejdzie się bez zasadniczych ustępstw Waszyngtonu w sprawie baz na Okinawie. Wzmoczona w tym kierunku ofensywa dyplomatyczna premiera Hashimoto zaowocowała w końcu sukcesem. Na kilka dni przed przyjazdem do Tokio, Clinton ogłosił gotowość zwrotu 20% posiadłości amerykańskich na Okinawie,

oraz plan kompletnego zwrotu tych wysp Japonii w przeciągu 5-7 lat.

Deklaracja w sprawie bezpieczeństwa

Podpisana przez prezydenta Clintona i premiera Hashimoto dn. 17 kwietnia 1996 wspólna deklaracja w sprawie bezpieczeństwa jest niewątpliwie ważnym wydarzeniem w kierunku wzmocnienia sojuszu, lecz dużo zależy będzie od interpretacji i realizacji zawartych w niej postanowień. Najbardziej istotnym dla Tokio jest punkt dotyczący rewizji przestarzałych wytycznych z r. 1978, w kierunku zacieśnienia współpracy operacyjnej między jednostkami USA i Japonii, zarówno na terytorium Japonii jak i w rejonach przyległych do Japonii. Dopuszcza on po raz pierwszy możliwość aktywnego wsparcia sił japońskich dla wojsk USA poza ścisłym obrębem Japonii, chociaż tylko w rejonie Dalekiego Wschodu (Korea, Taiwan, Filipiny). Pomimo tego, deklaracja spotkała się z ostrą krytyką ze strony ekspertów japońskich, z zarzutem, że opiera się ona w pełni na strategii dalekowschodniej Nye'a (czyli Pentagonu), w której alians z Japonią jest kompletnie podporządkowany wymogom strategicznym Ameryki. Autentyczne, a nie iluzoryczne usprawnienie współpracy wojskowej między jednostkami obu krajów wymaga odpowiednich zmian w anachronicznej ustawie Japonii, czego jednak Pentagon nadal nie bierze pod uwagę. W rezultacie doktryna obronna Japonii pozostaje nadal tylko dodatkiem do strategii USA, ze szkodą dla autentycznego wzmocnienia Układu Bezpieczeństwa⁴.

Sprawa ta najwidoczniej stanowi poważny dylemat dla Pentagonu w odniesieniu do innych krajów Azji, rzekomo obawiających się renesansu militarizmu japońskiego. Są to jednak obawy tylko w części uzasadnione, nie trafiające do

4. Pełny tekst deklaracji Clinton-Hashimoto pt. „Ni-bei Anzen Bosho Kyodo Sengen” (*Sekai Shuho*, 28/05/1995), oraz krytyczne komentarze na tychże łamach T. Tadae: „Autentyczny sojusz USA-Japonia niemożliwy dopóki USA nie wyzbędą się podejrzeń wobec Japonii”, oraz Yukio Okamoto „Krytyczne uwagi odnośnie nowego systemu bezpieczeństwa USA-Japonia”.

przekonania zwolenników gruntownej rewizji Układu. Perspektywa większej roli dla armii japońskiej wzbudza zrozumiały niepokój bliskich sąsiadów Japonii (Chiny, Korea), lecz nie w innych krajach Azji (ASEAN). Boją się one nie wzmocnienia, lecz osłabienia sojuszu wojskowego USA z Japonią, w którym widzą główną gwarancję stabilności bezpieczeństwa w tym rejonie. Podsumujmy więc, jakie są główne zagrożenia dla bezpieczeństwa w rejonie Azji-Pacyfiku i jak, w odniesieniu do takich zagrożeń, przedstawiają się opcje strategii obronnej Japonii.

Zagrożenia bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie

Sytuacja bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie była i pozostaje zupełnie inna niż w Europie. Konfrontacja zimnowojenna nie przebiegała tu wzdłuż linii geograficznych czy ideologicznych, lecz wg tradycyjnych rywalizacji między państwami i blokami państw, które nie zniknęły z zakończeniem zimnej wojny. Półwysep Koreański nadal przedstawia jedno z największych zagrożeń dla pokoju i bezpieczeństwa w tym rejonie. Groźba konfliktu zbrojnego między Północą i Południem nadal trwa, pomimo wzmoczonych wysiłków międzynarodowych w kierunku normalizacji stosunków między Północną i Południową Koreą. Wiarygodne informacje o sytuacji wewnętrznej politycznej na Północy są raczej skąpe, a realnych szans na radykalną zmianę reżimu (zamach stanu) na razie nie widać. Zdaniem ekspertów, Korei Północnej grozi raczej krach gospodarczy, od razu prowadząc na myśl widmo zagrożenia nuklearnego.

Dla Japonii Korea przedstawia szczególnie złożony problem bezpieczeństwa narodowego. Dziedzictwo przeszłości wywarło ciężkie piętno na stosunkach dwustronnych, a postępującej normalizacji stosunków między Tokio a Seulem jeszcze daleko do autentycznego pojednania. Niemniej w wypadku konfliktu zbrojnego z komunistyczną Północą, Japonia znajdzie się siłą rzeczy po stronie USA i Korei Południowej, łącznie z zaangażowaniem wojskowym. Tokio jest więc żywotnie zainteresowane zażegnaniem takiego konfliktu, lecz z drugiej strony, w wypadku pojednania i zjednoczenia Północy

z Południem, Japonia stanęłaby twarzą w twarz z uzbrojonym po zęby, gospodarczo silnym państwem koreańskim. Jest to perspektywa, która już od kilku lat spędza sen z oczu strategów japońskich, zwłaszcza w świetle rosnących wydatków zbrojeniowych i modernizacji sił zbrojnych Korei Południowej⁵.

Jednakowoż największe źródło zagrożenia w wymiarze długofalowym, przedstawiają Chiny. Licząca ok. 3 mln. osób tzw. Armia Wyzwoleńcza Chin jest już dziś najliczniejszą armią na świecie, lecz na bardzo niskim, zacofanym poziomie wyposażenia, szczególnie sił powietrznych i marynarki wojennej. Potencjalne zagrożenie ze strony Chin będzie więc wzrastało w miarę postępującej modernizacji armii, obliczanej na 10-15 lat. Według danych londyńskiego *International Institute of Strategic Studies* budżet zbrojeniowy Chin, dziś w granicach ok. 30 mld dolarów (na poziomie Wielkiej Brytanii, a prawie o połowę mniejszy od Japonii), będzie wzrastał ok 13-15% rocznie. Główną przyczyną takiego wysiłku zbrojeniowego jest paranoiczny strach Pekinu przed „okrążeniem”, fobia spisku zewnętrznego. Jednakowoż nie mniejszą rolę odgrywa tu tradycyjne dążenie do zespolenia terytorialnego wszystkich „historycznych” zakątków ziemi chińskiej na lądzie i na morzu. Po Hong Kongu przyjdzie kolej na Taiwan, z którego odrębnością państwową Pekin się nigdy nie pogodzi. Tak to widzi Japonia, sama uwikłana w przewlekły spór terytorialny z Chinami wokół Wysp Sentaku, który w ub. roku przybrał groźne wymiary otwartego konfliktu⁶. Lecz nie tylko Japonia. Przyszłym zagrożeniem chińskim martwi się już od dłuższego czasu Waszyngton, poszukujący drogi do nowego odprężenia z Pekinem. Niestety sposób w jaki to robi może doprowadzić do dalszych nieporozumień i napięć z Japonią.

5. K. Tsujita: „Wydatki zbrojeniowe Korei Południowej wykazują 10% wzrost”, oraz „Zaniepokojenie USA wzrostem sił zbrojnych Korei”, *Sekai Shuho*, 18/2/1997. Autor, ekspert do spraw wojskowych, obszernie omawia implikacje niebywałego wzrostu zbrojeniowego Korei dla bezpieczeństwa Japonii.

6. Spór o te wyspy, bogate w złoża ropy, ma wszelkie załazki poważnego konfliktu w przyszłości. Minister SZ Japonii Ikeda oświadczył, iż „Japonia użyje wszelkich środków, łącząc siły, dla odparcia każdej agresji na suwerenne ziemie japońskie”.

Jeszcze przed kwietniową wizytą w Tokio ub. roku, Clinton oświadczył, iż wciągnięcie Chin do systemu bezpieczeństwa zbiorowego w tym rejonie u progu XXI wieku nabiera priorytetowej ważności w polityce USA. Konkretnie chodzi tu o „strategię poszerzenia” (*Strategy of Enlargement*), która zakłada ewentualne dołączenie Chin do szerszego układu strategicznego między Koreą, Japonią a Australią. Stanowisko Pekinu wobec takich planów jest raczej niejasne, lecz Tokio odnosi się do nich z największym sceptycyzmem, oraz rosnącą podejrzliwością wobec intencji Waszyngtonu. Zastrzeżenia i obawy japońskie zostały bez ogródek wyrażone w obszernym komentarzu redakcyjnym prestiżowego miesięcznika politycznego *Sentakū* (nr 12/1996) pod wymownym tytułem „Japonia uwikłana w odprężenie USA – Chiny”. Obecne uwertury Waszyngtonu, idące wyraźnie w kierunku „strategicznego zbliżenia” między USA a Chinami, mogą mieć poważne konsekwencje dla Japonii. Chodzi tu głównie – ostrzega pismo – o implikacje dla Układu Bezpieczeństwa USA-Japonia: jeżeli obecne próby USA spełzną na niczym, znaczenie układu z Japonią wzrośnie. Natomiast strategiczne zbliżenie na osi Waszyngton–Pekin pociągnie za sobą poważne osłabienie Układu Bezpieczeństwa Japonia-USA, bez względu na to jak dalek będzie rozwijała się sytuacja w Korei.

Oprócz Korei i Chin, źródłem potencjalnego zagrożenia w oczach Tokio pozostaje nadal Rosja, dysponująca pokaźną siłą militarną na Dalekim Wschodzie. Chwilowe osłabienie wewnątrzpolityczne Rosji nie oznacza, iż wyrzeknie się ona swych ambicji wielkomocarstwowych w przyszłości.

W świetle przedstawionych tu źródeł zagrożenia, przy braku odpowiednika NATO w tym rejonie, oraz wzmagającym się braku zaufania w parasol ochronny USA, jest rzeczą zrozumiałą, iż Japonia weszła na drogę gruntownej rewizji strategii bezpieczeństwa narodowego.

W kierunku niezależnej doktryny obronnej

Wysuwane od kilku lat obawy odrodzenia się militarizmu japońskiego są spekulacją. Natomiast pierwszy raz po

wojnie zaistniały okoliczności, w których Tokio może być popchnięte w kierunku niezależnej strategii obronnej. Niewątpliwym „ojcem chrzestnym” tej doktryny jest wspomniany uprzednio Ozawa, który zdyskwalifikował obecny system, jako absolutnie nieprzydatny do skutecznej obrony Japonii. Zaleca on zmiany w konstytucji, a jeżeli okaże się to niemożliwe, to wprowadzenie zupełnie nowego, tzw. „Podstawowego Prawa dla Bezpieczeństwa”, które uwzględni naturalne prawo suwerennego państwa do obrony wszystkimi możliwymi środkami. Te właśnie propozycje Ozawy wywołały największą konsternację i niepokój w kręgach Pentagonu.

Koncepcja niezależnej strategii obronnej zyskuje coraz większe wsparcie nie tylko w kręgach Agencji Obrony, lecz również wśród rosnącego grona czołowych polityków japońskich poprzez podziały partyjne. Głównym zapleczem intelektualnym tej koncepcji stał się znany *Institute for International Policy Studies* (pierwotnie *Int. Institute for Global Peace*) w Tokio pod kierownictwem b. premiera, Y. Nakasone, który pod koniec r. 1993 zainicjował rządową rewizję polityki bezpieczeństwa narodowego Japonii. Rozpoczęcie tej rewizji zbiegło się w czasie z objęciem rządów wiosną 1994 r. przez „socjalistycznego” premiera Murayamę. Przedstawiony w sierpniu projekt zleca podniesienie statusu sił obronnych Japonii, odpowiednie poprawki do konstytucji, oraz rewizję Układu Bezpieczeństwa z USA. Deliberacje rządowe zaowocowały zarysem nowego Programu Obrony Narodowej jesienią r. 1995. Nowa wersja doktryny obronnej zawiera większość postulatów zwolenników bardziej niezależnej od USA strategii obronnej⁷. Co więcej, w styczniu 1996 rząd zatwierdził nowy pięcioletni budżet zbrojeniowy na sumę 25.15 trn jenów (ok. 380 mld dolarów) na okres 1996-2000, a więc wzrost o ok. 2,3% w stosunku do poprzedniego okresu.

7. Toriyuki Shikata: „Jutrzejsza polityka bezpieczeństwa narodowego Japonii”. Odczyt wygłoszony jesienią r. 1995 w Institute Nakasone w Tokio, w którym autor, były generał SOJ, doradca do spraw wojskowych w jap. MSZ, wyjaśnia główne aspekty nowego Programu Obrony Narodowej.

Należy tu zaznaczyć, iż postępująca rewizja doktryny obronnej nie wyklucza dalszego trwania sojuszu strategicznego z USA, lecz kładzie nacisk na odpowiednią rewizję Układu Bezpieczeństwa.

Przebiegający w Japonii proces formułowania nowej polityki obronnej stawia pilne wyzwanie przed nową administracją prezydenta Clintona. Na razie proces ten zmierza w kierunku większego uniezależnienia, a nie kompletnego wyrwania się z aliansu strategicznego z Ameryką. Lecz nawet kompletne uniezależnienie od USA niekoniecznie musi oznaczać odrodzenie militarizmu japońskiego, tak jak go pamiętamy, chociaż jest to opcja, której Ameryka i świat wolą nie rozważać. Dalsze trwanie sojuszu USA z Japonią jest możliwe tak długo, jak długo tego szczerze pragną obie strony. Niestety, USA zdają się nadal nie doceniać Japonii jako kraju zdolnego do podjęcia odpowiedzialnej roli politycznej na Dalekim Wschodzie, jako równorzędnego partnera w budowaniu nowego, trwałego systemu bezpieczeństwa w tym rejonie.

2.

NATO, Rosja a Japonia

Dziś decyduje się w Europie przyszły kształt jej bezpieczeństwa, w formie rozszerzenia NATO na kraje Europy Środkowo-Wschodniej – w pierwszym rządzie Polskę, Czechy i Węgry, a być może i Rumunię.

Perspektywa przesunięcia granic NATO na Wschód od razu stawia nowe pytania nad stosunkami bezpieczeństwa między Europą a Rosją. Gdzieś od roku 1993 Moskwa prowadzi zacieklą walkę dyplomatyczną przeciwko rozszerzeniu NATO, na razie ze znikomymi rezultatami. Bez względu na takie czy inne motywy dzisiejszych przywódców rosyjskich, nie ulega wątpliwości iż Rosja czuje się coraz bardziej izolowana, spychana na peryferie Europy. Jeden z czołowych politologów rosyjskich ostrzegał, iż odcięta od procesu ogólnoeuropejskiego Rosja, może dokonać gruntownej rewizji swej polityki zagranicznej z orientacji eurocentrycznej na

euroazjatycką⁸. Zaledwie kilka miesięcy po takim ostrzeżeniu, minister spraw zagranicznych Rosji Primakow bawiący z oficjalną wizytą w Tokio jesienią ub.r. wyraźnie zasygnalizował chęć Rosji do zasadniczej poprawy stosunków z Japonią. W styczniu br. sprawa nowego otwarcia na Japonię była przedmiotem specjalnych posiedzeń Komitetu do Spraw Zagranicznych Dumy Państwowej Rosji.

Rozszerzenie NATO oczyma Tokio

W samej Japonii, tradycyjnie wyczulonej na sprawy bezpieczeństwa po „drugiej stronie Rosji”, rozszerzenie NATO na Wschód, a zwłaszcza reakcje Rosji, śledzone są z najwyższą uwagą. Zdaniem ekspertów japońskich⁹, najbardziej Moskwę nurtującym problemem, będącym u źródła jej ostrych sprzeciwów, jest wpływ rozszerzenia NATO na inne kraje byłego ZSSR, głównie republiki bałtyckie i Ukrainę. Dlatego nadrzędnym celem strategii Primakowa jest oddalić jak najbardziej wejście do NATO krajów Europy Środkowej z Polską na czele, a jak nie, to przynajmniej nie dopuścić do następnych rund rozszerzenia NATO. Z kolei natura nacisków i postulatów Moskwy odnośnie „warunków” konstruktywnej współpracy z NATO wskazuje na dążenie Rosji do kompletnego rozmiękczenia NATO, tzn. przekształcenia z organizacji czysto wojskowo-obronnej na polityczną. A na froncie domowym – w obliczu początkowo obojętnie nastawionej ludności

8. Igor F. Maksimyczew: „Europejskie konsekwencje stosunków wzajemnych Niemiec, Polski i Rosji”, w pracy zbiorowej pt. „Niemcy-Polska-Rosja / Bezpieczeństwa Europejskie”, red. M. Dobroczyński, wyd. Centrum Badań Wschodnich UW, 1996. Autor, dyrektor Instytutu Europy Ros. Akademii Nauk w Moskwie, przyznaje iż rewizja eurocentrycznej polityki Rosji dokonana w sytuacji, gdyby Rosja poczuła się oddzielenie od procesów ogólnoeuropejskich.

9. Opieram się tutaj na cyklu artykułów pt. „NATO a nowy porządek w Europie” na łamach japońskiego periodyku politycznego *Sekai Shuho*, głównie autorów: Akino Yutaka z Wydz. Nauk Politycznych Uniw. Waseda w Tokio (w l. 1992-94 również staż w Instytucie Stosunków Wschód-Zachód w Pradze czeskiej), Sase Masamori z Wydz. Nauk Politycznych Tokyo Daigaku, Kikuchi Yuuji z Wydz. Stosunków Międzynarodowych Tokyo Daigaku i in.

– kampania antynatowska złączyła wszystkie partie polityczne, łącznie z obozem reform skupionym wokół prezydenta Jelcyna. Dla nowych elit politycznych Rosji powstrzymanie marszu NATO na Wschód stało się sprawą najwyższego prestiżu. Rosja stoi w obliczu nieprzychylnego dla niej rozwoju: stopniowego przesuwania NATO na Wschód – które może się nie ograniczyć tylko do pierwszej rundy państw środkowo-europejskich, oraz wymykania się spod kurateli Moskwy państw na jej własnym „podwórku”, szczególnie Ukrainy.

Sprawa Ukrainy

Sprawa Ukrainy, w oczach ekspertów japońskich, ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa w tym rejonie, właśnie w związku z perspektywą zmieniającego się układu sił w Europie. Nie jest to jednak jak dotąd należycie doceniane ani przez NATO, ani przez zainteresowane mocarstwa regionalne.

Dylematy i oczekiwania Ukrainy w związku z przesuwaniem granicy NATO na Bug przedstawił na łamach japońskiego periodyku politycznego *Seiki Shuho* Michaił B. Pogrebinski z Centrum Badań Politycznych i Konfliktu w Kijowie. Dla Ukrainy – pisze on – rozszerzenie NATO na Wschód jest wielkim wyzwaniem, otwiera nowe możliwości na przyszłość, lecz również wielką niewiadomą, zawierającą wiele niepewności. Największym źródłem obaw jest tu oczywiście Rosja. Dlatego początkowo reakcja Ukrainy była raczej chłodna, obawiano się zwiększonych presji Rosji w kierunku zbliżenia strategicznego. W sumie jednak Ukraina z zadowoleniem wita perspektywę wspólnych granic z NATO na Zachodzie, lecz spodziewa się specjalnego porozumienia z NATO, jak również strategicznego wsparcia ze strony nowych członków NATO – sąsiadów Ukrainy. Właśnie wejście Polski do NATO – komentuje wywody Pogrebinskiego Y. Akino z *Waseda Daigaku* – powinno stać się decydującym czynnikiem dla późniejszego włączenia również krajów bałtyckich i Ukrainy. Jest raczej dziwne i niezrozumiałe – pisze on – iż pomimo pewnej poprawy stosunków, Polska jak dotąd nie wypracowała żadnego planu strategicznego partner-

stwa z Ukrainą. Zupełnie inaczej przedstawia się tu polityka innego ważnego sąsiada Ukrainy, Rumunii. Jest to interesujące i znamienne, gdyż na obecnym etapie rozszerzania NATO, kraj ten zrobił zadziwiający finisz w kierunku wejścia do sojuszu atlantyckiego, może już nawet w pierwszej rundzie. W pierwszym rządzie nowy rząd w Bukareszcie podjął się szybkiego uregulowania sporów terytorialnych z Ukrainą (Północna Bukowina, Poł. Besarabia), w duchu autentycznego pojednania i dobrosąsiedzkich stosunków. Co więcej, dał on wyraznie do zrozumienia, iż Rumunia jest żywotnie zainteresowana w ugruntowaniu niepodległości suwerennej Ukrainy, i w tym duchu będzie wpływać na ewentualne włączenie Ukrainy do NATO. Nowa Rumunia – konkluduje Akino – uznała najwyraźniej poprawę stosunków z Ukrainą za nadrzędne zadanie, traktując wzmocnienie jej suwerenności prawie jako własny, strategiczny cel. Ewentualne przyjęcie Rumunii do NATO będzie więc równocześnie ważnym, pozytywnym sygnałem dla Ukrainy.

Próby otwarcia na Japonię

W sytuacji, gdy wpływy Rosji na europejskiej scenie bezpieczeństwa wyraźnie maleją, jak również nadzieje i plany na przekształcenie WPN w solidny blok strategiczny jako przeciwwagę NATO, Moskwa postanowiła rozegrać kartę dalekowschodnią. Już od roku Moskwa uprawia pewną politykę odprężenia z Pekinem, której kulminacją był niedawny kwietniowy szczyt przywódców obu krajów. Nie wygląda jednak na to, by poprawa stosunków z Chinami mogła doprowadzić do autentycznego zbliżenia. Rzecz w tym, iż Rosja boi się rosnącej dominacji i ekspansji Chin na Dalekim Wschodzie jeszcze bardziej niż Japonia i Ameryka. Uwertury Moskwy wobec Pekinu są więc raczej taktyczną zagrywką, próbą „straszaka” wobec Zachodu, a nie świadomie obraną polityką w kierunku autentycznego partnerstwa.

Inaczej ma się sprawa z Japonią. Jesienią ub.r. przybył do Tokio z oficjalną wizytą minister spraw zagranicznych Rosji K. Primakow, z wyraźną intencją dokonania radykalnego przełomu w trwającym od 40 lat impasie w stosunkach

dwustronnych. Uprzednie próby Gorbaczowa, a ostatnie Jelcyna (jesień 1993) nie dały żadnych rezultatów w sprawie sporu o Wyspy Kurylskie. Wizyta Primakowa zrobiła w Tokio dobre wrażenie. Rząd Japonii nie tylko „odmroził” zawieszoną egzekucję przyznanych w roku 1991 pożyczek w wysokości 500 mln dol., lecz wyraził pierwszy raz zgodę na poważne rozpatrzenie propozycji Moskwy dla planu wspólnego rozwoju gospodarczego Wysp Kurylskich.

Kolejnym, przełomowym punktem w polityce Moskwy wobec Tokio była seria specjalnych posiedzeń Komitetu do Spraw Zagranicznych Dumy pod przewodnictwem Lukina w styczniu br. poświęcona ocenie stosunków z Japonią, z wyrażnym celem znalezienia drogi dla zasadniczej poprawy dwustronnych stosunków między obu krajami. Według wyjaśnień japońskich¹⁰, do Komitetu tego wchodzi wiele osób głównie z partii PLD Żirinowskiego, lecz również z obozu reform Jelcyna oraz PK Rosji. Tym razem jednak, w odróżnieniu od podobnych deliberacji w przeszłości, ujawniła się zdecydowana przewaga frakcji pozytywnie nastawionej do radykalnych zmian w polityce wobec Japonii. Najradykalniejszym sformułowaniem takiej polityki było wystąpienie Mitrofanowa z PLD. Z załamaniem się systemu jałtańskiego w Europie – proponuje on – należy również gruntownie zrewidować postanowienia układów w Jałcie i Poczdamie wobec Japonii. Rosja powinna poważnie rozpatrzyć bezwarunkowy zwrot tych wysp Japonii, z myślą o radykalnej poprawie stosunków dwustronnych. Wspierając propozycję Mitrofanowa, inni zwolennicy takiej koncepcji zgodnie podkreślają, iż Rosja powinna postawić na dalekosiężną współpracę z Japonią nie tylko ze względu na problemy z NATO w Europie, lecz również strategiczne wymiary wspólnego rozwoju gospodarczego rosyjskiego Dalekiego Wschodu.

U podłoża rosyjskich sondaży zbliżenia z Japonią jest

10. Shimotamai Nabuo (Wydz. Prawa Międzynarodowego, Tokyo Diagaku): „Rosja rozpatruje gruntowną zmianę stosunków z Japonią” (*Sekai Shuho*, 25/3/1997).

niewątpliwie rosnące rozczarowanie Ameryką w związku z planami rozszerzenia NATO na Wschód. A więc załóżki reorientacji z Europy na Euroazję, wypływające z rosnącego poczucia izolacji w Europie. Rosja desperacko poszukuje nowych sojuszy, nowych partnerów. Strategom rosyjskim na pewno nie uszedł uwadze niedobry stan stosunków Japonii z Ameryką, widzą tu pewną szansę, co też na pewno zaważyło na decyzji próbnych sondaży pod adresem Tokio. Jednocześnie od wstępnych sondaży do autentycznego zbliżenia droga daleka. Jaskółki zmian to jeszcze nie to samo co gruntowna zmiana i wprowadzanie w życie nowej strategii. Bez kompletnego zwrotu Kuryłów pod pełną suwerenność Japonii trudno sobie wyobrazić radykalne zmiany w nastawieniu Tokio wobec Moskwy. Czas pokaże, czy Moskwę stać na taki krok i jakie są jej rzeczywiste zamiary. Można sobie jednak już dziś wyobrazić dalekosiężne skutki takiego pociągnięcia dla sytuacji bezpieczeństwa nie tylko na Dalekim Wschodzie, lecz w najszerszym wymiarze globalnym.

Janusz MONDRY

Niemiecki kapitał w Polsce

1.

Od kilku lat wśród elit politycznych panuje przekonanie, iż nigdy jeszcze w tym stuleciu stosunki między Polakami a Niemcami nie były tak dobre jak dzisiaj. Momenty harmonii politycznej są szansą dla spokojnego zastanowienia się nad spornymi sprawami, które obciążają współpracę dwóch sąsiadów. Zaangażowanie niemieckiego kapitału w Polsce jest tematem, który po obu stronach budzi nie tylko nadzieje ale i obawy. W Niemczech obok nadziei biznesmenów dotyczącej wejścia na rynek czterdziestu milionów nowych konsumentów panuje wśród wielu obywateli strach przed utratą pracy

na skutek przeniesienia produkcji do sąsiedniej Polski lub Czech. Myśl o szybkim przystąpieniu krajów wyszehradzkich do Unii Europejskiej nie budzi zachwytu u wielu Niemców. Natomiast Polacy rozdarci są pomiędzy nadzieją, iż napływ kapitału zagranicznego przyspieszy modernizację gospodarki, a strachem przed „wykupem kraju przez obcych”. Tym obawom chciałbym poświęcić następujące uwagi.

2.

Strach niemieckich pracowników przed utratą miejsc pracy, przed przeniesieniem produkcji przez niemieckie przedsiębiorstwa za granicę, nie jest bez podstaw. Liberalizacja gospodarki światowej umożliwia dzisiaj niemieckiemu kapitałowi znalezienie korzystniejszych warunków produkcji poza granicami Niemiec. Sam fakt liberalizacji rynku światowego nie jest powodem do niepokoju. Niepokoić powinno Niemców, iż – w przeciwieństwie do pierwszych dekad powojennych – od dwudziestu lat odpływ niemieckiego kapitału z kraju jest wyższy od sumy inwestycji zagranicznych w Niemczech. Rozwój ten spowodował nad Renem i Szprewą intensywną dyskusję na temat Niemiec jako miejsca produkcji (*Standort-Debatte*). Wysoki poziom zarobków nie jest głównym czynnikiem dla powściągliwości zagranicznych inwestorów. Porównując z awangardowymi w dziedzinie technologii krajami jak Stany Zjednoczone i Japonia, Niemcy straciły na ekonomicznej i technologicznej atrakcyjności. Najwyższy poziom obciążenia podatkowego przedsiębiorstw wśród krajów zachodniej Europy, brak skutecznych instrumentów przyciągania inwestorów zagranicznych, brak ducha przedsiębiorczości oraz nasycony rynek odstrasza wielu inwestorów zagranicznych.

Trzeba jednak dodać, iż w dyskusji tej pomijane są zalety Niemiec. Mimo wszelkich problemów panuje tutaj na pewno pozytywny klimat polityczny i społeczny dla inwestycji zagranicznych. System polityczny jest stabilny, sądownictwo nie jest skorumpowane, strajki rzadko paraliżują życie publiczne w kraju, marka należy do solidnych walut, a pracownicy są tu wysoko wykwalifikowani. Błędem byłoby interpretowanie wzrostu niemieckich inwestycji zagranicznych wyłącznie jako ucieczki biznesu z kraju.

Błędem jest też pojmowanie niemieckich inwestycji zagranicznych jako likwidacji struktur produkcyjnych, zatem miejsc pracy nad Renem i Szprewą. Wręcz przeciwnie, obecność niemieckich firm za granicą przyczynia się do zapewnienia miejsc pracy w kraju macierzystym firm. Wynika to stąd, że bezpośrednie inwestycje niemieckiego kapitału sprzyjają niemieckiemu eksportowi. W większości produkcja zagraniczna niemieckiego inwestora zależna jest od dostaw z zakładów kraju macierzystego. Bezpośrednich inwestycji w dynamicznie rozwijających się gospodarkach nie da się tak łatwo interpretować jako zagrożenia dla miejsc pracy w Niemczech. Drogą do zabezpieczenia miejsc pracy jest także aktywność niemieckich inwestorów w dynamicznie rozwijających się rynkach.

Nie dziwi więc, iż część niemieckich związków zawodowych odrzuciła uprzedzenia na temat eksportu kapitału niemieckiego. W ubiegłym roku związek zawodowy przemysłu ciężkiego (*IG Metall*) wydał raport, z którego wynika, iż bezpośrednie inwestycje niemieckiego kapitału za granicą nie są zagrożeniem dla niemieckiego rynku pracy. Celem zdecydowanej większości inwestycji zagranicznych nie jest przeniesienie produkcji, tylko kupno zagranicznych firm, udział w zagranicznym rynku. Według raportu *IG Metall* nie dochodzi przy tym automatycznie do eksportu miejsc pracy, tylko do odpływu pieniędzy.

To, że inwestycje zagraniczne przyczyniają się do zapewnienia miejsc pracy, wynika też z badań na temat rozwoju niemieckiego przemysłu elektronicznego. Przedsiębiorstwa inwestujące w ostatnich pięciu latach za granicą, zlikwidowały mniej miejsc pracy niż przeciętna w tej branży. Bezpośrednie inwestycje w krajach Europy Środkowej i Wschodniej mogą także wpłynąć pozytywnie na rynek pracy w Niemczech, ponieważ 50 procent niemieckich inwestycji bezpośrednich płynie tam w sektor usług oraz rozbudowę infrastruktury, co przyciąga za sobą eksporty z Niemiec. Optymistyczne prognozy dla niemieckiego rynku pracy w związku z inwestycjami zagranicznymi nie dotyczą jednak wszystkich branż. W dziedzinie przemysłu włókienniczego lub odzieżowego inwestycje w Polsce czy Czechach oznaczają rezygnację z drogiej siły roboczej na rzecz tańszej a jakościowo wysokiej produkcji w krajach sąsiednich.

Wśród niemieckich ekonomistów panuje jednak przekonanie, że nie niski poziom zarobków w krajach postkomunistycznych zagraża dobrobytowi w Niemczech, tylko niewystarczająca obecność niemieckiego biznesu na dużych i szybko rozwijających się rynkach, jak na przykład na rynku azjatyckim. Suma niemieckich bezpośrednich inwestycji we wszystkich krajach wschodniej- i południowoschodniej Azji sięga połowy kwoty niemieckich inwestycji w Austrii.

3.

Jak wynika z najnowszych statystyk, w 1995 Niemcy po raz pierwszy przeprowadzili więcej inwestycji bezpośrednich w krajach byłego bloku sowieckiego (4,2 miliardów DM) niż w Azji (1,6 miliardów DM). Mimo rosnącej działalności kapitału niemieckiego w Polsce i innych krajach byłego bloku sowieckiego zaangażowanie przedsiębiorstw niemieckich w tej części Europy jest jeszcze skromne. Nadal ponad 80% niemieckich bezpośrednich inwestycji płynie do wysoko rozwiniętych krajów Zachodu, dwie trzecie pozostaje w Unii Europejskiej, która jednocześnie jest najważniejszym rynkiem dla niemieckich eksporterów. Najbardziej atrakcyjnym krajem dla niemieckich inwestorów jest Wielka Brytania, dokąd w 1995 roku płynęło ponad dwa razy więcej inwestycji znanu niż do krajów Europy Środkowej i Wschodniej.

Nawet jeśli w następnych latach dojdzie do znaczącego wzrostu inwestycji niemieckich w Polsce i w innych państwach wyszehradzkich, to kraje te jeszcze długo nie będą dorównywały znaczeniu Europy Zachodniej dla kapitału niemieckiego. Niskie zarobki i dobrze wykwalifikowane siły robocze wpłyną pozytywnie na przypływ inwestycji zagranicznych do Polski, Czech i Węgier, trzeba jednak podkreślić, że nie są to jedyne czynniki wpływające na decyzje inwestorów. Inwestycje nie koncentrują się w tych krajach, w których są najniższe zarobki czy najwyższe subsydia dla przemysłu, tylko w krajach o najbardziej konkurencyjnej i sprawnej strukturze gospodarki. Polsce i innym krajom Europy Środkowej daleko jeszcze do „azjatyckich tygrysów”. Polska mimo sukcesów w transformacji gospodarki stoi dopiero na początku długiej drogi, która prowadzić ma do osiągnięcia siły nabywczej najbardziej rozwiniętych gospodarczo

państw Azji. Większość ekonomistów jest zdania, iż Polska dopiero za piętnaście lat osiągnie przeciętną zarobków jednego z najbiedniejszych krajów Unii Europejskiej, Grecji, ale tylko jeśli w tym okresie wzrost produktu krajowego brutto co roku wynosić będzie imponujące 7%. Osiągnięcie siły nabywczej Hiszpanii wymagałoby nawet większego wzrostu PKB przez mniej więcej dwadzieścia następnych lat. Porównując z zagraniczną konkurencją polskie przedsiębiorstwa nie są w najlepszej kondycji. Wzrost polskiego eksportu nastąpił w ubiegłych latach tylko w dziedzinie handlu surowcami oraz półproduktami. Główną przeszkodą dla polepszenia konkurencyjności polskiego przemysłu jest brak odpowiednich środków finansowych dla polepszenia marketingu oraz rozwoju nowych produktów i technologii.

Nawet rekordowa suma inwestowanego w ubiegłym roku kapitału zagranicznego w naszym kraju (5 miliardów dolarów) nie pokryła rocznego zapotrzebowania Polski na obcy kapitał, które szacuje się na 8 do 10 miliardów dolarów. Jeśli dynamika przyływu inwestycji zagranicznych do kraju oraz dynamika rozwoju polskiej gospodarki się nie zmieni, to według byłego ministra prywatyzacji, Janusza Lewandowskiego, Polska dopiero za 47 lat osiągnie poziom zachodnich państw uprzemysłowionych.

4.

W ostatnich latach doszło do znaczącego napływu niemieckiego kapitału do Polski. Ze statystyk Polskiej Agencji Inwestycji Zagranicznych (PAIZ) wynika, że kwota niemieckich inwestycji ubiegłorocznych była wyższa od tej z pierwszych pięciu lat po upadku komunizmu. Tylko Amerykanie oraz międzynarodowe koncerny zainwestowały więcej od przedsiębiorstw niemieckich. Statystyka PAIZ-u uwzględnia tylko około stu firm niemieckich, które w ubiegłym roku zainwestowały kwotę wyższą od jednego miliona dolarów. W rzeczywistości niemieckie inwestycje w Polsce są wyższe, ponieważ wśród 25 000 spółek z zagranicznym kapitałem, działa około 6 000 spółek polsko-niemieckich. Zaangażowanie kapitału niemieckiego w Polsce nie składa się zatem z dużych spektakularnych projektów, tylko z inwestycji małych i średnich przedsiębiorców.

W konkurencji o zagraniczny kapitał Polska osiągnęła wśród byłych krajów RWPG pozycję jednego z trzech najbardziej atrakcyjnych miejsc dla inwestorów. Dotychczas jednak Niemcy zainwestowali więcej na Węgrzech i w Czechach niż u swojego dużego środkowoeuropejskiego sąsiada. Między 1990 a 1995 rokiem do Węgier wpłynęło cztery razy więcej a do Czech około dwa razy więcej kapitału niemieckiego niż do Polski. Niemieccy przedsiębiorcy posiadają w Czechach dwie trzecie udziału w spółkach z obcym kapitałem. Fakt iż Węgry i Czechy lepiej wypadają w konkurencji o niemiecki kapitał niż Polska jest zaskakujący. W opublikowanym w ubiegłym roku sondażu zrzeszenia niemieckich przedsiębiorstw współpracujących z krajami Europy Wschodniej (*Ost-Ausschuff der Deutschen Wirtschaft*) wynika, iż Niemcy we współpracy z Polakami zebrali lepsze doświadczenia niż z Węgrami. Ponad połowa ankietowanych firm określiła swoją współpracę z polskimi partnerami jako dobrą lub bardzo dobrą. Doświadczenia z Węgrami zostały ocenione przez około dziesięć procent firm mniej pozytywnie. Także inne sondaże, jak na przykład ubiegłoroczny sondaż Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Wspierania Gospodarki, potwierdzają pozytywne doświadczenia niemieckich inwestorów w Polsce. Przy dokładnej analizie warunków dla inwestorów zagranicznych nie można odkryć decydujących różnic między Węgrami, Polską a Czechami. Ambicja przystąpienia do Unii Europejskiej i do OECD tych krajów przyczyniła się w ubiegłych latach do porównywalnej liberalizacji ustaw o inwestycjach zagranicznych. Można nawet powiedzieć, że ustawy Polski, Węgier i Czech odpowiadają prawnym standardom państw zachodnioeuropejskich. Porównując wyniki makroekonomiczne reform, jak deficyt budżetowy lub wzrost PKB, trzeba stwierdzić, że wyglądają one korzystniej w Czechach i w Polsce niż na Węgrzech. Źródłem atrakcyjności Węgier dla zagranicznych inwestorów nie są zatem jakieś szczególne sukcesy reform gospodarczych nad Balatonem.

Źródłem różnicy w przyływie zagranicznego kapitału szukać raczej trzeba w percepcji gospodarczych i politycznych warunków przez środowiska przedsiębiorcze za granicą. Swoją pozytywny *image* jako atrakcyjny kraj dla zachodnich pro-

ducentów zawdzięczają Węgry swemu wczesnemu otwarciu dla obcego kapitału już za czasów komunistycznych. Wczesne zaangażowanie dużych międzynarodowych koncernów przyciągnęło za sobą dalsze inwestycje. W przeciwieństwie do Węgier Polska mimo reform Balcerowicza w pierwszych latach po obaleniu komunizmu kojarzyła się z politycznie niestabilnym krajem, w którym częste zmiany rządu hamowały reformy ustrojowe, a silne związki zawodowe i dyskusje o roli zagranicznych inwestorów powodowały, iż państwo nad Wisłą było uważane za kraj z wysokim ryzykiem dla inwestorów zagranicznych.

Brak kapitału jest jednym z centralnych przeszkód dla modernizacji przedsiębiorstw w postkomunistycznej gospodarce. Ten problem może być rozwiązany przez otwarcie gospodarki dla zagranicznych inwestorów. Przejęcie polskiego przedsiębiorstwa przez zagranicznego inwestora w ramach prywatyzacji lub utworzenie mieszanych polsko-zagranicznych spółek (*joint-ventures*) nie tylko polepsza często finansową bazę sprywatyzowanego zakładu ale i przynosi często poważne inwestycje wewnątrz przedsiębiorstwa oraz modernizację struktur produkcyjnych. Wśród sprywatyzowanych przedsiębiorstw w Polsce nowe produkty na rynek były sprowadzone przeważnie przez te z udziałem kapitału zagranicznego. Przeciętna wartość zaplanowanych oraz zrealizowanych inwestycji wśród sprywatyzowanych firm z udziałem zagranicznego kapitału jest około dziesięć razy większa niż przy przedsiębiorstwach, które zostały sprzedane polskim inwestorom. W ubiegłym roku 80% spółek z udziałem kapitału zagranicznego dokonało inwestycji, przy czym jedna trzecia reinwestowała aż całość zarobionych sum.

Pozytywną rolę zagranicznego kapitału w rozwoju polskiej gospodarki przedstawia raport państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych (PAIZ) z ubiegłego roku¹. Raport PAIZ-u potwierdza oczekiwania, iż udział kapitału zagranicznego z reguły prowadzi do polepszenia warunków produkcyjnych oraz do podwyższenia jakości produktów. Ten proces modernizacyjny wewnątrz spółek z udziałem kapitału zagra-

1. Jędrzej Bielecki, „Najtańszy katalizator gospodarki”, *Rzeczpospolita*, 19 lipca 1996.

nicznego, nie pozostaje, jak podkreślają autorzy raportu PAIZ-u, bez wpływu na polskich przedsiębiorców. W ciągu jednego roku połowa polskich konkurentów dochodzi do znaczącego polepszenia warunków produkcji oraz podwyższenia jakości produktów. Pozytywny wpływ odczuwają także pracownicy. Poprzez inwestycje w szkolenia polepszyły się często ich kwalifikacje. Około dwie trzecie z nich zarabia więcej niż u polskich pracodawców.

Do podobnie pozytywnej oceny działalności kapitału zagranicznego w Polsce dochodzi raport Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, finansowany przez Komitet Badań Naukowych²: Inwestorzy zagraniczni „traktują kontrolowane przez siebie firmy bardzo poważnie i podejmują decyzje gwarantujące długookresowy rozwój. Żadną miarą nie jest to więc ani kapitał spekulujący, szukający zysku kosztem niszczenia przedsiębiorstw, ani też kapitał wrogi, skoncentrowany na usuwaniu konkurenta”³.

Wymieniony powyżej raport PAIZ-u przedstawił nie tylko wpływ udziału zagranicznego kapitału na polskie przedsiębiorstwa, ale i podjął pierwszą próbę określenia korzyści dla polskiej gospodarki narodowej, wynikających z napływu inwestycji zagranicznych. Według obliczeń PAIZ-u napływ kapitału zagranicznego w dużej mierze (w wysokości czterdziestu procent) przyczynił się do wzrostu PKB w 1995 roku oraz do zmniejszenia presji inflacyjnej. Zaangażowanie zagranicznego kapitału sprzyja także konkurencyjności polskiej gospodarki na rynku światowym. Według obliczeń PAIZ-u każdy milion dolarów inwestycji zagranicznych zwiększa eksport o 2,4 mln dolarów. Przy reinwestycji zysków, wpływ zagranicznych inwestycji na eksport jest bardziej korzystny. Jeden milion reinwestowanych zysków powoduje powiększenie eksportu o 13,1 mln dolarów. Autorzy raportu PAIZ-u podkreślają, iż szybki wzrost polskiego eksportu w ubiegłych latach byłby niemożliwy bez napływu zagranicznego kapitału.

2. Maria Jarosz (red.), „Kapitał zagraniczny w prywatyzacji”, ISP PAN, Warszawa 1996.

3. Bożena Czyżkowska, „Solo w duecie”, *Polityka*, Nr 49, 7 grudnia 1996.

Konkretne dane na temat wpływu zagranicznych inwestycji na poziom zatrudnienia, w tym raporcie nie zostały sformułowane. Inwestycje zagraniczne związane są co prawda z tworzeniem nowych miejsc pracy, jednak autorzy raportu PAIZ-u przyznają, iż wprowadzenie nowoczesnych technologii i metod produkcyjnych powoduje także likwidację miejsc pracy.

Inną sporną kwestią jest wpływ kapitału zagranicznego na rozwój technologiczny danego kraju. Z badań nad transformacją gospodarki Hiszpanii i Portugalii wynika, że oczekiwane ogólne wzmocnienie technologicznej konkurencyjności zacofanej gospodarki narodowej nie następuje tylko i wyłącznie poprzez otwarcie rynku dla kapitału zagranicznego, ponieważ liberalizacja ta prowadzi często do masowych importów technologii. Proces nadrabiania deficytów technologicznych nie dokonuje się w całej gospodarce narodowej, tylko w spółkach z udziałem kapitału zagranicznego. Działalność tych spółek tylko w niewielu przypadkach koncentrowała się na eksporcie lub na rozwoju technologii. Z doświadczeń Hiszpanii oraz Portugalii wynika też, że zagraniczne firmy inwestowały w większości przypadków w przedsiębiorstwa, które już wcześniej wyróżniały się wysoką produktywnością, zyskami oraz dobrymi szansami rozwoju. Wkład zagranicznego kapitału w modernizację i restrukturyzację na półwyspie iberyjskim był ograniczony do technologicznie już wysoko rozwiniętych branż, co doprowadziło do zniekształcenia struktur gospodarki narodowej⁴.

6.

Sporny jest także udział inwestorów zagranicznych w tak zwanych „wrażliwych branżach”, jak w przemyśle zbrojeniowym, rolnictwie oraz w mediach. Szczególnie udział niemieckiego koncernu prasowego *Neue Passauer Presse* w dwunastu polskich dziennikach budzi nie tylko u nacjonalistycznych agitatorów strach przed utratą narodowej suwe-

4. Andrea Eltető, Pál Gáspár, Magdolna Sass; „Foreign Direct Investment in East-Central Europe in Comparative Analysis with Spain and Portugal”, Institute of World Economics, Hungarian Academy of Science, Budapest 1995.

renności i obawy przed niebezpieczeństwem dla wolności słowa. Ograniczenie udziału zagranicznego kapitału w prywatyzacji polskiej gospodarki stało się ważnym elementem tożsamości politycznej nie tylko współzrządzącej PSL ale i również opozycyjnego ROP-u⁵. Te rozważania chciałbym skomentować krótko następującymi słowami niemieckiego publicysty Klausa Bachmanna: „Korzyści i zagrożenia nie wynikają z pochodzenia, lecz z konkretnej działalności. Ograniczenie udziałów w prasie nie zapobiegnie zagrożeniom dla wolności prasy – nie tylko dlatego, że można je bez trudu obejść. To nie monopol zagraniczny byłby zagrożeniem dla wolności prasy, lecz monopol w ogóle, zagraniczny, tak samo, jak polski. Polska nie potrzebuje ustawy dyskryminującej kapitał zagraniczny, która nie przetrwałaby nawet wstępnych rozmów z Komisją Europejską, lecz nowoczesnej ustawy antykarlowej, jaką mają np. Francja i Niemcy”⁶.

7.

Pod koniec rozważań na temat kapitału zagranicznego chciałbym podkreślić, że dynamiczny rozwój gospodarki narodowej nie jest skutkiem inwestycji zagranicznych. To zagraniczni inwestorzy przyciągani są przez kraje, w których proces dynamicznego rozwoju został już zainicjowany. Inwestycje zagraniczne są jednym z wielu motorów gospodarczego rozwoju. Dla Polski oznacza to, iż inwestycje zagraniczne mogą przyspieszyć rozwój gospodarczy, ale samo otwarcie rynku dla kapitału zagranicznego nie zastępuje daleko idących reform ustrojowych. Polskie państwo pozostaje więc odpowiedzialne za powiększenie narodowego nakładu inwestycyjnego w celu modernizacji struktur gospodarczych, w celu zwiększenia eksportu oraz zapewnienia atrakcyjności polskiego rynku.

Basil KERSKI

5. Polecam bardzo ciekawy artykuł Janusza A. Majcherka na ten temat: „Odmiany kapitału”, *Tygodnik Powszechny*, 13 kwietnia 1997.

6. Klaus Bachmann, „Czy Polska jest naprawdę proeuropejska (2)”, *Rzeczpospolita*, 21 października 1996.

Bojówki Kociołka

Warszawska organizacja partyjna zapisała się złotymi zgłoskami w walce o obronę socjalizmu w PRL. Chodzi przy tym o walkę nie w sensie przenośnym lecz dosłownym, jeżeli już nie z bronią, to przynajmniej z pałką w rękę; przypomnijmy akcję „aktywu” w marcu 1968 r. W późnych latach 70-tych specjalne grupy, złożone głównie z barczystych studentów AWF, specjalizujących się w karate, rozbijały wykłady Towarzystwa Kursów Naukowych. Bojówkarze dobrze sobie radzili bez dodatkowych akcesoriów, wszak „karate” znaczy po japońsku „pusta dłoń”. Jeden z czołowych aktywistów, Jerzy Folcik, wskazał po latach w telewizyjnym programie „Rozmowa dnia” organizatorów i patronów napałów na wykładowców i słuchaczy TKN – Komitet Warszawski PZPR.

W 1981 r. fundamenty socjalizmu w Polsce kruszały w oczach. I sekretarzem Komitetu Warszawskiego był wówczas – według słów Wojciecha Jaruzelskiego – „działacz zdolny, stosunkowo młody, jednak już szeroko znany” – Stanisław Kociołek. Miał za sobą doświadczenia sekretarza KC w trudnym okresie grudnia 1970 r., gdy „awangarda klasy robotniczej” musiała sięgnąć do drastycznych środków w obronie socjalizmu przed robotnikami.

W roku 1981 zagrożenia były większe, zwłaszcza, że kryzys systemu trwał już od wielu miesięcy, partię trawiły wewnętrzne walki i symptomy rozkładu, zaś I sekretarz KC wykazywał daleko posuniętą indolencję w obliczu radykalizacji postaw robotniczych, nie baczących na zalecenia uwikłanych w gabinetową politykę doradców „Solidarności”.

Rosnąca nerwowość w stolicach sąsiednich państw była zrozumiała. 16 maja 1981 r. przywódcy KPZS, SED i KPCz spotkali się w Moskwie. O naradzie nie poinformowano kierownictwa PZPR. Uczestnicy konferencji byli zgodni w sprawie konieczności wymiany przywództwa PZPR, nie widzieli jednak możliwości dokonania tego w bliskiej perspektywie

czasowej. Jedną z trudności był brak odpowiedniego działacza, którym można byłoby zastąpić Kanię. Honecker wymieniał wprawdzie swoich kandydatów – Grabski, Kociołek, Olszowski, Żabiński. Sowietci uważali jednak, że „zdrowe siły” w PZPR nie są wystarczająco dobrze zorganizowane, aby móc przeprowadzić wymianę I sekretarza. Rezultatem narady w Moskwie było postanowienie zintensyfikowania kontaktów z marksistowsko-leninowską częścią aparatu polskiej partii, przy czym głównym celem było zapewnienie „korzystnego przebiegu” IX nadzwyczajnego zjazdu PZPR.

Wyniki zjazdu zwiększyły jedynie przerażenie w stolicach „bratnich państw”. W tej sytuacji postanowiono kontynuować współpracę z „prawdziwymi komunistami” z PZPR, z wyraźnym celem odsunięcia Kani od władzy, co stało się tym bardziej realne, że towarzysze sowieccy znaleźli wreszcie właściwego człowieka, który był gotów do „zdecydowanej walki z kontrrewolucją”. Był nim Wojciech Jaruzelski.

Informacje na temat rozmów przedstawicieli bratnich partii z uznanymi za godnych zaufania działaczami PZPR można znaleźć w zachowanych archiwach SED; kilka podstawowych dokumentów przedstawiłem w tłumaczeniu lub w omówieniu na łamach *Zeszytów Historycznych*. Z owymi rozmowami łączy się zapewne również teczka z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD (MfS), opatrzona sygnaturą MfS ZAIG 13571, przechowywana obecnie w Urzędzie Joachima Gaucka w Berlinie. Obejmuje ona dane dotyczące czołowych działaczy PZPR, dokumenty pochodzą z roku 1981. Informacje zawarte w tych materiałach powtarzają się w aktach SED. Tak jest również w wypadku charakterystyki Stanisława Kociołka; z trzech poświęconych mu dokumentów wybrałem do tłumaczenia jeden. Materiał powstał w Centralnej Grupie Analiz i Informacji (MfS (ZAIG), która była analitycznym mózgiem Stasi. Jej pracownicy korzystali z wszelkich dostępnych źródeł, w tym również ze sprawozdań z rozmów działaczy SED z polskimi towarzyszami (jeden z dokumentów podaje nawet jako źródło „Sprawozdanie Kierownictwa Okręgowego SED z Berlina”, które utrzymywało bliski kontakt z Warszawską Organizacją Partyjną).

W 1981 r. obrona socjalizmu w PRL wymagała rzeczy-

wiecie zdecydowanych działań. W odniesieniu do Kociołka generał Jaruzelski pisze wprawdzie o ideowej pryncypialności „aż do skrajności”, nie wymienia jednak konkretnych przyczyn, uzasadniających taką ocenę. Dokument z archiwów MfS dostarcza kilku szczegółów na temat działalności I Sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR. Dodatkowe dane, uzupełniające informacje z publikowanego dokumentu Stasi, znajdujemy w aktach SED. I tak I sekretarz zarządu okręgowego SED w Berlinie Wschodnim i członek politbiura Konrad Naumann, przytaczał w sprawozdaniu z rozmowy z Kociołkiem 28 września 1981 r. szczegóły na temat tworzonych bojówek:

W Warszawskiej Organizacji Partyjnej wybrano tymczasem około 2500 absolutnie godnych zaufania towarzyszy. Są szkoleni w posługiwaniu się bronią i używani do rozpowszechniania ulotek, niszczenia plakatów i materiałów propagandowych wroga. Czas ich mobilizacji na wypadek alarmu wynosi 2 godziny. Broń przechowuje się w komendach milicji. Co prawda nie są to jeszcze bataliony robotnicze ani grupy bojowe jak w NRD, niemniej jednak jest to dobry początek.

Znane są również podejmowane przez Kanię próby pozbycia się Kociołka, poprzez posłanie go do Moskwy na stanowisko ambasadora PRL. Z dokumentów SED wiadomo, że zdecydowanie sprzeciwili się temu Sowieci. W rozmowie z szefem wydziału spraw międzynarodowych KC SED Sieberem, Rusakow wyjaśnił, że Kani jasno powiedziano, iż towarzysze sowieccy oceniają Kociołka bardzo wysoko i dlatego właśnie powinien pozostać w Warszawie.

Pod koniec września 1981 r., w momencie gdy powstaje zamieszczona poniżej charakterystyka, upadek Kani jest już przesądzony. Jaruzelski odsuwa się od stojącego na straconej pozycji I sekretarza. We wspomnianej rozmowie z Naumannem, Kociołek wskazuje na te różnice w postawach szefa partii i premiera. Zaznaczają się one również w poglądach na proponowane przez Kociołka zdecydowane kroki na rzecz obrony socjalizmu. Relacja Naumanna z 6 października 1981 r.:

[Kociołek] wypowiedział się za tym, aby „rychło, jak najrychlej” podjąć jeszcze ostatnią próbę: na niezwłocznym

posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego delegacja polska musiałaby podpisać plan działań, który byłby wprowadzony w Polsce przez Polaków i obejmowałby prośbę Polski o zapewnienie skutecznego udziału bratnich państw, „po wprowadzeniu w Polsce stanu wyjątkowego na 2 do 3 lat”.

Kania odrzucił ten plan, natomiast Jaruzelski „okazał dlań zrozumienie”. Scenariusz Kociołka przewidywał pewne elementy przypominające rozwiązanie zastosowane w Czechosłowacji w 1968 r. Celem spotkania Doradczego Komitetu Politycznego miałyby być konkretne ustalenia i postanowienia w sprawie „działań, które w Polsce podjęliby Polacy” i w sprawie „pomocy ze strony bratnich państw”. Katalog tych działań miałby zostać przekazany „odpowiednią drogą” sowieckim przyjaciółom już przed naradą, tak aby polska delegacja, „choć może nie wszyscy jej członkowie”, mogła złożyć pod tym katalogiem podpisy.

Zrealizowano jedynie pewne elementy scenariusza Kociołka. Wypada jednak podkreślić jego zasługi w odsunięciu Kani od władzy, choć Kociołek od IX zjazdu nie był nawet członkiem KC. Zmiana na stanowisku przywódcy PZPR była elementem koniecznym, aby podjąć wreszcie „walkę z kontrrewolucją”. Sekretarz KC KPZS odpowiedzialny za sprawy bloku, Rusakow, przedstawił Honeckerowi w rozmowie 21 października 1981 r. szczegóły działań Sowietów w celu wymiany szefa partii w Polsce. Zwrócili się oni bezpośrednio właśnie do Kociołka i Grabskiego, aby „odpowiednio przygotowali” IV plenum KC PZPR. W ocenie Rusakowa obaj towarzysze „odegrali wybitną rolę i w pełni sprawdzili się w tej skomplikowanej walce”.

18 października 1981 r. Wojciech Jaruzelski objął stanowisko I sekretarza KC PZPR. W czerwcu następnego roku ten sam Kociołek, którego Sowieci utrzymali w Warszawie, organizując obalenie Kani, został ambasadorem PRL w Moskwie. Widocznie generał Jaruzelski zdołał przekonać „radzieckich przyjaciół”, że lepiej będzie, aby Kociołka w Warszawie nie było. Poniższy dokument pozwala domyślić się, dlaczego.

Tomasz MIANOWICZ

29.9.81
Ścisłe tajne

DANE DOTYCZĄCE 1. SEKRETARZA KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR WARSZAWA STANISŁAWA KOCIOŁKA

Tow. Kociołek określany jest jako prawdziwy komunista i internacjonalista. W wystąpieniach w dyskusji na IX Zjeździe PZPR i na późniejszych posiedzeniach KC PZPR, w których brał udział jako gość, oceniał realnie położenie w PRL. Podkreślał, że sytuację w kraju można opanować tylko [wówczas], gdy partia powróci do jasnej marksistowsko-leninowskiej linii. Wielokrotnie zwracał uwagę na wywoływane przez kontrrewolucję zagrożenia dla socjalizmu i żądał w związku z tym od kierownictwa partii i rządu konkretnych działań celem wzmocnienia władzy państwowej i zwalczania kontrrewolucji. Tow. Kociołek wystąpił na 3. plenum KC PZPR (2-3.9.81) przeciwko zawartej w referacie i w projekcie uchwały rewizjonistycznej linii w sprawie samorządu. Domagał się m.in. zapewnienia wpływu partii i państwa na gospodarkę, wzmocnienia organów wykonawczych w celu ustabilizowania sytuacji w gospodarce narodowej oraz [domagał się] zachowania uprawnień państwa w dziedzinie obsadzania stanowisk dyrektorów przedsiębiorstw.

Według informacji wewnętrznych na obszarze województwa warszawskiego rozpoczęto pod kierownictwem tow. Kociołka szkolenie wojskowe godnych zaufania członków Warszawskiej Organizacji Partyjnej oraz tworzenie robotniczych grup bojowych. W czasie rozmów z członkami kierownictwa partyjnego KPCz na początku września 1981 r. w Pradze, uzgodniono wysłanie niewielkiej grupy wybranych towarzyszy z Warszawskiej Organizacji Partyjnej do Pragi, na szkolenie w zakresie tworzenia i sposobu działania czechosłowackiej milicji ludowej (grupy bojowe). Gdy tow. Kociołek poinformował Pierwszego Sekretarza KC PZPR o tej umowie, usłyszał w odpowiedzi, że jest przewidziany na stanowisko ambasadora w ZSSR. Pomysły tego typu wysuwano w kierownictwie partyjnym PZPR już w połowie sierpnia 1981 r.

Według ściśle poufnych informacji tow. Kociołek utworzył ponadto grupę działającą na zasadach konspiracyjnych. Do grupy tej mają należeć m.in. członkowie sekretariatu i kierownik wydziału Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Planuje ona wydawanie materiałów propagandowych, w których mają być zdemaskowane dywersyjne działania kontrrewolucji.

Grupa ta uczestniczy aktywnie w działaniach przygotowawczych do X Zjazdu Partii, na którym ma być wybrane marksistowsko-leninowskie kierownictwo partii.

Członkowie Katowickiego Forum Partyjnego wymieniają tow. Kociołka jako potencjalnego kandydata na czoło nowego kierownictwa Partii.

Tow. Kociołek wspiera pracę Warszawskiego Forum Partyjnego, które działa przy Komitecie wojewódzkim jako marksistowsko-leninowskie seminarium szkoleniowe.

Kraj

„Nasz naród sprawdza się tylko w dziedzinie walki orężnej. A kiedy spokój i wolność, to zaraz podnoszą się szuje i łajdaki. Ustawicznie właśnie personalne i partyjne, jakieś dziwne panoszenie się brudu i jakiejś bezzcelnej, łajdakiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu.”

Józef Piłsudski

Przed meczem

1.

Lech Wałęsa jest teraz jedynym poważnym politykiem w Polsce, który wierzy „na sto procent” w triumf wyborczy prawicy i pognębienie „komuny”. Przynajmniej tak twierdzi. Dla niego jednak „obóz solidarnościowy” obejmuje również Unię Wolności. Wiadomo skądinąd, że zwycięstwo Mariana Krzaklewskiego pogrzebałoby definitywnie szanse Wałęsy na powrót, natomiast w razie porażki wszystko znów stałoby się możliwe. Niewykluczone więc, że pewność afiszowana przez Wałęsę ma oddalić od niego podejrzenia o dwulicową grę wobec AWS, zwłaszcza że jego dawni adherenci są o nią posądzeni wprost (mowa o tzw. Przymierzu Prawicy, sklejące w AWS z grupką Kowalskiego, Gwiżdza, Moczulskiego itd.)

Na pierwsze wejście nie ma wyraźnego powodu osłabienia dobrego samopoczucia które cechowało prawicę, szczególnie polityków i związkowców z AWS, jeszcze przed kilku miesiącami. Zbiorcze wskaźniki w sondażach są – w granicach błędu statystycznego – niezmiennie, podobnie jak w przypadku głównego przeciwnika – SLD. Zwraca wprawdzie uwagę, że SLD ma wyraźnie zwolenników bardziej zdecydowanych:

wśród tych, którzy deklarują, że na pewno będą głosować we wrześnie, SLD ma aż 37% wskazań i wyraźnie wyprzedza AWS. To jednak może też znaczyć, że SLD jest już bliższy pułapu swoich możliwości wyborczych, podczas gdy AWS jest w stanie pozyskać więcej niezdecydowanych. Chyba że zdobędą ich raczej rywale z prawa (ROP) lub z centrum (UW). Innym sygnałem z sondaży jest rosnąca, choć powoli, nadwyżka przewidywań zwycięstwa lewicy (41:32), a jeszcze innym, że na pytanie, jakiej by sobie życzyli koalicji rządowej po wyborach, respondenci wymieniają w 45% kombinacje z udziałem UW, w 40% – z SLD, a tylko w 31% – z AWS i ROP. Obie ostatnie formacje występują stale razem, co oznacza, iż elektorat uznaje, że są one skazane na siebie wzajem (w razie zwycięstwa). Ale koalicji wyłącznie z AWS i ROP życzy sobie znikomy tylko procent wyborców i jeszcze mniejszy uważa ją za realną możliwość.

Tym jednak, co najbardziej przytłumia triumfalizm w obozie AWS, nie są sondaże, z których nic nie wynika lecz słabnięcie ducha jedności we własnych szeregach.

Przypomnę misterną strukturę dowodzenia w tej formacji. Rada AWS złożona z reprezentacji związku zawodowego i sprzymierzonych partii głosuje udziałami: związek ma 50%, partie zaś pozostałe połowę, przydzielaną formalnie przez komputer dr. Krzaklewskiego (12 dla ZChN, 12 dla PC itd), co nie przeszkodziło z miejsca poczuciu krzywdy u działaczy mniejszych ugrupowań ze skrzydła konserwatywno-liberalnego ale także PC. Na zjeździe PC w kwietniu Jarosław Kaczyński oświadczył wprost, że gdyby osławiony „komputer” był uczciwy, PC dostałoby 18-19 udziałów. Ponieważ jednak ustalono, że decyzje zapadają większością co najmniej 75% udziałów, strona partyjna AWS uznała najpierw, że w sumie konstrukcja ta zabezpiecza ją przynajmniej przed majoryzacją przez stronę związkową, czego obawiano się najbardziej. W istocie rzeczy w relatywnym ograniczeniu dominacji związku w procencie decyzyjnym w AWS zainteresowany był najbardziej sam Krzaklewski, dla którego władzy zagrożeniem nie są politycy partyjni (przynajmniej do czasu, jeśli taki nadejdzie, uformowania rządu), ale baronowie z wielkich regionów związku: Jankowski z Warszawy, Kempski ze Śląska, Tomaszewski z Łodzi, Rybicki z Gdańska, Pałubicki

z Poznania. Nawet jeśli teraz są wiernymi marszałkami cesarstwa. Nie przypadkiem najlepsi publicyści takiej prasy jak *Rzeczpospolita* czy *Gazeta Wyborcza*, której Marian Krzaklewski z jego mentalnością słuchacza Radia Maryja nie zachwyca, stale szukają dla niego przeciwwagi w związku, to w tym, to w innym regionie. Dopóki jednak związek jest zaangażowany w walce politycznej, w której liczy na zwycięstwo, są to poszukiwania iluzoryczne. Ewentualną konkurencją dla Krzaklewskiego mogliby być nie działacze o bardziej zniuansowanych poglądach ideowych i politycznych, ale o innych, bardziej związkowych nastawieniach. Ci jednak nie mają teraz szans: aparat i aktyw związku są zaangażowane nie we wzmacnianie siły przetargowej Solidarności i społecznej kontroli władz, ale przede wszystkim w otwartą walkę o przejęcie władzy politycznej. Jakby się to miało dokonać, nie jest dla nich samych jasne. Publicznie związkowcy deklarują, że Solidarność nie chce bynajmniej rządzić i że właśnie dlatego powołała AWS. Ale wizja stosunków pomiędzy przyszłą władzą prawicy a związkiem jest najzupełniej mgławicowa, jeśli pominąć postulat wpisania Komisji Trójstronnej do konstytucji (do czego ostatecznie nie doszło i czego zresztą Marian Krzaklewski domagał się półgębkiem i bez zapału). Część działaczy wyobraża sobie, że po prostu obsadzi listy wyborcze AWS i, zwłaszcza, że wyeliminuje z mandatowych miejsc różnych znanych polityków o liberalnej proweniencji. Krajowy Zespół Elekcyjny AWS, gdzie jest 3 szefów regionów (Tomaszewski, Kempski, Rybicki) oraz Stanisław Iwanicki z Instytutu Lecha Wałęsy i Kazimierz Kapera z ZChN, ma co do propozycji z terenu prawo sprzeciwu, ale zapewne w niejednym przypadku doszłoby do blokady, gdyby nie „jednoosobowe kierownictwo” Krzaklewskiego, który rozstrzyga ewentualne spory. Lecz problemu przełożenia postulowanego związkowego wpływu na przyszłe struktury władzy nie wyczerpuje bynajmniej wyłonienie pokaznej grupy posłów „S”: doświadczenie uczy, że delegowani do władz związkowcy przejmują szybko „państwowy” styl patrzenia. Toteż nieufni wobec swoich politycznych przyjaciół związkowcy mają inny jeszcze na nich sposób: miałyby nim być sojusz z Ruchem Odbudowy Polski, który pozyskuje tych nieufnych zdecydowanym antyliberalizmem.

Jak mi zakomunikował Adam Słomka, szef KPN-Obóz Patriotyczny, a obecnie jeden z czterech zastępców przewodniczącego AWS, 80% AWS życzy sobie po wyborach aliansu z ROP. Jest w tym kontekście charakterystyczne, z jaką powściągliwością, by nie rzec niechęcią, traktowany jest ROP w dowództwie AWS; tak np. rozmowy o uzgodnienie wspólnych kandydatur do Senatu idą jak po grudzie, nie mówiąc już o kandydaturach trójstronnych (AWS-ROP-UW), z których nic nie wyszło, a jedyne uzgodnienie w Warszawie, zostało odwołane.

Szarpanina o miejsca mandatowe na listach wyborczych nie jest wcale specjalnością AWS i nie warto byłoby o niej pisać, gdyby w tej właśnie formacji te rozgrywki nie były politycznie spolaryzowane. Jedną z osi polaryzacji są relacje związek-partie, drugą natomiast napięcia pomiędzy narodowo-katolicką a liberalizującą grupą partii i organizacji składających się na AWS. Ponieważ pierwsza z tych grup ma zdecydowane poparcie większości aparatu związkowego i samego Krzaklewskiego, zawładnęła nie tylko stanowiskami zastępców Krzaklewskiego (patrz: poprzednia *Kultura*), ale ma również większość we wspomnianym Zespole Elekcyjnym, gdzie opcję zdecydowanie narodowo-katolicką reprezentują Kapera, Kempski i Rybicki, a Tomaszewski, który jest wiernym *alter ego* Krzaklewskiego tylko dlatego nie jest tak kwalifikowany, ponieważ jest człowiekiem spokojnym i nie hałaśliwym. Iwanickiego z Instytutu Lecha Wałęsy wypada ustawić na oddzielnej półeczce, niezależnie od jego własnych poglądów.

Lepiej zrównoważone jest gremium pracujące nad programem AWS. Wśród ponad 500 ekspertów(!) w 12 zespołach jest wielu zgłoszonych przez liberałów i PC. Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego jego PC stanowi programową opcję chadecką, nieobecną w ścisłych władzach AWS po rezygnacji Kaczyńskiego z ubiegania się o mandat jednego z wiceprzewodniczących. Jak twierdzą inni, konflikt pomiędzy PC a większością AWS nie jest sporem ideowym, lecz walką o przejęcie steru organizacyjnego w AWS. Tak czy inaczej PC ponoć bruzdzi, gdzie tylko może. Grupy liberałów – Ruch Stu Czesława Bieleckiego, Stronnictwo Konserwatywno Ludowe Halla, Janiszewskiego, Rokity i Komorowskiego oraz

ich różni luzem biegający dawni współpracownicy – są również bardzo aktywni w zespole programowym. Program jest już gotowy i czeka na zatwierdzenie. Wspomniany Adam Słomka twierdzi, że jest to „bardzo dobry program” i że „wszyscy możemy się pod nim podpisać”, a przyciskany pytaniami dodaje, że „jak to program, jest cały bardzo słuszny, nie ma tam nic nowego”. Ceną jedności są, jak zwykle, banały.

Krótko mówiąc, napięcia i polaryzacje w AWS rosną. Podtrzymuję wypowiedzianą już w *Kulturze* opinię, że nie rozbiją one AWS przed zebraniem się nowego parlamentu. Ale już teraz widać, że AWS nie jest ani partią, ani koalicją. Jest kartelem wyborczym. Marian Krzaklewski, który nie tai, że chce – po zwycięstwie, ma się rozumieć – zrobić z AWS zwartą „partię prezydencką” gotową do rozegrania i wygrania walki o prezydenturę w r. 2000, ma jeszcze całą drogę przed sobą.

2.

SLD też jest formalnie koalicją, podobnie jak AWS, ale na tym kończy się podobieństwo.

AWS ma rywali, ale tylko jednego przeciwnika, właśnie SLD. Rywale czasem krytykują Akcję, czasem podskubują jej przewodniczącego, ale w istocie albo są tak samo jak ona antykomunistyczni (ROP) albo sytuują się sami pośrodku skali, przy czym odrzucanymi biegunami są dla nich SLD i ROP, nie zaś Akcja. Do AWS strzela więc tylko jeden przeciwnik, inni aktorzy co najwyżej reagują na agresję (jak np. w sprawie konstytucji), a i to raczej słabo. Krótko mówiąc, AWS mogłaby mieć bardzo klarowną strategię walki wyborczej, gdyby nie jej kłopoty z wewnętrzną spójnością. Paradoksalnie, mimo tak zdecydowanego przesunięcia na prawą stronę skali i programowego potępienia Grubej Kreski i Okrągłego Stołu w AWS powtarzają się poniekąd dylematy, jakie miał kiedyś OKP, pierwsza polityczna emanacja „S”. Najwidoczniej ich korzenie tkwią w samym zestawieniu solidarnościowego ruchu z sytuacją społeczną, do której powstania on właśnie najbardziej się przyczynił.

SLD nie ma żadnych problemów z wewnętrzną spójnością, a na zewnątrz ma samych przeciwników, gdyż przeciwni-

kiem jest po części również obecny koalicjant Sojuszu, PSL, i przeciwnikami są ewentualni przyszli alianci, UW czy UP. Na pytanie, dlaczego się tak rzeczy mają, pada zazwyczaj odpowiedź, że SLD nie chciał (nie umiał) zerwać z PRL-owską przeszłością. Jest to odpowiedź częściowo tylko prawdziwa – gdyż SLD rzeczywiście nie chciał zerwać z PRL, jeśli przez zerwanie rozumieć całkowite i pryncypialne potępienie. Politycznie jest to zarazem odpowiedź naiwna, gdyż SLD nie mógłby w ogóle istnieć, gdyby zerwał z przeszłością tak radykalnie, jak się tego domagają (retorycznie) jego przeciwnicy: mając na głowie wyłącznie popiół pokuty nie podobna uprawiać polityki. A SLD, choć to zapewne moralnie nie w porządku, politykę uprawia nieprzerwanie. I nie jest wcale prawdą – jak mi to kiedyś tłumaczył bardzo znany działacz SLD, dziś na bardzo wysokim stanowisku – że ludzie SLD (SdRP) zajęli się polityką z instynktu samozachowawczego: nic im tak naprawdę nie groziło, nawet z rąk Macierewicza, gdyby chcieli się zająć czymkolwiek innym.

Prawda wygląda inaczej. Politycy SLD od zarania uprawiają politykę po to, by przeprowadzić siebie, swoich partyjnych przyjaciół z PZPR i swoją klientelę społeczną – a zatem, rzecz można, „materiał ludzki” PRL – na drugi brzeg historycznej cezury, do nowego ustroju i nowego państwa. I przeprowadzić tak, żeby możliwie nie naruszyć wewnętrznych hierarchii i zależności tego bloku. No, i nie stracić dobrych miejsc na społecznych drabinach. Przy czym ludzie SLD szczerze uważają, że mają pełne moralne prawo do takiej polityki. Kapitalizm i demokracja nie nastały w Polsce, ich zdaniem, z niczyjej zasługi – a jeśli z czyjejś, to wszystkich po prostu. „Wyczerpały się” historyczne możliwości realnego socjalizmu, upadł Związek Sowiecki... Jeśli Solidarność istotnie lepiej przygotowała demokrację, to za to PZPR i jej nomenklatura lepiej przystosowały Polskę do kapitalizmu, wprowadziły swobodę działalności gospodarczej i rozkradły – przepraszam, uspokoiły – w pierwszym rzucie co się dało, realizując pierwszą akumulację kapitału, kiedy Solidarność chodziła jeszcze bez butów... To nie jest karykatura, ludzie SLD tak rzeczywiście myślą, lub przynajmniej odczuwają.

Największym niewątpliwie paradoksem polskiej historii politycznej ostatnich 8 lat jest to, że SLD sprawniej i udaniej

przeprowadził na ów drugi brzeg ustrojowy swoich ludzi niż Solidarność. A namacalnym tego dowodem jest to, że obóz solidarnościowy porozlatywał się na kawałki i to właśnie pod wpływem napięć wywołanych przejściem, natomiast obóz popeerelewski zachował się z grubsza w całości. Sprzyjały temu oczywiście okoliczności, zwłaszcza fakt, że władzę w pierwszej fazie transformacji sprawował obóz solidarnościowy, a SLD ją recenzował. Sprzyjała temu również nieopanowana głupota polityków prawicy, którzy dosłownie wpychali w ręce SLD wszystkich tych, którzy w ostatnich dziesięcioleciach PRL-u trochę się dorobili w kolejnych małych stabilizacjach. Sprzyjała temu wreszcie presja wywierana przez Kościół, który czuł się moralnie i politycznie uprawniony do przewodzenia narodowi na wszystkich polach: ceremonie święceń, które stały się powszechnym rytuałem i miały wyrażać zawierzenie Bogu, oznaczały również symboliczne zacieranie znaków przeszłości i degradację reprezentujących ją ludzi na rzecz czekających w kolejce ludzi Kościoła. Trzeba jednak przyznać, że przywódcy SLD umieli znakomicie skorzystać z tych okoliczności. Efekty są znane, ale warto może wspomnieć o dwóch istotnych zabiegach. Pierwszy miał charakter ideologiczny. Elita SLD przeprowadziła na użytek swego obozu taką rekonstrukcję przeszłości, że nie wybielając w zasadzie historii PRL wybieliła... PZPR. Wyszło na to, że przez 50 lat Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – po okresie wstępnym, kiedy starała się możliwie wygodnie ułożyć Polskę w prokrustowym łożu Jałty – cały czas... wychodziła z PRL. Robiła więc w istocie to samo, od Gomułki do Jaruzelskiego, co postulowała opozycja i w końcu Solidarność, tyle tylko że w innym tempie. Drugi zabieg, bardziej rzeczowy, polegał na tym, że gdziekolwiek dochodzi do władzy – w terenie, w instytucji i na koniec w państwie – SLD umie dbać o swą klientelę wyborczą, SLD z zapałem buduje kapitalizm, nie ustępując w entuzjazmie najradykalniejszym liberałom, ale stara się – wprowadzić z różnym skutkiem – aby owoce wzrostu były trochę lepiej rozdzielane niż ciężary przebudowy za Balcerowicza. Nie jest to polityka dostatecznie spójna i konsekwentna i nie może powstrzymać procesu rozwarstwienia (nie chce zresztą) – i stąd pretensje takiej opozycji jak Unia Pracy, która domaga się np. reformy podatkowej. Niemniej,

polityki tej wystarcza na to, by politycy SLD mieli możliwość podsypywania pieniędzy bądź przywilejów tam, gdzie się może zapalić, jak górnictwu, i tam gdzie są wyborcy, jak emeryci mundurowi albo działkowcy, albo nostalgicy Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Szczególnym uzupełnieniem tej strategii podsypywania jest inne niż za rządów solidarnościowych wykorzystywanie prywatyzacji. Wtedy chodziło nade wszystko o redukcję sektora publicznego w imię wyższej efektywności gospodarowania, teraz natomiast o zagospodarowanie kapitału: ile dostaną zaprzyjaźnieni inwestorzy, ile tacy, którzy się dopiero zaprzyjaźnią, ile zarobi budżet, ile zaś personel prywatyzowanych zakładów. Podczas gdy Solidarność ciągle jeszcze rozprawia o powszechnym uwłaszczeniu, w które nikt już nie wierzy i które straciło nawet walor hasła wyborczego, koalicja przyspiesza prywatyzację tego, co jeszcze zostaje do sprywatyzowania (wg oceny Ministerstwa Skarbu 140 mld zł). 100 mld zł z tego poszłoby na reformę systemu ubezpieczeń, reszta zaś, która się nie nadaje do szybkiej sprzedaży, zostałaby przeorganizowana w tzw. fundusze przemysłowe o poziomej strukturze (huty, węgiel, ciężka chemia), których akcje trafiłyby w części na giełdę, a w części w postaci świadectw udziałowych do obywateli. Oczywiście, Unia Wolności ostrzega, że rynek nie zdoła wchłonąć tak wielu zmasowanych ofert prywatyzacyjnych (już w najbliższym czasie prywatyzowane mają być dwa wielkie banki, kombinat miedziowy i pierwsza transza telekomunikacji), a prawica alarmuje, że brakujące kapitały polskie zastąpi i to za pół ceny, kapitał obcy. Niemniej faktem jest, że operacje te pozwalają rządowi uprawdopodobnić wielkie reformy socjalne i uczynić je, przynajmniej w kalkulacjach, mniej uciążliwymi dla obywateli. Będzie to zapewne skutkować w wyborach.

Tak przygotowany staje SLD pod ogniem wyborczym wszystkich swoich przeciwników.

Unia Wolności i zbliżone do niej stylem myślenia formacje (np. Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe w AWS) oraz media będą atakować SLD za upartyjnianie państwa, tzn. głównie hamowanie decentralizacji i za republikę koleśiów. Próbkę takiej kampanii dała debata telewizyjna Balcerowicza z Oleksym; rezultat określił dowcipnie jeden z ko-

mentatorów jako remis ze wskazaniem na prowadzącego dziennikarza. Zarzuty wysuwane przez Unię Wolności są na pewno ważne, ale ich nośność wyborcza wątpliwa. Nie wydaje się, by decentralizacja mogła być hasłem porywającym dla szerszego elektoratu, a to z prostego powodu: jest to koncepcja bardzo długiej fali. Jak dotąd, samorządy wykazują nie mniejsze skłonności do biurokratyzowania się niż urzędy centralne. *Rocznik Statystyczny* poświadcza stały ich rozrost etatowy, radni zaś, przynajmniej w zwierciadle mediów, wydają się wyborcom rozbestwioną bandą pieniaczy, jeśli nie gorzej, którzy sami sobie wypłacają coraz wyższe diety. W stolicy samorząd wprost uchodzi za kompromitację i wszyscy chętnie wspominają, że niezapomniany Starzyński był Komisarzem Rządu.

„Republika koleśiów” jest znacznie bardziej chwytliwym i dobrze udokumentowanym wątkiem ale liberałom nie starcza zazwyczaj woli, by dopowiadać sprawy do końca, ponieważ republika koleśiów jest tylko jedną fasadą korupcyjnej konstrukcji, która polega na powiązaniu biznesu z polityką i władzą. Ten korupcyjny wątek zamierza bez żenady wykorzystać Unia Pracy, która sama nigdy nie była u władzy i która nie ma nadmiernych sympatii dla biznesu. Że sprawa jest bolesna dla rządzących dowodzi zdecydowanie, z jakim okastrowali w tych dniach jeden z antykorupcyjnych projektów zgłoszonych przez UP (z ustawy o partiach politycznych skreślono zakaz przyjmowania dotacji od osób prawnych tzn. biznesu oraz górny limit wpłat na fundusze partyjne). Drugi, obecnie w komisjach, też już jest pod nożem: chodzi o postulat ujawniania dochodów polityków i wzorowany na USA obowiązek składania posiadanych papierów wartościowych w funduszach powierniczych na czas kadencji bądź służby. Wątek antykorupcyjny podejmuje też oczywiście przeciw SLD prawica, w ramach walki z nomenklaturą postkomunistyczną. Jednakże przy całej ostrości zarzutów i często zresztą trafnych dziennikarskich dochodzeń (*Życie*) prawica ma skłonność do podważania wiarygodności własnych argumentów przez nieznosną przesadę i jednostronność. Złodziej z SLD nigdy nie jest po prostu złodziejem: jest koniecznie członkiem mafii, którą sterują, zależnie od odcienia oskarżycielskiej prawicy, KGB w Moskwie lub

Żydzi na Wall Street. Poza tym, korupcja nie jest zbiorczą funkcją wielu czynników – ustroju, słabej kontroli, historii – lecz stanowi właściwie emanację komunistycznej duszy. To zresztą jest i będzie motywem przewodnim całej kampanii prawicy przeciw SLD: formacja ta będzie atakowana bardziej za to, czym jest, niż za to, co robi. Właściwie SLD nie może zrobić niczego dobrego, chyba że się utopi.

Jednym z najślabszych punktów SLD w kampanii będą sprawy bezpieczeństwa. Leszek Miller jako superszef policji nie ma się czym pochwalić i, co gorsza, pod presją terminów politycznych zaczyna zgłaszać pomysły beczelnie demagogiczne i efekciarskie, lub wprost niebezpieczne. A to, żeby kto chce mógł mieć pistolet w domu (niech obywatel sam broni swych majątności?) A to, żeby rozbudować strażę gminne i powierzyć im rozmaite porządkowe obowiązki policji (z legitymowaniem obywateli włącznie). A to, żeby agencjom ochrony poruczyć ochronę obiektów publicznych za pieniądze, od ministerstw po stadiony; tymczasem kolega partyjny Millera, poseł Dziwulski twierdzi, że „na poziomie” jest może 2% istniejących agencji... Sprawy bezpieczeństwa będą na ustach wszystkich oponentów.

Nie wymieniłem PSL, które pod wodzą Pawlaka skoncentruje się wyłącznie na sprawach wsi, będzie się po prostu prezentować chłopom jako ich jedyny obrońca przed całym światem, również SLD.

Pora kończyć na dzisiaj. Kiedy ten numer *Kultury* dotrze do państwa będzie już wiadomo, co przyniosło referendum konstytucyjne i jakie z tego wyniku wyciągnęli wnioski politycy. Jeśli w ogóle jakieś wyciągną, co wcale nie jest pewne. Ale o tym następnym razem.

Warszawa, 14 maja 1997

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Nie było mnie trzy tygodnie w Polsce. Byłem znowu w Izraelu, a więc po raz drugi, w krótkim odstępie czasu – tym razem na targach książki. Ale przedłużyłem pobyt służbowy o tydzień i teraz się gryzę, że napisałem artykuł do *Kultury* za wcześnie. Bo zobaczyłem Izrael o wiele ostrzej, ale czy głębiej tego nie wiem. Teraz napisałbym inny tekst. Ale pocieszam się, że po każdej wizycie pisałbym inaczej, więc może na to nie ma rady. Mój stan poirytowania tym krajem był o wiele większy niż za pierwszym razem; zrobiłem 10 dużych awantur w miejscach publicznych, wróciłem z ulgą do Polski, do kraju kulturalnego, pełnego grzecznych ludzi i wyrafinowanych form, gdzie jest luksusowa sytuacja polityczna, wewnętrzna i zewnętrzna.

O tej sile wewnętrznych konfliktów w Izraelu, w poprzednim tekście napisałem stanowczo za mało. Palestyńczycy, gdyby mieli więcej rozumu w głowie i więcej pieniędzy, pojechaliby na dwa lata na Madagaskar, a Żydzi załatwiliby się sami, bo ich tradycja autodestrukcji – w co trudno uwierzyć – przewyższa chyba nawet naszą. Odbyłem fascynujące podróże po Galilei i palestyńskich dystryktach, samochodem na fatalnych izraelskich żółtych tablicach, z pistoletem pod ręką. Jakoś tak to sobie wymyśliłem, z powodów osobistych, że a nuż się uda i nas zastrzelą, lub choćby ukamienią, a kamieni tam pod dostatkiem, ale nic z tego. Potem zupełnie żywy wszedłem do izraelskiego Pentagonu, do bazy Kiria – gdzie z 23 piętra biegnę w dół, aby zebrać materiał do ładnego tematu „kobiety w armii izraelskiej”. I tu okazało się, że moje życie było bardziej zagrożone ze strony wojskowych feministek, niż na palestyńskich terenach. W sumie zbyt wiele niezwykłych spotkań, by to szybko przetrwać, a też wielka irytacja i nawet poczucie rozpacz, że świat jest jednak beznadziejnie chory. I myśl o Polsce – skoro ci pieprzeni bałaganiarze mają taką świetną armię i zbudowali ekonomiczny dobrobyt, to Polska nie stoi na straconej pozycji, bynajmniej.

Wróciłem więc do ojczyzny pełen ulgi i tolerancji dla polskich form nietolerancji i głupoty. Twarze celników i wojskowych na paszportowych bramkach, kiedyś zdawały mi się ołowiane, teraz dostrzegam w nich elementy uśmiechu i nawet ogólnej życzliwości. Ogromnie jestem ciekaw jak długo mi się ten błogostan utrzyma. Za pierwszym powrotem trwał około dwóch tygodni. I jestem pewien, że właśnie do Izraela powinno organizować się wycieczki pocieszenia dla polskich liberałów, zbolełych z powodu krzewienia się w Polsce postendecji.

Co uderzyło mnie po prawie miesięcznej nieobecności? Przez ten czas prawie nic się w Polsce nie zmieniło, a w pierwszej połowie lat 90-tych, miesiąc to była epoka. To znak, że jest jakaś forma stabilizacji, nawet w naszej niestabilizacji.

AWS dryfuje w kierunku radykalno-paranoidalnym, zgodnie z oczekiwaniami. Odrzucony został kompromisowy projekt konstytucji zaproponowany przez Zgromadzenie Narodowe, a genialni politycy AWS-u postanowili z tego zrobić kość niezgody. Trudno było wymyślić głupszą kość. Udławia się nią. Wkrótce będzie referendum w sprawie tego projektu i ludzie pewnie go zaakceptują. Przecież ten projekt jest dziełem Zgromadzenia Narodowego i dzieckiem kompromisu, cóż robić, że istotną rolę płodną mieli postkomuniści. To naród ich wybrał do parlamentu w demokratycznych wyborach.

Wcześniej można było powiedzieć, postkomuniści ulegli naszej presji, zmienili projekt, częściowo zgodnie z naszymi żądaniami, tym można było grać podczas wyborczej kampanii.

Na dodatek projekt konstytucji „Solidarności”, czyli polski, patriotyczny, a nie obcy i masoński, jest pełen miejsc słabych a czasami żenujących. Podczas referendum dla wielu osób będzie ambaras co robić, jak głosować, obserwuję pogubienie ludzi, którzy od kilkunastu lat przyzwyczaili się do dokonywania odważnych moralnych wyborów. W PRL-u one wymagały odwagi, ale kolory były tylko dwa. Teraz jest ogromna szara strefa.

I oto staje centralne pytanie – chyba najważniejsze w

naszym życiu politycznym – kto by się spodziewał, że ono będzie stawiać, jak jakiś humorystyczny, monstrualny organ: – kim tak naprawdę są postkomuniści? Skoro oszalała polska prawica zmusza ludzi myślących racjonalnie by w pewnych sprawach iść razem z postkomunistami, to owo pytanie ma swój wymiar. A moim zdaniem, na to pytanie nie ma odpowiedzi – oni sami nie wiedzą kim są?

Jedno pewne, po latach rządzenia nie ma wielkiej kompromitacji postkomunistów, są zaniedbania i zaniechania. A dojście do władzy AWS-u i ROP, to kompromitacja prawicy pewna.

By pokazać, że piętra głupoty mogą biec w dół, Krzaklewski i grupa działaczy „Solidarności” oświadczają, że „ludzkimi siłami trudno będzie odrzucić przedstawioną w referendum konstytucję”. I proponują „Intronizację Chrystusa Króla A.D. 1997”. Porównują projekt konstytucji do „bolszewickiej nawałnicy roku 20, a wtedy episkopat Polski na Jasnej Górze zwrócił się do Opatrzności Bożej” i dokonał w imieniu Narodu Polskiego Intronizacji Chrystusa Króla. Podobno Marian Krzaklewski i Wójcik mieli być u Prymasa Polski, Józefa Glempa, z prośbą o prowadzenie uroczystości intronizacji przed referendum konstytucyjnym. Prymas Glempek wykazał się zaskakującą polityczną mądrością, bo odmówił. AWS szykuje więc nie tylko sobie klęskę polityczną, ale chce w nią uwikłać Kościół i Chrystusa. Nawet Kościołowi zaczyna być ciężko z AWS-em i ROP-em, do czego to, panie doszło...

Pytam grupę studentów, co stało się w Polsce podczas mojej nieobecności? Mają kłopot z odpowiedzią, są przejęci, że uczeń popełnił samobójstwo z powodu nauczyciela, zawiadomił o tym świat w pożegnalnym liście. Kibice Legii i Polonii rozgromili siły policyjne i zdemolowali stadion. Widziałem zdjęcia. Jaka to byłaby głupia radość przed laty, oglądać tłum, który leje specjalne jednostki policji, teraz mi głupio, źle i nawet trochę robi się zimno.

A studenci o polityce mówią niechętnie i bez znajomości rzeczy. Pytam ich czy znają jakiś dowcip polityczny, choćby jeden? Kiedyś po PRL-u krążyły całe chmary dowcipów,

niektóre były naprawdę zabawne. Rodziły się w czeluściach naszej rozpacz, bezradności, jak jakieś dziwne zwierzątka, która potem krążyły po kraju, mnożąc się na złość cenzurze i tajnym milicjom.

Młódzieź się męczy, duma, poci. Nic. Nie zna ani jednego dowcipu. A nasza sytuacja polityczna jest doprawdy godna żartu. Czy jednak nie zamraża jej niebawale ponuractwo naszych polityków? I doprawdy nie jest śmieszne, że już wiemy, że jakikolwiek będzie wynik wyborów, będzie to dla Polski porażka.

Ryszard Kapuściński gdzieś zanotował: „Pustka naszych sporów politycznych. Pustka etyczna i kulturalna. Bo nie pada w niej franklinowskie pytanie: jak zrobić coś lepiej, tylko leninowskie: kto – kogo”. Tu Kapuściński powinien dodać, a zna dobrze świat, że ten problem dotyczy nie tylko Polski.

Spotykam go na ulicy, o czym tu mówić, nasz świat się skiepscił, jednak skiepscił się. Jeszcze wczoraj bym protestował, dzisiaj nie potrafię.

W radiu pyta mnie dziennikarka, czy w Polsce jest antysemityzm. A czy ja wiem co to znaczy, w kraju gdzie nie ma Żydów. Coś jest w Polsce, jakiś rodzaj paranoi, ale w Izraelu też są paranoje.

W radiowym bufecie spotykam znajomą, młodą dziennikarkę. Pijemy kawę. Ma rodzinę na wsi, była tam niedawno. Mówi: „nawet nie wiesz jak bardzo to jest inny świat, zastygły, nadal zależny od pór roku, świat dzisiaj zupełnie zagubiony. Już przestaje być ważny kościół, ginie tradycja, nie ma nic, jest tylko wódka i telewizja”. Opowiada mi o swojej babci, która nagle powiedziała:

– Ja już nie wierzę w to co gadają w kościele, nie wierzę w żadne piekło i w żadne niebo.

– To po co babciu chodzisz do kościoła?

– Bo ludzie by żyli jak bydło, gdyby nie było religii! A z drugiej strony to tak gadają i gadają o tym niebie w kościele, a ja już wiem, że człowiek jak umrze to zgnije. I już!

Tu nastąpiła chwila dłuższej zadumy. I babcia zwróciła się do wnuczki z wyrzutem.

– A to wszystko przez ciebie! To ty mi powiedziałaś, że

Jezus Chrystus był Żydem, a jego matka Żydówką.

– Ale babciu, na to nie ma rady, tam w Biblii prawie wszyscy byli Żydami.

– A to nie mógł jednak Pan Bóg wybrać mu na matkę Polki?

Coraz częściej gdy patrzę na skrajne postacie naszej postępcy, naszych nowych fanatyków, widzę ze zdumieniem, że zamiast mózgu mają nocnik, z dziurą w postaci ust. Przez nich zapewne tacy jak ja są postrzegani podobnie. Polska dzisiaj, czyli mimo powszechnej kanalizacji, to cudowne rozmnożenie się nocników.

Jedna z sąsiadek, która jest chyba w moim wieku, co nie mieści mi się w głowie, kiedy na nią patrzę, ale chyba to prawda, wydawała mi się osobą względnie normalną i sympatyczną, co nie da się powiedzieć o wszystkich mieszkańcach tego domu. I to ona była autorką wielkiej awantury. Na parterze wynajęto mieszkanie dziewczynie z Rosji, sympatycznej studentce. Dom zjeżył się z niepokoju. Rosjanka to na pewno prostytutka, może do tego mafia. Ale tylko sąsiadka zrobiła jej awanturę, dała się na nią, że nie potrzebujemy ruskich w naszym porządnym domu.

Sąsiadka i jej rodzina jest bardzo religijna, chodzi do kościoła, słucha kazań, spowiada się. Wszyscy niezwykle troskliwie karmią bezdomne koty.

To, o czym wielokrotnie pisałem, o czym pisać nie chcę by się nie powtarzać, inaczej i ładniej powiedział czeski reżyser Jan Sverak, który dostał Oscara za film „Kolja”. I oto nie tylko jak dzieci przegrywamy z Włochami w piłkę nożną, ale polski film też przegrywa wieloma bramkami, choćby z sąsiadami.

Sverak opisuje sytuację ludzi sztuki w krajach postkomunistycznych. Mówi, że kiedyś: „brakowało nam tu szacunku dla ludzkiej godności. A co mieliśmy? Mieliśmy przyjaciół, mieliśmy czas by czytać książki, rozmawiać o nich i pomagać sobie nawzajem.

To się skończyło. Dzisiaj każdy z nas stara się budować swoją karierę – widzę to także po sobie. Już nie mamy dla

siebie czasu. Przez ostatnie dziesięć lat, kiedy pojawiły się faksy, telefony komórkowe, komputery, zupełnie odwróciły się nasze wartości. Możemy porozumiewać się z taką szybkością, że nie zdąży pan nawet pomyśleć, co mówi. Przyjaciół zastąpił nam komputer: odkąd nauczyliśmy się porozumiewać się z tą skrzynką, nie potrafimy już porozumiewać się ze sobą.

Wreszcie AIDS, który sprawił, że to, co kiedyś było najpiękniejsze, najfajniejsze i najzdrowsze, czyli seks, dziś oznacza śmierć.

Tak. W Polsce obserwuję lawinowe kurczenie się wyspy kultury, na której czuję się coraz bardziej groteskowo. Wszystko już można kupić, niedawno przekonałem się, że uczucia też. Kiedy dzwonię do mojej młodej i fajnej znajomej, do jej instytucji, to po kilku minutach mówi, że mi oddzwoni, to podzielimy się rachunkiem za telefon.

Coraz częściej widzę jak nasi nowi milionerzy kupują kobiety, bynajmniej nie prostytutki, tak zwane porządne dziewczyny, kupują jak nabywa się krowę, nieźle przy tym przepłacając. Kiedy jednemu zwracam uwagę, że to niemoralne, mówi, że on te pieniądze zarobił uczciwie. Trzeba być takim idiotą jak ja, by w ogóle wdawać się w takie dyskusje. Słucham jak pewien znany intelektualista, w gronie kilku osób mówi, że sprzedałby nawet ojczyznę, jest tylko pytanie, za ile? Może prawda była zawsze taka. Ale kiedyś nikt by tego nie powiedział na głos. Nowość naszych nowych czasów polega też na tym, że można to powiedzieć.

Stefan Niesiołowski – jeden z duchowych przywódców prawicy, kiedyś radykalny, teraz zdaje się niezwykle umiarkowany, tak prawica się uprawicowała, mówi: „Formuła partii prawicowej w Polsce najwyraźniej znalazła się w głębokim kryzysie. Kryzys bierze się stąd, że tych partii jest za dużo, nie chcą się zjednoczyć, przywódcy tych partii okazują się ludźmi małymi, chodzi im głównie o to aby byli prezesami”.

Jarosław Kaczyński, inny znany polityk prawicy, który na nowym tle też nagle stał się umiarkowany, powiedział gdzieś – to cytuję z ułomnej pamięci – że bodaj najsilniejszą formacją prawicową w Polsce jest TKJ, co znaczy „teraz kurwa ja”. Nic tu dodać, nic ująć.

W tramwaju jakiś starszy facet mówi mi „dzień dobry”. Witam się i przyznaję, że nie poznaję. Mam prawo, bo okazuje się, że ostatni raz widzieliśmy się 20 lat temu. Artysta, malarz. I doprawdy nie wiem jak to się stało, że oto po 20-tu latach niewidzenia rozmawialiśmy tylko 10 minut, czyli kilka przystanków, a pokłóciliśmy się o politykę, na śmierć i życie. Oto nowy przypis, do nowych czasów! On nienawidzi postkomunistów, ja źle toleruję postendecję, i walczę o środek, którego prawie nie ma. Również o środek w sobie. Jego myślenie: postkomuniści niszczą Polskę, rozkradają, spiskują, „za kilka lat, zobaczysz, będziemy mieć tu dyktaturę”. Aby ich odsunąć, należy sprzymierzyć się nawet z diabłem, nawet głupie i rasistowskie Radio Maryja jest naszym wielkim sojusznikiem.

Przy okazji takiego myślenia, niemal zawsze bokiem wychodzi myśl, że „Polacy to na ogół motłoch”. Tak, to właśnie narodowa prawica i myślenie spiskowe, skrajne, to oni najbardziej gardzą Polakami, bo ci nie dorośli do ich wizji. Trzeba więc coś Wielkiego zrobić, za nich. Tak oto obrońcy demokracji zagrażają jej swoim myśleniem. Aby można było w Polsce na cokolwiek politycznie stawiać, musi być jakiś stolik w środku. Jest stolik inteligencki, tak pefen godnościowych talerzy, kieliszków z winem, koniaków, że nie ma tam już miejsca na miskę zdrowego rozsądku.

Jajka, którymi polscy obywatele obrzucili prezydenta Kwaśniewskiego w Paryżu, tak urosły, że w ich cieniu ucichły inne spory polityczne. Konflikt jak w szekspirowskim dramacie – cóż z tego, że zaistniał z powodu kurzych jajek – kładzie nam na scenie politycznej podstawowe pytania. Np. czy ten, kto jajkami wojuje, od jajek zginie? Postkomuniści wznoszą wielki krzyk i prowokują debatę w parlamencie, twierdząc, że następuje brutalizacja życia politycznego, zagrożona jest demokracja. Minister spraw wewnętrznych Leszek Miller mówi, że: „w Paryżu nastąpił symboliczny atak na państwo polskie”.

Wrogowie postkomunistów jajka lekceważą, a wypomną im, że nie krzyczeli, kiedy naród był gwałcony przez stan wojenny. I że kpili w swoich gazetach, kiedy ktoś cisnął zgniłą gruszką w prezydenta Wałęsę.

Ludzie środka, to oczywiście UW, oświadczają, że jajeczna obraza prezydenta to hańba, ale SLD to hipokryci. Tak oto Unia Wolności, zawsze znajdzie jakiś środek, ale czy złoty, nie wiem. Unia Pracy potępia paryskie zajścia, ale przypomina, że kiedyś w Polsce demokracja upadła z innych powodów. PSL twierdzi, że nie wolno za wiele na temat jajek krzyczeć, bo to reklamuje Polskę w świecie „jako kraj chory”. Proszę, jaka troska PSL o Polskę, mają w nosie Europę, ale o naszą opinię w Europie się boją. A ja myślałam, że PSL potępi tylko marnowanie trudu farmera i kury. Oto jajka w dalekim Paryżu ukazały jak wiele jest głupich emocji w Polsce, a scena polityczna tak zaślepiona, że każdy widzi tylko to, co zobaczyć chce. Najmniej prawdę i dobro wspólne. Na szczęście nasza demokracja, chociaż amatorska, ma o wiele twardszą skorupkę niż jajko.

Mało bywam na naszych podupadłych salonach, więc z pewnym zainteresowaniem obserwowałam tłum ludzi na otwarciu klubu „Wolnej Europy”. Wzruszył mnie zabytkowy gong, który został tam przeniesiony, w który uderzono. Jego dźwięk otworzył nagle okno do czasu, który minął, do czasu innych, zupełnie innych emocji. To on otwierał kolejne audycje, przebijał się przez szum zagłuszonego, a ja zasypiałem od dziecka kołyszany tym szumem. Jest Jan Nowak-Jeziorański, tylu znajomych, nasz nieco skurczony i poszarzały świat kultury i polityki, Balcerowicz, Geremek, Bugaj... Patrzę i prawie nie widzę ludzi z prawonarodowej strony, bo to, że nie ma postkomunistów, nie dziwota. Dla naszej narodowej prawicy „Wolna Europa” i paryska *Kultura* okazały się lewicowymi przebiegającami, nie zasługują teraz nawet na podanie ręki.

Ale się porobiło!

Wielki artysta nieco się na mnie boczy, nagle przypominam sobie, że coś napisałam, bardzo delikatnie, o jego dzisiaj zagubieniu, jak wszystkich polskich artystów starszej generacji. Wystarczy. Coraz bardziej mnie przeraża skala narcyzmu ludzi sztuki. Niedawno byłem świadkiem jak po mojej lekkiej krytyce rozpadł się pisarz, który zbudował swoją sztukę na holocauście. On podobno poświęcił się dla idei pamięci. Ale ja nagle widzę że u niego na pierwszym miejscu

jest próżność, bez granic. Narcyzm, który rośnie na holocauście, co za zdumiewająca roślina!

Artyści zaczynają budować swoją tożsamość na swojej sztuce. Poddanie w wątpliwość, choćby fragmentu tego co robią, naraża całość na zawalenie i pogrzebanie żywcem. To niemal jakby włamał się do mieszkania bandyta i próbował poderżnąć gardło. Obserwuję to u największych i u najmniejszych. A u wielkich to wcale nie bywa wielkie. Krytyk jest więc skrzyżowaniem potencjalnego dobrodziejstwa i bandziora. Ale to nie dlatego jest w Polsce całkowity upadek krytyki, we wszystkich dziedzinach sztuki, sztuki zresztą ledwie żywej.

Kiedy odchodzę od zgromadzenia, które wylało się na ulicę, mam wrażenie, że oddalam się od tysiącej, coraz mniejszej, coraz bardziej szarej wyspy.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Mam w oczach twarz Piotra Wierzbickiego w oknie wagonu. Wzrok wlepiony z nie ukrywaniem uwielbieniem w pięcioletniego synka, który stoi z nami, odprowadzającymi, na peronie Dworca Centralnego w Warszawie. Żal patrzeć.

Piotr wracał do obozu internowania w Darłównie po wielkanocnym urlopie. My, pełni poczucia winy, że na wolności, a on tam, choć wiadomo już było, że koniec „interny” jest kwestią krótkiego czasu.

Piotr Wierzbicki, w latach siedemdziesiątych autor oryginalnych felietonów w *Literaturze*, a po jej zamknięciu w *Tygodniku Powszechnym*, zasłynął drukowanym w podziemiu „Traktatem o gnidach”. Utwór miał charakter typowego pamfletu, i to pamfletu na swoich. Gnidami byli bowiem

inteligencji polscy, niektórzy wielce szanowani, robiący oko do opozycji, a w pojęciu autora – reżimowi kolaboranci. Wierzbicki chłostał ich bez miłosierdzia, odzierając z godnych szat. Obok „Traktatu”, drukowanego w *Zapisie* albo *Krytyce*, nie pamiętam, Adam Michnik publikował szlachetną w tonie odpowiedź, biorąc „gnidy” w obronę. Wyznam, że z tych dwu tekstów „Gnidy” zrobiły na mnie daleko większe wrażenie jako swego rodzaju wyzwanie i *novum* w prasie podziemnej.

Pamfletowe zacięcie pisarskie Wierzbickiego odbijało od jego ówczesnej osobowości. W czasie gdy go poznałam, był człowiekiem miłym, nie dbającym o strój, mienie, parantele i zupełnie nie zawistnym. Żółć była w piórze, nie w osobie. Prawicowość, jeżeli w nim tkwiła, to głęboko schowana.

Wszystko dokonało się w „internacie”. Tu zaszła zmiana. Wielkie stłoczenie ludzkie miało swój udział w podziałach personalnych. Szybko wytworzyła się grupa dominująca, swoiste towarzystwo wzajemnej adoracji, mocno scementowane i trzymające się razem. Piotr nie został od tej grupy przyjęty ze wszystkimi niedogodnościami psychicznymi, jakie takie wykluczenie niosło. Owa linia podziału zachowała się na wolności. To chyba od Piotra Wierzbickiego wyszła i przyjęła się nazwa „salon warszawski”, zaczerpnięta z Mickiewicza, ale tu mająca oznaczać swoisty snobizm tej grupy, izolowanie się i wyższość wobec „nie swoich”.

„Salon warszawski” nie miał li tylko charakteru towarzyskiego. Wszedł natychmiast zwartą grupą w oko cyklonu wydarzeń politycznych. Tworzył Okrągły Stół, organizował pierwsze wybory, parlament, rząd i Unię Demokratyczną. Ludzie, którzy w Dąbówku odpadli od tego grona i potem, w stanowiskach państwowych zostali pominięci.

Pamiętam z tego czasu rozmowę z Piotrem w jego małym mieszkaniu, jeszcze spokojną, łagodną. Opowiadał mi, jak będąc wyrostkiem, zaniedbywał, lekcewżył i arogancko nie słuchał tego, co miał mu do powiedzenia żyjący jeszcze wówczas dziadek, Andrzej Wierzbicki, postać bezsprzecznie dużego formatu, przedwojenny znany poseł, założyciel i wieloletni prezes potężnej organizacji finansowo-przemysłowej Lewiatan. Piotr ubolewał nad tym swoim młodzięcym zachowaniem wobec dziadka, uznawał je poza tym za duży

błąd polityczny i wyczułam, że chciał to teraz na gwałt nadrobić.

Od tamtej pory już się z Piotrem nie zetknęłam. Chyba, że widząc go w telewizji, albo czytając. Z pamfletową pasją równą „Gnidom”, tylko zwróconą na przeciwny biegun – napisał broszurkę-laudację o Wałęsie. Ociekający lukrem panegiryk. Wkrótce potem tegoż Wałęsę piórem zgnoił. Pisma, które założył i którymi kierował, najpierw *Nowy Świat*, potem *Gazetę Polską*, miały być organami polskiej prawicy, ale w moim odbiorze – za przykładem naczelnego – *Gazeta Polska* stała się i jest do dzisiaj jednym wielkim pociskiem agresji, wymierzonym nieustannie nie tyle w postkomunę, co w „różowych”, czyli w Unię Wolności i jej sympatyków, czyli – w towarzyszyni internowania Piotra Wierzbickiego.

Ten skrótowy i niewątpliwie uproszczony obraz sytuacji kreślę li tylko po to, żeby zwrócić uwagę, jak silnie „syndrom odrzucenia” może działać na emocje i poglądy człowieka. Nasi politycy mają tę wadę, iż z reguły lekceważą czynnik psychologiczny w swoich zamierzeniach, działaniach i zabiegach o elektorat. Nawet ci najświatlejsi i demokratyczni potrafią doskonale nie zauważać na swojej drodze zwykłego człowieka. Błąd u polityka kardynalny i niewybaczalny, o który prędzej czy później musi się potknąć – on i partia, do której należy.

Posłużyłam się przykładem Piotra Wierzbickiego, gdyż przez wzgląd na swój temperament i funkcję publiczną jest on bardzo wyrazisty. Obawiam się, że mniej wyrazistych, ale tak samo rozgorzconych odrzuceniem, istnieje mrowie anonimowych obywateli. Szkoda, bo są straceni dla kraju. Ale jeszcze bardziej szkoda polityków, którzy tego nie widzą.

W Polsce rozgorzała dyskusja: supermarkety (zwane też z amerykańską „molami”) czy małe sklepiki? W molach kupuje się wszystko za jednym zamachem, płaci w jednej kasie, no i jest taniej niż w sklepikach. Mole, wielkie bunkry, architektoniczne ohydztwa, należą w większości do kapitału zagranicznego, sklepiki są polskie.

Prawica podniosła wielki huk, żeby wstrzymać rozrost supermarketów, gdyż zagrażają polskiemu kupcom.

Nie jest to prawda. Zwyczajem starych kobiet, często – oparta o parapet – wyglądam przez okno, gdzie na pierwszym planie mam sklepik z napisem „Warzywa-Owoce-Nabiał”. Zawsze pełen. Ludzie wydeptują do niego ścieżki przez trawnik. Przy wejściu, wiecznie obecne wózki z dziećmi i uwiązane psy. Często klienci idą do sklepiku z wielkimi reklamowymi torbami sąsiednich supermarketów, bo mamy dwa w pobliżu.

I dobrze. Jedno uzupełnia drugie. Duże weekendowe zakupy robi się w molach, a drobne, codzienne, zapomniane, nagłe, z małymi dziećmi, w starości – w pobliskim sklepiku. Oba typy handlu prosperują znakomicie.

Huk wszczęty przez prawicę jest więc dęty, jak to u nich, czysto propagandowy, bez pokrycia w faktach.

Tu ciekawostka. W czasie nasilenia kampanii w obronie polskich drobnych kupców, nakryto senatora z ramienia ROP-u, Zbigniewa Romaszewskiego, na zakupach w supermarkecie. Reporterzy radiowi nie zdradzając się niczym, zadzwonili do niego z pytaniem o stanowisko jego samego i jego partii na temat kupowania w supermarketach. Z właściwą sobie inkwizytorską swadą odpowiedział, że jest ono zdecydowanie negatywne.

Senatora Romaszewskiego, niezależnie od poglądów, których nie podzielam, uważałam zawsze za człowieka bez skazy. A tu taka drobna skaza. Nie o to mi wszakże chodzi, żeby ją wytykać.

Chodzi mi o sprawę daleko istotniejszą z punktu widzenia społecznego. Otóż prawica, a dotyczy to wszystkich ugrupowań tej sceny, jedzie wyłącznie na dwu koniach, na hasłach populistycznych nie mających pokrycia w rzeczywistym stanie rzeczy oraz na totalnej negacji tego, co spontanicznie się tworzy, jako przejaw demokracji i wolnego rynku. Toteż siłą rzeczy ich kampania nie idzie w kierunku pozytywnego przedstawienia siebie, że oto jesteśmy lepsi (realnych konkretnych programów jak nie mieli, tak nie mają), ale na tym, że przeciwnicy to świnię. Jeżeli daleko z tym ujadą, będzie to fatalnie świadczyć o świadomości społeczeństwa, które ich wybierze.

Powróć na moment do Piotra Wierzbickiego. Widziałam go niedawno parokrotnie w dyskusjach publicystycznych w telewizji. Nie do poznania! Ubrany jak z igły, z wymuskaną elegancją (jest to, podobno, znak rozpoznawczy polityków i działaczy wszystkich mało ważnych państw) – eksplodował negatywnymi ładunkami wobec przeciwników, zastępując nimi jakąkolwiek merytoryczną argumentację. Dziw brań! Człowiek dużej wiedzy, wykształcony wszechstronnie (jego znawstwo muzyki nie podlega kwestii), tak bardzo dał się omotać emocjom, że nie jest już w stanie podjąć normalnej dyskusji.

Chroń nas, Panie, przed takimi rządcami.

Ale to betka! Piotr Wierzbicki ze swoją gazetą to szczyt liberalizmu i tolerancji, to wprost *Le Monde*, wobec kwiatka, jaki wyrósł na podobnej glebie, tylko poszedł daleko dalej. Mowa o tygodniku w formie gazetowej pod tytułem *Nasza Polska*. Wydawnictwo Szaniec, redaktor naczelny Piotr Jakucki, stale współpracują m.in. Krzysztof Kąkolowski, Stanisław Michałkiewicz (UPR), Jerzy Narbutt. Nakład nie podany.

Oto, co znajduję, czytając na chybił trafił:

„...Papież przyjmuje komunistę o PRL-owskim rodowodzie, wysoki hierarcha deklaruje europejskie sympatie nie zwracając uwagi na niuanse, które przecież bywają decydujące. Wielu tego nie akceptuje i trudno im się dziwić, gdy się zważy, za kim i za czym optują bp bp Życiński, Pieronek, Gocłowski czy księża w rodzaju Tischnera czy Czajkowskiego. Szkoda, że Kościół nie może tego jakoś powściągnąć, że nie może głośno i *en masse* opowiedzieć się za Polską prawa, patriotyzmu, uczciwości i jednoznaczności moralnej, że nie może skarcić szkodzących i jemu, i Polsce dysydentów”.

A więc do tego doszło, że skrajna prawica nazywa naszych najwyższych hierarchów kościelnych dysydentami. Brawo! Więc nie jest tak źle! Tu przypominają mi się słowa usłyszane kiedyś od redaktora Giedroycia, że mord na prezydencie RP w r. 1922 to była wyłącznie świecka endecka robota, kler nie maczał w niej palców.

Wielka pociecha. I wielka nadzieja. Bo choć wśród księży wielu endeków, którym trudno nakazem administracyjnym zamknąć usta, to może jednak w rezultacie zwycięży linia „genseków i dysydentów”.

Chociaż nie mam nic przeciwko skokowemu bogaceniu się tej czy innej grupy społecznej, uznając to zjawisko za przejaw wolnego rynku, muszę przyznać, że nie rozumiem gwałtownego, wręcz spektakularnego skoku w dochodach aptekarzy w Polsce. Zwłaszcza na tle totalnego bałaganu i niemocy w tym wszystkim, co dotyczy leczenia w Polsce. Zamykane przychodnie i poradnie, zapadające się szpitale, włoskie i głodowe strajki lekarzy, i naraz te cacka architektoniczne, porozrzucane po całej Polsce, nad którymi wisi szyld APTEKA. Nie nasze polskie „Diory” nie „Cardeny”, nie ekskluzywne „butiki”, ale apteki sycą oko pięknem i bogactwem wystroju, eleganckim zagospodarowaniem przestrzeni naokół. Apteki są ozdobą ulic. Na zewnątrz wabi witryna, wewnątrz funkcjonalne urządzenia zdobne nierządkiem w złocenia i marmury.

No i ceny. Te nie wabią. Te odrzucają. Rosną niemal z dnia na dzień. Przykładowo: za prywatną wizytę u lekarza specjalisty zapłaciłam 40 zł. za leki, które mi zapisał – banalne, polskie leki w małych dawkach – 50. Aptekarze mówią, że te skoki wynikają nie tyle z podwyżek za specyfiki, ile ze znoszenia na nie zniżek przez państwo dla ludzi ubezpieczonych. Oni nic z tego nie mają. Ale mają się dobrze.

Przed wojną aptekarze też mieli się nieźle. Po wojnie, jak większość, zostali zrównani z rzeszą marnie płatnych czynowników. Dziś – pełen rozkwit. Mówi mi znajoma farmaceutka emerytka: „teraz dopiero wiem, że żyję, zarabiam po ludzku”. Jako doświadczony fachowiec jest rozchwytywana przez właścicieli aptek.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie klienci, którzy odchodzą z kwitkiem. Tak, dosłownie z kawałkiem papieru, na którym wybita jest cena. Gdy na nią spojrzą, odchodzą z pustymi rękami, bo nie są w stanie jej uiścić.

Niedawno zaczęła mnie na ulicy kobieta ze słowami: „Najmocniej panią przepraszam, ale czy nie mogłaby mi pani...” – urwała, machnęła ręką i pobiegła przed siebie. Nie wyglądała na żebraczkę, gdyby nie podenerwowanie, myślałabym, że chce spytać o drogę. Rozejrzałam się wkoło. Stałyśmy pod apteką. Domyśliłam się o co szło. Nigdy sobie nie daruję, że jej nie dogoniłam.

Trudno mi na tych kartkach wplątywać się w gąszcz

generalnego rozstroju służby zdrowia. Dziwi mnie tylko, że na tym tle wyrasta spokojna, równomierna zasobność aptekarzy. Jest jak egzotyczny kwiat na rumowisku. Tylko niestety, oglądany przez wielu przez szybkę.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem za urawniówką. Nie mam nic przeciwko bogaceniu się tej grupy zawodowej, jak każdej innej. Wręcz lubię ludzi bogatych, kontakt z nimi wydaje mi się intrygująco ciekawy. Waleru gospodarczego tego postępu nie trzeba podkreślać, a społecznie, nierównomierność w rozłożeniu dóbr materialnych często staje się wyzwaniem dla innych. Trywialne prawdy ogólne.

Tylko jak to właśnie aptekarzom się udało?

Byłam na chrzcinach w Pęcicach. Elegancja-Francja. Grecja-dyskrecja. Dwór, park, staw, wnętrze, zastawa, jadło i napitek. Zmrożone wódki donoszone na srebrnych tackach przez bezszelestnych kelnerów.

W folderze czytam, że Dwór Polski w Pęcicach (12 km od Warszawy) organizuje bankiety, konferencje, *garden-party*, aukcje dzieł sztuki i spotkania handlowe.

Dwór jest w gestii wojewody warszawskiego i dobrze, że swoją działalnością pomnaża dochody samorządu. Gdy jednak kiedyś wojewoda wydał tam superbankiet dla tak zwanych prominentów świata kultury, czyli zaprosił po uważaniu gości na koszt budżetu samorządowego, w prasie zaszumiało. Wara, za nasze podatki! Hula ten, kto płaci z własnej kieszeni. Ślusznie.

Chrzcziny w Pęcicach przypominały mi dawne spędy za komuny. Wszelkie kurso-konferencje, spotkania branżowe, rzekomo, robocze zjazdy na cześć i z okazji, itp., itd. Każdy chciał się załapać, żeby odreagować kamień młyński wiszący mu na szyi w życiu codziennym.

Już od wejścia do autokaru rozpoczynał się „wesoły autobus”: butelki krążyły wśród pasażerów po bratersku, opróżniane pospiesznie. Na miejscu coś nam pokazywano, coś do nas mówiono, co słabo docierało. Na serio brany był tylko alkohol. Alkohol pomagający żyć w tej schizofrenii, w

którą najmocniej chyba uwikłani byli dziennikarze.

Mam w oczach scenę biesiadną w pałacu w Rogalinie. Stoły zastawione frykasami (półmetrowe melby), kameralna muzyka skrzypiec do wtóru charkotu obżarstwa i opilstwa.

Był to zlot pod hasłem „Poznań czołowym publicystom Warszawy” i ten szybki ruch czołowych publicystów pamiętam, zagarniających pozostałe na stole pełne butelki do teczek, wypychający nimi na siłę torebki koleżanek.

Gdy okazało się jednak, że alkoholu zabrakło w połowie powrotnej drogi do Warszawy, pomysłowy kolega wyjął z kieszeni wizytówkę z napisem „Eugeniusz Szyr, minister handlu wewnętrznego”, i dopisał na niej: „proszę udzielić wszelkiej pomocy”. Zajechaliśmy pod stację w Łowiczu głęboką nocą, gdzie kolega podsunął wizytówkę pod oczy zaspanej bufetowej, która mimo zakazu sprzedaży alkoholu o tej porze – pomocy udzieliła. Udzieliła tak skutecznie, że po dojechaniu do Warszawy kierowca musiał pownosić większość publicystów pod drzwi mieszkań.

Na dzisiejszych imprezach, w pięcickim dworze czy gdziekolwiek indziej, nikt się tak nie upija. Nie dlatego, że towarzystwo lepiej wychowane, z tym bywa różnie, i nie dlatego, że pije się za własną forszę. Ci, co takie juble fundują, pieniędzy mają w bród. Ludzie mniej piją dlatego, ponieważ nie muszą zapijać frustracji, jak my wtedy. Nie wisi nad nimi, jak wówczas, zakłamanie pracy pozorowanej i wrednej, ale praca prawdziwa, często porywająca, i za dobre pieniądze, dla której warto być trzeźwym. I właśnie fakt ten stanowi wartość bezcenną. Wartość, której nie są w stanie zniszczyć nawet najbardziej niedowarzeni, skłócenie, infantylność i głupi politycy. Wolny rynek raz puszczony w ruch, będzie kręcił się już sam dalej wprowadzając własne autokorekty. Nie apoteozuję wolnego rynku. Nie stanowi panaceum na wszystko a przede wszystkim nie jest w stanie zastąpić funkcji państwa. Jednakże na etapie zachowań politycznych stanowi fazę rozsądku.

(A wódki też nikt już z biesiadnych stołów nie ściąga i nie ładuje do teczek. Bo teczek się na zabawę nie nosi.)

Z Kącika Uprzywilejowanych. Sejm głosami rządzącej

koalicji oddalił ograniczenie immunitetu poselskiego, wnioskowane przez Unię Wolności, czym jeszcze raz udowodnił, że posłowie gotowi są bronić swojego stanu posiadania pazurami, bez wstydu i w najdrobniejszych detalach.

Wzięte z dziennika *Życie*:

„Co może zrobić policjant na widok posła pędzącego samochodem 200 km/h? – obejrzeć się”.

I dalej.

„Każdy, kto stał w kolejce do kolejki linowej na Gubałówkę, musiał żałować, że nie jest posłem lub senatorem. Kolejka ciągnie się przez pół Zakopanego, wijąc się wśród straganów ze swetrami, oscypkami, dzwonkami oraz psami, misiami. Gdy stacz dotrze do wejścia, wtedy zaczyna żałować, że nie jest parlamentarzystą. Nad drugim, zupełnie pustym wejściem widnieje napis: „Wstęp wolny posłowie i senatorowie RP, mieszkańcy Gubałówki”.

Uzurpowanie sobie pierwszeństwa sięga wszystkich dziedzin. Od kolejek zębatych poprzez mieszkania, po bilety teatralne. Z tegoż *Życia*:

„ – Proszę o miejsce blisko sceny, jestem posłem.

Kasjerka spojrzała znudzonym wzrokiem:

– Panie, na posła weszły już trzy pierwsze rzędy...”.

No comments.

Z rubryki MATRYMONIALNE w jednym tylko numerze *Życia Warszawy*:

„Atrakcyjny biznesmen zasponsoruje przystojnego chłopca do 25 lat”.

„Młoda, atrakcyjna, kochająca seks i pieniądze szuka sponsora”.

„Sponsor szuka przyjaciółki”.

„Zasponsoruję szczupłą atrakcyjną panią do 30 lat”.

Zastanawiam się, czy słowo „zasponsorować” znaczy tyle co utrzymać, a „zasponsorowana” to dawna utrzymanka. Chyba tak.

Słowa się zmieniają, sytuacje zostają.

Dziś niedziela, byłam na mszy na Krakowskim Przedmieściu. Przed wejściem do kościoła stolik, za nim dwie eleganckie osoby podsuwają wchodzącym listę do podpisu pod AWS-owskim projektem konstytucji. Gdy kręcę głową odmownie, działaczka zza stolika mówi z wyrzutem:

- Przecież to dla Polski.
- Ja Polskę rozumiem inaczej.
- Chce pani Polski bolszewickiej? – słyszę jeszcze za sobą.

W zakrystii ksiądz nic nie wie o stoliku przed wejściem. Dominikanie z Freta mówią mi, że prawie codziennie mają na murach różne nalepki. Zdzierać nie nastarczy. Zwłaszcza w okresie wyborczym kościoły bywają gęsto oplakatowywane prawicową propagandą. Ile w tym wiedzy i zgody gospodarzy, nie wiem. Zapewne jest tak i tak, zarówno po parafiach, jak i w Episkopacie. Jednakże znaki na ziemi i niebie wskazują, że sprawdzona przez wieki mądrość Kościoła zaczyna brać tutaj górę.

Na koniec scenka, której byłam świadkiem przed chwilą, a która wyłącza nas ze skażonej strefy, unosząc w sfery wysokiej światowej cywilizacji.

Trzylatek pyta babcię.

- Gdzie jest mama?
- W pracy.
- A gdzie twoja mama?
- Nie żyje.
- Kto ją zastrzelił?

Dziecko, jak wszystkie współczesne dzieci w cywilizowanym świecie chowa się na kreskówkach telewizyjnych.

Warszawa, 20 kwietnia 1997 roku

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

Fala

Sądzę, że zamiast wstępu najlepiej przytoczyć prawdziwy list. Jeśli ktoś z Czytelników poczuje się jakby ktoś wałnął go czymś w głowę, to nie szkodzi – szok bowiem jest właściwszym wyrazem dla tego, co człowiek i obywatel powinien odczuć zetknąwszy się z tematem tego artykułu. List został skierowany do Ryszarda Nowaka, posła Unii Pracy – jedynej znanej mi postaci publicznej, która nie próbuje umyć rąk w obliczu tego nieustannego, narodowego skandalu, jakim jest zjawisko tzw. „fali”. Dla wyjaśnienia: „kot” to powołany właśnie do wojska – „dziadek” to żołnierz drugoroczny. W myśl niepisanej reguły „dziadek” jest panem życia i śmierci „kota”.

„Odsiedziałem dwa lata w najgorszym więzieniu w Polsce. W Wojsku Polskim. Jestem teraz innym człowiekiem, gorszym. Pełno we mnie agresji, strachu, niewiary, beznadziei. Mój dziadek z „celi” to zboczeniec i sadysta. Byliśmy, ja i koledzy, na skraju rozpacz, nieraz odbezpieczałem broń, myślałem o śmierci. Wówczas dostałem list od mamy, ale kot nie może otrzymywać listów. Kazali mi za to, że dostałem list zrobić sto pompek, a on rozerwał list, przeczytał i podał z uśmiechem, mówiąc że nie było tam nic ciekawego. Rzuciłem się na niego. Zawołał innych. Skopali mnie i związali. (...) Potem sprzątałem schody na mokro przy pomocy trocin, ale zamiatać wolno mi było tylko od dołu do góry. (...)”.

Parę dni temu odbył się proces domniemyanych katów młodego żołnierza, który wołał się powiesić niż wrócić z przepustki do koszar. Proces potwierdził fakt znęcania się oskarżonych choć jedyny świadek poświadczyl ten fakt dopiero na

17 przesłuchaniu – wtedy gdy wyszedł z wojska. Sąd Marynarki Wojennej uniewinnił oskarżonych. Kamera pokazała szlochającą matkę.

W tym roku władze wojskowe wykazały już 64 samobójstwa. W ciągu 10 miesięcy.

W prasie wysokonakładowej panuje na ten temat zмова milczenia: co najwyżej pisze się o tym raz do roku, z okazji kolejnego pościgu za dezterem lub procesu, w którym bezradni, pozostawieni sami sobie rodzice ofiary, próbują dojść sprawiedliwości. Nie jest tym zainteresowany Rzecznik Praw Obywatelskich, tak zatroskany o dobre imię esbeków i konfidentów – milczą skądinąd wymowni członkowie Komitetu Helsińskiego. Ofiarami są zwykle chłopcy ze wsi i małych miasteczek, cóż mogą obchodzić stołecznych działaczy i publicystów. Milczy Kościół, który ma przecież w wojsku kapelanów*. Młodzi ludzie z organizacji antykomunistycznych, tak energiczni gdy chodzi o rzucanie jajkami w ministra oświaty – w tym wypadku są dziwnie powściągliwi. Czy dlatego, że ich jako studentów to nie dotyczy? Nie zareagował ani były ani obecny prezydent, do których posł Nowak zwrócił się z prośbą o pomoc. W ślimaczym tempie ciągnie się praca nad zgłoszonym przez niego projektem ustawy, która ma wreszcie zmienić prawo bierutowskie i odebrać te sprawy spod jurysdykcji sądów wojskowych na rzecz sądów powszechnych.

Tak jak w Sowietach, tak i w PRL kadra oficerska jest rozdęta ponad wszelkie wyobrażenia. To dla niej trzyma się dwa lata młodych ludzi, choć szkolenia jest w naszym słabo wyekwipowanym wojsku na parę miesięcy. Z powyżej podanych powodów nie można też przeprowadzić najprostszej rzeczy – oddzielenia od siebie obu roczników. Mydleniem oczu są też wszystkie argumenty, że Polski nie stać na armię zawodową: każdy doświadczony dowódca wie, że jeden ochotnik wart jest dziesięciu rekrutów.

W Polsce po 1989 roku zmiany w wojsku były jedynie kosmetyczne. Praktycznie nic nie zrobiono, by wychowanie żołnierzy odebrać towarzyszom w mundurach: ministrowie

* No ale bp polowy i jego działalność to osobne zagadnienie.

się zmieniali, ale w czytelnich i rozdzielnikach prasowych wybór tytułów ogranicza się od siedmiu lat do *Trybuny*, *Nie* i *Polityki*. Kiedy zadecydowano o wręczeniu odznaczeń weteranom 1920 roku, to podlegli ówczesnemu wiceministrowi Komorowskiemu oficerowie kazali im stać przeszło godzinę w małej sali bez klimatyzacji – tak, iż nawet daleka od zachwyty dla przedwojennych tradycji *Gazeta Wyborcza* określiła to jako hańbę – pisząc, że „mówiono na sali, że MON bierze odwet na tych żołnierzach za Bitwę Warszawską”. Aż do połowy 1992 roku składający przysięgę deklarował, że jest „świadomy swej odpowiedzialności wobec narodu i praw socjalistycznego państwa polskiego”.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że „fala” to także przyczyna wielu patologii. Jest to prawdziwa fala przemocy rozlewająca się po wszelkiego typu zbiorowiskach młodzieżowych – przede wszystkim szkołach. W wydawanym przez Fundację Inicjatyw Społecznych czasopiśmie *Forum gazet szkolnych* przedrukowano materiał z rzeszowskiej gazetki pt. *Fala*. Czytamy w nim:

Do niedawna ‘fala’ kojarzyła się tylko z wojskiem. Niestety – do niedawna. Teraz przenosi się do szkoły. Uczniowie z entuzjazmem przejęli i wprowadzili w życie wojskową ‘tradycję’.

Czy zjawisko to jest obecne także w Rzeszowie? Informacji postanowiliśmy zasięgnąć w dwóch rzeszowskich szkołach.

Oto co powiedzieli nam uczniowie „Odlewnika”:

– Czy tępimy koty? No pewnie! I to jak! Jedzą pety. Robimy im też pająka. Albo można kotowi wsadzić głowę do kibla i spuszczać wodę. To świetna zabawa. (...)

– Czy wyludzacie od nich pieniądze?

– A skądże – sami dają! Muszą. Jak nie chciał dać – to pod prąd. Taki mały, tylko trochę. Chodzą po piwo, przynoszą obiady – sami mogą zjeść resztki. (...)

Podobnie jest w Budowlance. (...)

– Mnie też szkolili, to i ja szkolę koty. (...) Nauczyciele, opiekunowie wiedzą bardzo mało, a jeszcze mniej reagują.

– Oni chyba wiedzą, ale udają, że nic się nie dzieje.

Z listów, jakie otrzymuje Ryszard Nowak, wynika też dlaczego taką popularnością cieszą się niektóre sekty, np. Świadkowie Jehowy – otóż dla młodych ludzi stanowią właśnie ochronę przed wojskiem.

Do czego nadaje się taka armia?

A jeśli chodzi o morale naszych żołnierzy, to najlepszą odpowiedzią jest liczba tych, którzy według ankiety chcieliby wyemigrować.

Dwie trzecie.

Piotr SKÓRZYŃSKI

Czy rzecz cierpi?

Kiedy wreszcie Sejm uchwali nową uwspółcześioną „ustawę o ochronie zwierząt”? Na jaki grunt ustawa trafi? Z jakimi sytuacjami i zapatrywaniem będą się stykali jej egzekutorzy?

W jednym z nie najmniejszych polskich miast – w Radomiu – władze rozważały, czy by nie sprezentować bezdomnych psów chińskim restauracjom. To był koncept urzędniczy, natomiast radni byli za posadą raka. W Skierniewicach rada wojewódzka wpadła na tańszy sposób, opowiedziała się za wytłuczeniem bezpańskich kundli siłami społecznymi. Technika dowolna, jak z tego wynika. W kilku województwach odnotowano wypadki wścieklizny, głównie wśród lisów, i polowanie na psy już ogłoszone, bez wdawania się w szczegóły, kto ma zabijać – i jak.

Drastyczny jest brak schronisk dla psów. W najgęściej zaludnionym regionie, na Górnym Śląsku, tylko jedno – w Katowicach. Rzeszowski przytułek dla psów obsługuje trzy województwa. Zwłaszcza na wschód od Warszawy, na południe od Krakowa – schronisk nie ma. Co niestety bardzo komponuje się z postawą i administracji, i aparatu ścigania.

Sejm mitrzążył z określeniem statusu prawnego zwierząt w Polsce. Jak skonstatował Leszek Balcerowicz – w tej kwestii jesteśmy opóźnieni w porównaniu z krajami Unii Europejskiej o kilkadziesiąt lat.

Zdawałoby się, że w 40-milionowym kraju z takimi

cywilizacyjnymi aspiracjami (bo nie realizacjami, na razie...) jak polskie, już nie powinny mieć miejsca rozważania czy zwierzę jest rzeczą, czy jednak może, może – nie jest. Niestety, o tę właśnie rałę tak skandalicznie długo rozbijały się wszystkie dotychczasowe zabiegi o akt prawny, ograniczający ludzkie bestialstwo. Nie spieszo się z ustawą zabezpieczającą zwierzę przed człowiekiem, poprzestając na siłę faktu przestarzałym rozporządzeniu Prezydenta RP z roku 1928. Swoją drogą, jakie to znamienne, że w tamtej Polsce, podnoszącej się po stu kilkudziesięciu latach państwowego niebytu, był czas i miejsce na zajęcie się tą sprawą, dopiero później odsuwana, bagatelizowana w trakcie kilku parlamentarnych kadencji. Próby zaktualizowania przepisów obserwowaliśmy już w Sejmie kontraktowym. Pierwsze czytanie projektu odbyło się w grudniu 1994. Koncepcje posłanki Teresy Liszcz poparła Unia Pracy, natomiast Unia Wolności wolała wersję własną. Obydwa projekty dotarły do sejmowej podkomisji – no i tam utknęły.

Zwierzę prawem chronione? Nie z przypadku przy tytule konferencji zorganizowanej jesienią ub. roku przez Klub Parlamentarny i Forum Ekologiczne Unii Wolności postawiono znak zapytania. Następna, kardynalna kwestia: czy zwierzę jest rzeczą? Takie irytujące obdarzonego jakąś wrażliwością ujęcie kwestii ma swoje przyczyny. Bardzo istotne, bo ekonomiczne. Otóż zwierzę pozostające na pozycji rzeczy, inaczej: przedmiotu, jest bardziej opłacalne. Można je zabijać metodami urągającymi człowieczeństwu, jak przy podwórkowym uboju świń, z reguły w asyście dzieci. Można je przemocą tuczyć, odzierać żywcem ze skóry. Można je eksploatować jak to czyniono z końmi w Bieszczadach przy wyrębie lasów: zwierzę żyło najdłużej przez pięć lat. Częściej – niespełna trzy. Najpospolitsza przyczyna zgonu: zawał serca.

Chroniąc producentów – PSL postawiło na swoim, z projektu ustawy wyrzucono zakaz bateryjnego i klatkowego (zwłaszcza w tunelach z folii) tuczu drobiu, zakaz zmuszania do kłusu lub galopu zwierząt pociągowych, transportu żywych ryb bez wody, wspomnianego uboju „amatorskiego”, a wreszcie – tzw. w żargonie producentów tuczu gęsi na stłuszczone wątroby. Ten skandaliczny proceder został zakazany w wysoko rozwiniętych krajach europejskich, my wolimy się kierować przykładem Rumunii, Bułgarii... Do Sejmu i do prasy trafił list z polskiej farmy. Cytuję: „Jesteśmy w posiadaniu opracowań i opinii naukowych stwierdzających, że

wymuszony tucz gęsi nie powoduje jakichś szczególnych dolegliwości u zwierząt, gdyż są one do niego fizjologicznie przygotowane...". I tak dalej. Grozą wieje. Ministerstwa, ani Zdrowia, ani Rolnictwa nie zająknęły się, że z tuczem przemysłowym wiąże się zagrożenie istotne dla człowieka, pośrednio konsumującego antybiotyki i inne leki, którymi faszerowane są zwierzęta zanim trafią na nasz talerz. Przynajmniej instynkt samozachowawczy należałoby rozbudzić w ludziach, którym trudniej przemówić do sumienia.

Polskie warunki transportu zwierząt urągają normom europejskim. Nie zważamy na międzynarodowy przepis o konieczności postoju po ośmiu godzinach jazdy w celu napojenia „żywca”. Już w samym sformułowaniu zasygnalizowany został stosunek człowieka do zwierząt już nawet nie gospodarskich, tylko gospodarczych. Do ryby towarowej (ale nie od razu: martwej!). Do stworzeń, tylko i zaledwie: rzeźnych.

Zwierzę nie jest rzeczą. Oczywiście? To zależy. Poseł SLD zapytując jak prawo cywilne reguluje prawo podmiotu i prawo rzeczy, pokpiwa „Co się będzie działo z moim bezcennym (podkr. moje – AS) koniem po mojej śmierci. Czy będzie miał prawo do mojego majątku i spadku, skoro nie jest rzeczą – jest podmiotem prawa? Czy wobec tego ma prawa obywatelskie? Chciałbym prosić o wyjaśnienie”.

I co się dziwić, że sprawy wyglądają tak jak wyglądają, jeśli bagatelizuje je, wręcz wykpiwa przewodniczący – żeby było śmiesznie – komisji ekologicznej, a żeby było jeszcze śmieszniej – lekarz weterynarii? Wprawdzie po ostrych ripostach poseł zapewnił, iż jest „najdalej od tego, aby pozbawiać zwierzęta ochrony” ale co się rzekło, zostało w protokole.

Bardzo już zauważalna na Zachodzie, nam praktycznie obca tendencja przewartościowania antropocentrycznego myślenia o świecie, a także o wynikających stąd korektach stosunku do zwierząt; nam jeszcze jest praktycznie obca. Przynajmniej funkcyjny ekolog powinien był nadążyć z orientacją, że bezwzględnie rozpanoszenie się człowieka w przyrodzie wyszło z mody, więcej: że odwracamy się od etyki utilitarnej, czyli respektującej głównie nasze interesy. Okrucieństwo wobec zwierząt uznawaliśmy za niebezpieczne dla nas samych: sadysta zagraża również innym ludziom, i to był jedyny *de facto* „usprawiedliwiony” powód do troski o los innych stworzeń.

Bez obrazy, ale przy dzisiejszym stanie wiedzy i rozu-

mienia etyki ekologicznej, są to zachowania jaskiniowe. W Polsce trzeba zacząć od podstaw. W Niemczech prawodawstwo w tej – jak w każdej – dziedzinie zmienia się co kilkanaście lat, lub częściej. Ostatnia niemiecka ustawa zakładająca, że zwierzę jest współtowarzyszem człowieka w przyrodzie, powstała w roku 1986, a już dzisiaj uchodzi za niewystarczającą! My nie umiemy się oderwać od przepisów sprzed siedemdziesięciu lat. Uznanie godności organizmów żyjących, o czym mowa w konstytucji szwajcarskiej z roku 1992, nie odnosi się do zygot, lecz do zwierząt. Znajomość takich faktów przydałaby się społeczeństwu skądinąd tęskniącemu do Unii Europejskiej.

Prasa codzienna albo – i to najczęstsze – pomija temat, albo relacjonuje poszczególne incydenty, z niepotrzebną bo niebezpieczną szczegółowością. Stanem prawnym zwierzęcia w Polsce w świetle standardów europejskich zajęła się prof. Ewa Łętowska. Jaka szkoda, że jej kapitalny wykład na ten temat przedrukował tylko *Magazyn Weterynaryjny* (nr 4/96) czyli znowu pismo o środowiskowym, wąskim zasięgu.

Prof. Łętowska zwraca uwagę na „charakterystyczny dla naszego kraju niedostatek wymagań stawianych przez etykę ekologiczną, a nawet brak świadomości, że ona w świecie istnieje i że coś z niej wynika dla naszych poczynąń legislacyjnych”. Mówiąc o ewentualnej „personifikacji” zwierzęcia w ustawie, stwierdza: „Samo uznanie za podmiot prawa nie wiąże się automatycznie z istnieniem jakiegoś zakresu uprawnień (...) Prawa te muszą być oddzielnie wyznaczone, określone, uregulowane przez przepisy (...) Po to, aby coś zmienić i aby prawo zwierzęta chroniło (...) trzeba napisać, czego wobec zwierząt nie wolno ludziom”.

Sprawy znęcania się nad psami bagatelizują prokuratury, uznając je za społecznie nieszkodliwe. I tu jest pies pogrzebany. Żadna ustawa nie wymusi na prawnikach właściwego postrzegania spraw, pozostających poza zasięgiem ich ludzkiej wrażliwości. W tej sprawie, jak w każdej, mnóstwo zależy od interpretacji. Na przykład w Krakowie, staraniem przewodniczącej wydziału rodzinnego w sądzie rejonowym, sędzi Jadwigi Osuchowej, okazało się, że istniejące przepisy też pozwalają na stosowne ukaranie sprawcy. Sędzia Osuchowa zorganizowała nawet szkolenie dla swoich kolegów prawników, orientujące ich w motywacji, w społecznej potrzebie represjonowania za okrucieństwo. Jeśli bowiem sami prawnicy będą upierali się przy znikomej szkodliwości takich czynów –

to każda ustawa może wylądować w koszu na śmieci. Prof. Łętowska wskazuje na brak troski o procedury i o instytucje, dzięki którym system ochrony zwierząt mógłby funkcjonować.

Minimalna ilość spraw trafia do kolegów, jeszcze mniej – do sądów. Sprawców zabezpiecza obojętność środowiska. Co się tyczy kar, to sędzia Osuchowa za sukces uważa „wyrok skazujący oskarżonego o wyrzucenie przez okno ze skutkiem śmiertelnym psa, na karę 6 miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem wykonania tej kary na okres lat trzech. Poprzednio w podobnych przypadkach zapadały postanowienia o umorzeniu postępowania przygotowawczego wobec znikomej społecznej szkodliwości czynu”. Dalej sędzia podkreśla, iż prokurator, który wystąpił z aktem oskarżenia, „ma ogromne zasługi na polu ochrony zwierząt... Wyrok – utrzymany przez Sąd II instancji w mocy – wywołał falę komentarzy w gronie prawników praktyków, przy czym szczególnie aktywne w dyskusji... były osoby zwierzętom niechętne”. Komentarz zbyteczny. Kropkę nad i stawia dalsza relacja sędziego. „Pełne oburzenia głosy nie wywołały efektów zaplanowanych – wręcz przeciwnie”. Otóż w lipcu 1995 w Krakowie zapadł przełomowy wyrok, oskarżonego za bestialskie zgładzenie kota skazano na 6 miesięcy więzienia a ponieważ i sąd wojewódzki nie dopatrzył się żadnych przesłanek uzasadniających ewentualne zawieszenie, sprawca przebywa w celi. Píše sędzia Osuchowa: „Wiem, że wyrok ten był bardzo mocno atakowany, także na łamach prasy prawniczej, na tym większe podkreślenie zasługuje fakt, że został on wydany przez oczekującego wizytacji asesora sądowego (obecnie sędziego), który w pełni zdawał sobie sprawę, że wydanie tak rewolucyjnego orzeczenia może zostać w różny sposób zinterpretowane i w efekcie pociągnąć za sobą konsekwencje...”. No tak, Europa całą gębą.

Nasza wizja świata, wyznaczająca standardy legalności i przyzwoitości, była i pozostaje antropocentryczna, pod niemałym wpływem chrześcijaństwa, jednej z trzech, obok judaizmu i mahometanizmu głównych religii, przesądzających o takim stanie rzeczy. Jak zauważa Łętowska, myśli religijno-filozoficzne świętego Augustyna i świętego Tomasza z Akwinu, widzące w człowieku pana przyrody, przeważały nad kierunkami, których patronem był święty Franciszek z Asyżu. W protestantyzmie, w anglikanizmie przede wszystkim, oczywiście – to również kwestia zamówienia i nacisku społecznego

– nie ma miejsca dla duszpasterza bagatelizującego cierpienia braci mniejszych. W Polsce trafiają się wyjątki od reguły lecz ogół duchowieństwa wywodzi się ze wsi i nawykowo nie dostrzega losu zwierząt. Stąd nieobecność tematu w katechezie.

A co ma do powiedzenia dzisiejszy Kościół katolicki? Nowy papieski katechizm tani nie jest, więc (na szczęście) nie każdy katolik dowie się – z rozdziału „Życie w Chrystusie” – w którym mowa o zwierzętach, że „niegodziwe jest wydawanie na nie pieniędzy, które mogłyby w pierwszej kolejności ulżyć ludzkiej biedzie”. Koniec cytatu, ale rdzeń problemu.

Anna STROŃSKA

„Końska” polityka Wspólnoty Europejskiej

Tematem najnowszej książki¹ pani Bernadette Lizet, znanego francuskiego etnologa, pracownika CNRS i Narodowego Muzeum Historii Naturalnej, jest koń pociągowy. Autorka podczas wielomiesięcznych badań prowadzonych w wielu krajach, m.in. we Francji, Belgii, Włoszech, Wielkiej Brytanii i w Polsce, analizuje ewolucję funkcji konia w rolnictwie europejskim od zwierzęcia roboczego poprzez rzeźnię, aż do nowej roli zwierzęcia hodowanego z jednej strony dla przyjemności (konkursy i wyścigi hippiczne niegdyś zarezerwowane dla koni ras szlacheckich coraz częściej stają się domeną ras pociągowych), a z drugiej stanowiącego ważny element polityki rolnej Wspólnoty Europejskiej. Choć praca pani Lizet stanowi prawdziwą kopalnię wiedzy na temat historii końskich ras, tradycji związanych z pracą koni w rolnictwie, armii, transporcie i przemyśle, to w rzeczywistości koń stanowi w książce jedynie punkt wyjścia dla analizy zmian, jakim podlega europejskie rolnictwo od kilkudziesię-

1. „Champ de Blé, Champ de course”, Bernadette Lizet, Editions Jean-Michel Place, 1996.

ciu lat. Opowieść o historii konia i związanych z nim ludzi i polityki ma w rzeczywistości na celu poznanie i zrozumienie zmian społecznych różnych części naszego kontynentu.

Najobszerniejszy rozdział pracy pani Bernadette Lizet jest poświęcony Polsce. Poprzez historię ras i tradycji związanych z koniem ukazana jest historia Polski. Choć laikowi trudno w to uwierzyć, wiele z ważnych wydarzeń historycznych pozostawiło swój ślad w hodowli koni. Autorka analizuje wpływ niektórych z owych pozornie odległych od problemów hodowlanych wydarzeń, jak np. zmiany granic, polityka agrarna zaborców, ekonomiczna walka o polskość w zaborze pruskim, powstania, niemieckie reparacje, jakże imponujące dokonania Polski międzywojennej, okupacja, przymusowe wysiedlanie ludności, pomoc UNRRY. Pani Bernadette Lizet odnajduje także ślady ogromnego zróżnicowania kulturowych korzeni polskiej hodowli koni. Stąd w pracy odnaleźć można informacje o koniach huculskich, o Tatarach i o wielkiej tradycji konia arabskiego w Rzeczypospolitej. Z „końskiej” perspektywy dobrze uchwycona została dwoistość tradycji hippicznej naszego kraju (a zarazem przecież i polskiej kultury). Polska wschodnia i zachodnia podzielona linią Wisły, a także tradycja szlachecka „koni czystej krwi” i chłopska, roboczych koni „zimnej krwi”, wielokrotnie powraca w trakcie analizy współczesnego rolnictwa naszego kraju. Autorka interesuje się także historią eksperymentu związanego z restytucją tarpana z koników polskich.

Historyczne refleksje, poparte badaniami przeprowadzonymi w terenie i bogatą bibliografią polską, niemiecką, rosyjską i oczywiście francuską i angielską sprawiają, że książka stanowi dla francuskiego czytelnika prawdziwą kopalnię wiedzy na temat naszego kraju, choć i Polacy mogą wiele dowiedzieć się z tej pracy o historii naszej kultury. Autorka nie ogranicza się do refleksji historyczno-etnologicznej. „Champ de Blé, Champ de course” to także wnikliwa analiza europejskiego rynku końskiego i polityki wspólnoty wobec rolnictwa znajdującego się w głębokim kryzysie. Dla polityki tej nowa rola konia pociągowego (sport i turystyka) jest jednym z ważnych narzędzi wpływu na ewolucję rolnictwa. Autorka interesuje się także sytuacją polskich hodowców. Stąd w jej pracy opis transformacji rynkowych w Polsce, badania nowo powstałego niewielkiego przedsiębiorstwa konnej turystyki w Wielkopolsce, wizyta w małych gospodarstwach znajdujących się na skraju bankructwa, szczegółowe relacje z

aukcji końskich, wizyty u hodowców państwowych i prywatnych, analiza sytuacji stosunkowo młodej w Polsce hodowli koni rzeźnych przeznaczonych na eksport do Włoch i Francji połączona z refleksją na temat nieuniknionego kurczenia się i zaniku tego rynku, który tak bardzo interesuje polskich producentów. Praca ukazuje Polskę widzianą na tle innych krajów europejskich, zwłaszcza Francji. Zdaniem autorki polskie rolnictwo skazane jest na ewolucję, którą rolnictwo francuskie przeszło stosunkowo niedawno, bo zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Być może lektura książki, opracowanej na podstawie obserwacji rolnictwa innych krajów, pozwoli na uniknięcie wielu błędów, a także przyczyni się do odmitologizowania obrazu polskiej gospodarki rolnej, jakże często niestety zakłamywanego przez media.

Piotr DASZKIEWICZ

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sąsiedzi

Przez Grodno do Witebska

Znowu nadarzyła się okazja odwiedzania Białorusi, porozmawiania z ludźmi, patriotami, którym idea niepodległości i niezależności ich kraju od kilku lat leży na sercu. Byłem ciekaw czy coś się zmieniło od jesieni ubiegłego roku, kiedy to byłem tam ostatni raz. Tym razem droga wiodła przez Grodno do Witebska.

Wiosna tego roku kapryśna: wichury, śnieżyce, deszcz i przenikliwy ziąb. Taka pogoda była 20 kwietnia, kiedy pociągiem Gdynia-Grodno przyjechałem do Batorowego grodu nad Niemnem. Do dalszej podróży miałem jeszcze wiele czasu, więc postanowiłem wolny czas wykorzystać na spotkania ze znajomymi. Zebraliśmy się w lokalu Stowarzyszenia „Ratusz” przy ulicy Budionnego. Mieści się tam redakcja niezależnej gazety *Pahonia* (Pogoń) i oddział grodzieński Fundacji Sorosa. *Pahonia* miała swój lokal w budynku państwowym, skąd redakcję wyeksmitowano, a raczej wyrzucano na bruk razem ze sprzętem, komputerami i pracującymi tam ludźmi. Wtedy Stowarzyszenie „Ratusz” przyjęło *Pahonię* do swego pomieszczenia, które jest własnością prywatną i należy do p. Bujnickiego, znanego w Grodnie biznesmena polskiego pochodzenia. „Oprycznicy” Łukaszenki na razie są bezsilni. Prywatną własność jeszcze respektują.

Kierownikiem grodzieńskiego oddziału Fundacji Sorosa jest dr Aleksander Milinkiewicz, fizyk z wykształcenia, a w okresie rządu Wiaczesława Kiebicza zastępca burmistrza miasta Grodna. Fundacja Sorosa zrobiła wiele dobrego na Białorusi. Dzięki pomocy finansowej Fundacji przeprowadzono sporo imprez kulturalnych i naukowych. Ludzie kultury

i nauki dzięki wsparciom Sorosa mogli odbyć staże naukowe i zawodowe w różnych krajach Europy. Niestety, działalność Fundacji była przysłowiową kością w gardle dla otoczenia Łukaszenki. „Gospodarz”, jak na Białorusi nazywają prezydenta, zarządził likwidację „obcej”, jak się wyraził, Fundacji. Toczą się podobno rozmowy w sprawie pozostawienia Sorosa na Białorusi, wysyłane są petycje do rządu o zachowanie Fundacji, ale na razie działalność jej jest wstrzymana. Aleksander Milinkiewicz nie jest pewien czy pozostanie na swoim stanowisku. Należy on do grupy patriotów, tj. ludzi dla których w państwie Łukaszenki miejsca nie ma. Podobnie jest z dr. Alesiem Kraucewiczem, który był prorektorem Uniwersytetu Grodzieńskiego. On jednak jest w lepszej sytuacji, ponieważ korzysta z urlopu naukowego, stara się o staż w Polsce, jest samotny i jakoś te trudne czasy przeżyje. Inny patriota – lekarz i biochemik Andrej Majsiajonak – nie mógł w Mińsku obronić pracy habilitacyjnej, bo „nieprawomyślny”. Majsiajonak pojechał do Moskwy i tam pomyślnie obronił habilitację i otrzymał tytuł profesora. Tytuł i stopień naukowy Majsiajonka Mińsk oczywiście respektuje. W Grodnie jest on dyrektorem poważnego instytutu naukowo-badawczego. Jako biochemika znają go za granicą, również w Polsce, ale w Grodnie jest „nieprawomyślny” i grozi mu zwolnienie ze stanowiska i może nawet w ogóle z pracy. Na Białorusi władze nie cenią naukowców. Nawet ludzi z tzw. „wertkalu” „Gospodarz” nie szanuje, nie liczy się z nimi.

Łukaszenka rozbudował aparat policyjny, wszędzie jest pełno szpicli KGB. Ludzie stali się nieufni, wystraszeni, zamknęli się w sobie, unikają rozmów, szczególnie z osobami nieznanymi. Prezydent zamknął wszelkie prywatne punkty wymiany waluty. Teraz pieniądze można wymienić tylko w bankach i państwowych punktach wymiany. Obywatele godzinami stoją pod okienkami takich kantorów, żeby kupić kilkadziesiąt dolarów na wyjazd np. do Polski. Od osób przygodnych i przypadkowych ludzie boją się kupować dolary czy marki, bo kupno waluty proponują agenci KGB, którzy później aresztują nabywcę. Po przyjeździe do Grodna musiałem wymienić kilkanaście dolarów na bilet do Witebska. Na dworcu, przy okienku wymiany waluty zobaczyłem dość długi ogonek stojących kobiet. Podeszedłem i zapytałem

po co tu stoją, odrzekły, że chcą kupić dolary. „Kupcie ode mnie” – zaproponowałem. Żadna z kobiet nie zdecydowała się na wymianę pieniędzy, nawet odsunęły się ode mnie, żeby nikt nie podejrzewał, że pertraktują z obcokrajowcem. Okazało się, że w okienku mogę wymienić pieniądze bez trudu i bez kolejki. A kurs był następujący: 1 dolar – 26.600 rubli. I wartość rubla białoruskiego ciągle spada.

Kiedy się przyjedzie na Białoruś i porozmawia z ludźmi, to przybylszowi z wolnego świata wydaje się, że panuje tu terror i ucisk, patriotów sadzają do więzień, ludzie żyją pod groźbą utraty pracy, środków do życia i w ogóle nie widać perspektyw na jakieś zmiany. Na pewno coś w tym jest, ale jak się spojrzy głębiej, to okazuje się, że rzeczywistość na Białorusi jest inna. Nadal wychodzą takie niezależne gazety i czasopisma jak *Swaboda*, *Pahonia*, *Narodnaja Wola*, *Nasza Niwa*, *Kalosje*, *Ksieraks Bielaruski* i inne, które kształtują świadomość narodową, rozwijają wśród Białorusinów ideę niepodległościową, a przede wszystkim piszą odważnie i prawdziwie, nie ukrywając żadnych machlojek i nadużyć. Ostatnio na łamach gazety *Narodnaja Wola* trwała dyskusja o ewentualnym przyłączeniu Białorusi do Rosji. I pośród różnych wypowiedzi za i przeciw 19 kwietnia 1997 r. gazeta wydrukowała list czytelnika Antona Dziški z Łyntup pt. „A ja chcę objedinita z Polszej”. W liście do redakcji A. Dziško pisze m.in. „My, mieszkańcy Zachodniej Białorusi, pamiętamy okupację naszego kraju przez wojska sowieckie w 1939 r. Byliśmy świadkami jak niszczone nasz naród, kulturę i historię. Znowu powtarza się ta sama historia. W Zachodniej Białorusi przeważnie mieszkają katolicy, którzy chcą związku z Polską, Litwą, Zachodem. Jest nas prawie trzecia część całej ludności Białorusi. Więc jeśli Białoruś nie może być nasza, proponujemy, aby organizacje międzynarodowe przeprowadziły referendum. Jeśli Łukaszenka i mohylewczanie chcą się przyłączyć do Rosji – niech się łączą. A my, mieszkańcy obwodów grodzieńskiego, brzeskiego i części rejonów witebskiego, chcemy zjednoczenia z postępową i demokratyczną Polską”. Podobne głosy padają z ust patriotów coraz częściej.

Młodzież białoruska, szczególnie inteligencka, jest odważna i niezależna. Aleś Arkusz (wł. Kozik), ekonomista i

poeta, w 1993 r. założył w Nowopołocku Stowarzyszenie Wolnych Literatów. Jest to organizacja niezależna, która skupia odważnych poetów, prozaików i krytyków. Oddziały tego Stowarzyszenia – jak mi powiedział Arkusz – działają we wszystkich większych miastach Białorusi. Członkowie Stowarzyszenia wydają książki i czasopisma, oczywiście bez cenzury. Działają jawnie. Członek tego stowarzyszenia, Sławomir Adamowicz, syn zesłańców sybirskich (tam się urodził) z Zachodniej Białorusi, w ubiegłym roku opublikował słynny już na Białorusi wiersz „Zabij prezydenta”. Autor oczywiście został aresztowany i osadzony w więzieniu w Witebsku. Przesiedział w okropnych warunkach (publikuje obecnie w *Naszej Niwie* „Dziennik więzienny”) 8 miesięcy. W tym okresie pisano różne petycje, próbowali bronić go koledzy-pisarze, nawet Związek Pisarzy Rosji wystosował protest. Dość że po 8 miesiącach więzienia Adamowicza postawiono przed sądem, sprowadzono na rozprawę biegłych i literaturoznawców z Białoruskiej Akademii Nauk, którzy stwierdzili autorytatywnie, że wiersz Adamowicza to po prostu fikcja literacka. Po takiej ekspertyzie sąd w Witebsku uniewinnił Adamowicza, ale za 8 miesięcy ciężkiego więzienia, rujnującego zdrowie, nikt poetę nawet nie przeprosił. Tymczasem Sławomir Adamowicz wydał nowy zbiorek prowokujących wierszy pt. „Kachańnie pad akupacyjej” („Miłość pod okupacją”). Tomik rozszedł się błyskawicznie, a czytelnicy doskonale zrozumieli o jaką okupację tu chodzi. Młodzi białoruscy inteligenci nie przejmują się wszelkimi związkami czy integracjami Białorusi z Rosją. Oni są u siebie w domu i pewni są, że wkrótce zostaną obywatelami Europy, bo innej przyszłości dla nich nie ma. Najbardziej radykalny Białoruski Front Narodowy posiada już dość liczny zastęp Młodych BFN. Władze lękając się, że młodzież z BFN może przyciągnąć do siebie studentów, w połowie kwietnia powołały organizację młodzieżową Związek Patriotycznej Młodzieży Białorusi. Związek przyjął za wzór metody działania Komsomołu. Ale młodzież akademicka bojkotuje ten Związek, natomiast w fabrykach, działających zresztą bardzo kiepsko, życie organizacyjne nikogo nie interesuje.

A w ogóle to najodważniejszym z moich grodzieńskich rozmówców jest Aleś Kraucewicz, który stwierdził, że

Białorusini mają dość rządów prezydenta i jego „drużyny”. „Jesteśmy już na krawędzi wytrzymałości – powiedział. – Jestem przekonany, że wkrótce może dojść do wybuchu, nawet do rozlewu krwi.” Nie jest to optymistyczna perspektywa, ale w tym kraju wszystko może się zdarzyć. Słyszałem też, że tworzone są tzw. czarne listy, na które wpisywani są szczególnie brutalni milicjanci, nadgorliwi urzędnicy, itp. Listy takie są już wywieszane w miejscach publicznych. W Grodnie na przykład trwa „wojna” władz z napisami na murach. Od pewnego czasu zaczęły pojawiać się ogromne napisy: „Białoruś – nasz dom”. Napisy te w dzień są zamalowywane, a nazajutrz pojawiają się nowe.

Pociąg z Grodna do Witebska jeździ tylko w dni parzyste, z Witebska do Grodna kursuje w dni nieparzyste. Jak za cara Mikołaja. A jedzie do celu aż 14 godzin! Innej bezpośredniej komunikacji nie ma. Do Witebska dojechałem 21 kwietnia rano. Miasto jeszcze spało, tramwaje i autobusy nie kursowały. Przy dworcu stały dość tanie taksówki, więc bez trudu dotarłem do hotelu, gdzie zarezerwowano pokoje dla zagranicznych uczestników konferencji. Był to jakiś hotel robotniczy z pokojami dla gości. Pokoje dość przyzwoite i czyste, choć bez łazienek. Wszelkie niedogodności rekompensowała grzeczna i miła obsługa. Hotelik jest własnością fabryki telewizorów „Witiaz”. Jednak bieda wyłazi ze wszystkich kątów.

Mieszkańcy Witebska są źle ubrani i niedożywieni, ale mimo wszystko uprzejmi i gościnni. Rozmawiają wyłącznie po rosyjsku i uważają się za Rosjan. Jest tutaj wielu zwolenników Łukaszenki: motorniczy tramwaju chwalił rząd „Gospodarza”, ale taksówkarz, z którym jechałem na dworzec, był powściągliwy i raczej krytykował prezydenta, że wstrzymał prywatyzację, że nie pozwolił na rozwój wolnego rynku, że na ogół ludziom żyje się gorzej, a obietnice nie zostały spełnione. Jest też wielu przeciwników aneksji Białorusi przez Rosję.

Wieczorem odwiedziłem znajomego docenta Władimira Utkiewicza, członka partii „Sławianskij Sobor” i jeszcze jesienią zwolennika polityki Łukaszenki. Docent Utkiewicz jest teraz rozczarowany działalnością prezydenta, bo nie zdołał przekonać Rosjan o konieczności rychłej integracji, bo jednak

jest „demagogiem a nie człowiekiem czynu, więcej mówi niż robi”. Utkiewicz już nie ufa Łukaszence, nie wierzy, że doprowadzi do połączenia się Białorusi z Rosją. Twierdzi, że „Sławianskij Sobor” postawił na złego konia, bo Łukaszenka okazał się gadułą a nie politykiem. Białoruś jest zadłużona, inflacja rośnie, w sklepach brakuje żywności a prywatne, dawniej dobrze zaopatrzone sklepy, są zamykane, bo już prawie nie ma wolnego rynku. Właściciele nie wytrzymują podwyższonych podatków, a zwłaszcza różnych przeszkód natury biurokratycznej.

Na drugi dzień w gronie kilku osób dyskutowaliśmy o życiu na Białorusi. Zdecydowanie wszyscy Białorusini twierdzili, że członkowie rządu są skorumpowani, zamieszani w różne afery finansowe. Nie ma na nich ani sądu, ani prawa, bo sami są prawem. „Jak możemy coś zrobić – powiedział jeden z profesorów – jeśli np. tylko w obwodzie witebskim w ubiegłym roku zdołano zebrać tylko 35% planowanych podatków. W innych obwodach jest jeszcze gorzej. Skarb państwa jest pusty, a pieniędzy starcza jedynie na utrzymanie rządu i milicji”.

W Witebsku stoi kilka nie ukończonych budynków biurowych i hotelowych, które dziś nikomu nie są potrzebne. Próbowano sprzedać je biznesmenom z Korei Południowej – nie chcieli. Przyjeżdżali chętnie z Kazachstanu, ale ci nie mają pieniędzy. Ustało budownictwo mieszkaniowe, kiepsko funkcjonuje komunikacja miejska. Ale na głównym placu Zwycięstwa nadal stoi pomnik wodza rewolucji, na 1 maja i 9 maja tam złożone będą kwiaty i wieńce. Tradycje komunistyczne są tu kultywowane. Jest pomnik Lenina w holu uniwersytetu. Stoi jakiś opuszczony, gdzieś z boku, zaniedbany, a złota farba już się na nim łuszczy. Nikomu jednak nie starczyło odwagi, aby ten relikwiarz przeszłości po prostu usunąć do lamusa.

Pytam prorektora czy na uniwersytecie istnieją jakieś organizacje studenckie. – „Nie ma – odpowiada. – Były próby założenia Łukaszenkowskiego Związku Patriotycznej Młodzieży Białorusi, ale nic z tego nie wyszło. Na zebranie organizacyjne przyszli tylko organizatorzy i z urzędu przedstawiciele władz uczelni. Młodzież nie interesuje się polityką”. To prawda. Młode pokolenie chce spokojnie i dobrze żyć. Po

prostu jest to normalna młodzież – jak wszędzie: w Polsce, w Czechach czy we Francji. Oni nie chcą ani komunizmu, ani Rosji. Oni chcą żyć w Europie.

Zwiedzając miasto, mój przewodnik na skraju Witebska pokazał osiedle ładnych domków. „To jest osiedle martwe – oznajmił. – Za rządów Kiebicza, kiedy powstała namiastka wolnego rynku, tzw. „nowi Białorusini” zaczęli budować wille, domy za miastem. Ale jak Łukaszenka został prezydentem, władze „wertikału” zamknęły do tego osiedla dopływ energii i gazu, i oto mamy w Witebsku „martwe miasteczko”. I takie dzielnice są we wszystkich większych miastach Białorusi. Zmarnowane nakłady, zmarnowane siły, zniszczone ludzkie marzenia”.

A czy ten kraj ma perspektywę lepszego życia? – spytałem profesora Darasiejewa. – „Ma – odparł. – Ma, bo Białoruś posiada wykształcone, dobrze wyszkolone kadry, jest niezły przemysł, choć na razie zamrożony, są u nas wspaniali, pracowici ludzie. Wiele przetrzymaliśmy w trudnych latach po wojnie i w okresie realnego socjalizmu, przetrwamy i obecnie chorobę, bo dzisiaj Białoruś jest chora”.

Tak! Białoruś jest chora. Potrzebuje pomocy, zrozumienia i cierpliwości. Europa, a zwłaszcza sąsiedzi, powinni być wyrozumiali i cierpliwi. Wszyscy powinniśmy pomóc sąsiadom. A pomoc może być różna. Nie współczucie, ale szacunek i poparcie w ich dążeniu do demokracji.

Mieczysław JACKIEWICZ

Czy Polacy i Ukraińcy sprostać wyzwaniu współczesności?

W potocznej świadomości polskiej i ukraińskiej przeważa opinia, że stosunki obu narodów na przestrzeni dziejów miały wyłącznie konfliktowy charakter, zaś obopólne wojny, kłótnie

i uprzedzenia sprawiły, że sąsiedztwo to stało się pasmem nieustannych udręk i narodowych nieszczęść. Trudno znaleźć w historii przykład bardziej pesymistycznej oceny jak powyższa. Chyba, że w nieumiejętności sąsiedzkiego współżycia i współdziałania widzimy wyłącznie wrogość i determinację obu walczących stron, podobną do średniowiecznych pojedynków na śmierć i życie.

Oczywista, na stosunki polsko-ukraińskie mocno rzutowały wzajemnie wyrządzone krzywdy, nieustanne zatargi i wiekowe uprzedzenia. Mimo to jednak możemy się również poszczycić wspólnym dorobkiem cywilizacyjnym, wielkim dziedzictwem naukowym, literackim i kulturowym, mamy także liczne przykłady współdziałania.

W najnowszej historii przykładem takiego współdziałania był sojusz Piłsudski-Petlura, tj. podpisana w Warszawie 75 lat temu (22 kwietnia 1920 r.) umowa polityczna między rządem Rzeczypospolitej a rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej, zaś trzy dni później konwencja wojskowa. Na mocy tej umowy Polska uznała niepodległość Ukrainy oraz wiązała się z nią sojuszem wojskowym, skierowanym przeciw ekspansji bolszewickiej Rosji (ten układ zerwała niebawem strona polska, podpisując z bolszewikami zawieszenie broni, a następnie traktat w Rydze w marcu 1921 r.), natomiast Ukraina musiała oficjalnie wyrzec się części swoich etnicznych ziem i zaakceptować terytorialne wymogi alianta – granicę wzdłuż Zbrucza.

Za ten układ Główny Ataman był ostro krytykowany przez swoich rodaków. W przeciwieństwie do wielu jego politycznych adwersarzy, Symon Petlura był realistą i wiedział, iż polityka jest sztuką realizowania możliwości. Stąd jego wyznaczenie: „nie byłem maksymalistą w sprawach terytorialnych, bo uważam takie stanowisko za iluzoryczne i przy obecnym stanie sił wewnętrznych na Ukrainie po prostu jako zbrodnicze”.

Wychodząc z takiego stanowiska Symon Petlura prowadził intensywne rozmowy polityczne – także za pośrednictwem dyplomatów – na rzecz niepodległości i suwerenności Ukrainy, będąc świadom, iż tu potrzebne są kompromisy i ustępstwa. Zatem jego porozumienie z Polską w owym czasie to wybór trudny, acz uzasadniony, zwłaszcza, jeśli się zważy

na narastające zagrożenie bolszewickie, fiasko rozmów z generałem Wranglem i nijaki, a właściwie niechętny do Ukrainy stosunek Ententy, sprzeciwiającej się wszelkim próbom zmiany układu sił w Europie.

Rozumiał to z całą ostrością i swoistą dlań polityczną przenikliwością Symon Petlura, wołając (w konfrontacji z bolszewicką nawałą): „My umieramy, zaś Ententa jako Piłat umywa ręce”. Natomiast w innym miejscu pisał: „Dzisiejsza sytuacja w Europie jest taka, że najbardziej boją się w niej jakichkolwiek konfliktów i rozruchów, które zagrażałyby pokojowi. Ten stan nastrojów będzie przeciągał się wiele lat. Jest to rzecz naturalna, a jednocześnie logiczny wniosek z ostatniej wojny i jej następstw. Oto dlaczego wszystkie ukraińskie plany i postulaty, wiążące się z naruszeniem *status quo* w Europie nie znajdują ani zrozumienia, ani przychylności wśród wpływowych czynników europejskiej polityki. Nie sądzę, aby inaczej do tych planów odniesiono się w Ameryce. W związku z tym, polityczna działalność na rzecz Ukrainy na arenie międzynarodowej powinna uwzględniać zaznaczoną wyżej swoistość w politycznych nastrojach Europy i winna się także liczyć z koniecznością wydłużenia jej w czasie”.

W kontekście powyższych refleksji łatwiej zrozumieć głębszy sens i kierunek myślenia dwóch interesujących nas tu wybitnych mężów stanu – Petlurę i Piłsudskiego. Dzięki ich politycznej przenikliwości podjęto próbę zmiany układu sił w naszej części Europy. Oczywiście, sojusz polsko-ukraiński stworzył (lecz nie zrealizował) dla obu narodów wymarzoną przez pokolenia sytuację – ułożenia równoprawnych i dobrosąsiedzkich stosunków, a tym samym utworzenia strefy bezpieczeństwa i współpracy w naszym regionie.

Nawiązujemy do tych koncepcji i wydarzeń, gdyż dzisiaj – jak i 75 lat temu – przed Polską i Ukrainą wylania się wielka, wyjątkowa w sensie historycznym, szansa podjęcia na nowo dzieła wzajemnego porozumienia, zbliżenia i współpracy, opartego na obopólnych wysiłkach, na zbieżności naszych interesów narodowych, na ścisłym współdziałaniu w celu zagwarantowania naszym obydwu krajom należytego bezpieczeństwa i sprzyjających warunków we współtworzeniu wizji nowej, przyszłej Europy.

Nasze przedsięwzięcie sesyjne, podjęte z okazji 75-ej

rocznicy podpisania sojuszu polsko-ukraińskiego oraz uczczenia 70-ej rocznicy zabójstwa Symona Petlury, ma na celu przybliżenie współczesnemu pokoleniu Polaków i Ukraińców i decydentom politycznym koncepcji, działań oraz idei, które dzisiaj są dla obu narodów szczególnie aktualne, ważne i nośne, i które dzięki sprzyjającemu europejskiemu klimatowi mogą mieć szanse realizacji.

Potrzebna nam tylko do tego – oprócz dobrej woli – rzetelna wiedza, dobra wzajemna znajomość (odcinająca się od „misji cywilizacyjnej”, ksenofobii, szkodliwych mitów, stereotypów, nieufności i zaciętrzewienia), a przede wszystkim potrzebna nam nowoczesna świadomość i zrozumienie, że tylko łączenie się i współdziałanie w realizowaniu wspólnych interesów przyniesie rzeczywisty postęp i zapewni obu narodom należne miejsce w integrującej się Europie.

Temu celowi ma służyć nasza międzynarodowa konferencja, podejmująca po raz pierwszy te przemilczane, trudne, ważne i aktualne problemy, zaś ich upowszechnieniu ma służyć niniejsza publikacja. Ciesząc się z szerokiego zainteresowania naszą inicjatywą w kręgach naukowych i politycznych, pragnę na zakończenie zacytować fragment listu Jerzego Giedroycia, skierowanego do niżej podpisanego: „Symposium naukowe poświęcone sojuszowi Piłsudski-Petlura zainteresowało mnie w najwyższym stopniu. Te stosunki są mało znane, a przecież obaj mężowie stanu byli prekursorami współpracy polsko-ukraińskiej, która obecnie – mam nadzieję – jest realizowana”.

Wolno żywić nadzieję, że powyższe słowa najwybitniejszego współczesnego rzecznika polsko-ukraińskiego porozumienia „staną się ciałem” i „przyniosą plon stokrotny”.

Otuchą napawa odbywająca się na naszych oczach reorientacja zachodniej i polskiej polityki wobec Ukrainy, a w ślad za tym aktywizacja współpracy politycznej, handlowej, wojskowej i gospodarczej; oczekiwać należy na udrożnienie wymiany naukowej, kulturalnej i młodzieżowej oraz podejmowanie wspólnych inicjatyw. Ożywienie między Warszawą i Kijowem leży nie tylko w interesie obu narodów, lecz jest także uważnie obserwowane, oceniane i aprobowane przez polityków zachodnich, pochyłających się nad mapą teraźniejszej i przyszłej Europy.

Prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma stoją przed wielkim wyzwaniem współczesności – sprostają temu wyzwaniu czy zaprzeczają tę historyczną szansę i pogrążą nas w niebyt, jak to już drzewiej bywało?

Jest to pytanie retoryczne i dramatyczne zarazem. Wszelako trzeba pamiętać, iż obaj mężowie stanu nie działają w osamotnieniu, że wielką rolę mogą odegrać tu elity polityczne, intelektualne i opiniotwórcze. Właśnie od nich, od mądrości obu narodów, od woli nas wszystkich zależy czy sprostamy owym wyzwaniom i czy utworzymy rzeczywisty i trwały polsko-ukraińsko-proeuropejski sojusz przyszłości?

Stefan KOZAK

* *Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze* Nr 3.

VI Wschodnia Szkoła Letnia 1997

Wschodnia Szkoła Letnia od 1992 roku jest organizowana przez Studium Europy Wschodniej i Azji Środkowej Uniwersytetu Warszawskiego. Szkoła gromadzi co roku 30 słuchaczy, zajmujących się badaniami tego regionu w różnych dziedzinach humanistyki. Wykłady prowadzi – zmieniająca się co roku – grupa wybitnych specjalistów – pochodzących głównie z Polski oraz Europy Zachodniej i Ameryki. Podczas poprzednich pięciu sesji Szkoły wykładano łącznie 45 profesorów, a ukończyło Szkołę z dyplomem absolwenta 130 słuchaczy z 10 krajów Europy Środkowej i Wschodniej i z 5 krajów Zachodu.

W tym roku sesja będzie trwała od 1-go do 31-go lipca. Wykłady w Warszawie odbędą się między 1-4 lipca oraz od 20-31 lipca. W międzyczasie są przewidziane sesje wyjazdowe: do Wilna (5-9 lipca), do Mińska (10-14) i do Lwowa (15-19).

Wykładowcami będą m.in.: Ryszard Pipes, historyk z Harvard University; Norman Davis, historyk z Oxfordu; Jarosław Valenta, historyk z Pragi; Michael Rywkin, politolog z USA; Leopold Unger, publicysta; Żelju Żelew, filozof, b. prezydent Bułgarii; Tomasz Venclova, pisarz, Paweł Teraszkowicz, białoruski antropolog; Bohdan Osadcuk, historyk; Iwan Dziuba, pisarz oraz Marek Śliwiński, politolog z uniwersytetu genewskiego.

Uczestnikami Szkoły mogą być wyłącznie absolwenci szkół wyższych, prowadzący własne badania naukowe, którzy nie przekroczyli 30 roku życia. Od słuchaczy wymaga się znajomości języka polskiego i angielskiego – obu języków wykładowych.

Działalność kulturalna na Rosję

Do dziejów głupoty w Polsce przejdzie chyba historia umowy, zawartej z Rosjanami w sprawie wydawania przekładów polskich książek w Rosji, a rosyjskich w Polsce, z dotacją państwową dla wydawców i tłumaczy. Zapewnić miała – po pierwsze – wpływ na opinię o Polsce czytającej elity Rosjan, którzy stali się przecież wyborcami. Po drugie – korzystne warunki pracy dla rosyjskich wydawców i tłumaczy z polskiego, tj. naszych najpewniejszych przyjaciół. Po trzecie – miała przekonać Rosjan, że Polska wcale nie zrywa z ich duchowym dorobkiem, choć nie chce być kolonią ZSSR. Zatwierdzona została w Moskwie rok temu, w czasie prezydenckiej wizyty Kwaśniewskiego i mogła być uznana za najważniejszy, bo konkretny jej skutek. Komisja polska, wysłana przez min. Dejmka, kierowana przez Andrzeja Rosnera, zdołała zobowiązać Rosjan do wydania około 25 dzieł, którym drogę do Rosji zagradzała dawniej cenzura, a dziś – komercja. Chodzi o książki Czapkiego, Gombrowicza, Hłaski, Mackiewicza, Miłosza, Wata, często już leżące w szufladach bezrobotnych tłumaczy. Wywalczone też wzajemną dostawę i zmianę cen prasy. Otóż umowa zawisła w powietrzu.

Polskich książek i periodyków dalej w Rosji brak. Wydawcy nie dostali żadnego zamówienia, tłumacze – żadnej umowy ani zaliczki; W. Bazylewski umiał wydać własnym sumptem skromną antologię polskiej poezji w lichej formie. Rosyjskie gazety w Polsce dalej kosztują 2 dolary. O wizytach tłumaczy i krytyków nie ma mowy. M. Podkański, minister kultury, który towarzyszył premierowi Cimoszewiczowi w Moskwie jesienią 1996, w ogóle nie zatroszczył się o te sprawy, nie wiedział nawet kogo o nie pytać, jako że kontrahentem był rosyjski Komitet d/s Publikacji, nie zaś resort kultury. Nie pomógł mu też obecny tam doradca premiera A. Drawicz.

Ten skandal powinien nie tylko przypieczętować karierę w kulturze p. Podkańskiego, ale także skłonić do wyrwania – póki czas – z przypadkowych, partyjnych rąk, tak ważnej sprawy jak promocja kultury, nauki i książki polskiej, zwłaszcza na Wschodzie. Zapowiadała to prezydencka Karta Kultury. Jeśli obszar autonomii dla tej i podobnych spraw natychmiast nie powstanie, nie będą zapewnione finanse, to wyjdzie na jaw, że Karta jest tylko kartką papieru.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Z perspektywy pogranicza

Pomiędzy Timisoarą a Tirgu Mures

1.

Pamiętnej jesieni narodów 1989 roku w pewnym mieście w Banacie, zwanym przez jednych Timisoara, przez drugich Temesvár, stanęli obok siebie ramię w ramię Rumuni i Węgrzy w proteście przeciwko reżimowi Ceausescu, zapoczątkowując tym samym przewrót w Rumunii. Nikt wtedy nie mówił o mniejszościach narodowych. Mówiono o opozycji demokratycznej, o mieszkańcach miasta, obywatelach Rumunii. W kilka miesięcy później, w marcu 1990 roku, w pewnym mieście sąsiedniego Siedmiogrodu, zwanym przez jednych Tirgu Mures, a przez drugich Marosvásárhely, stanęli naprzeciwko siebie pełni nienawiści Rumuni i Węgrzy. Doszło do walki. Były ofiary śmiertelne. Potem w Rumunii wszystko wróciło do „normy” – mniejszości narodowe zaczęły zwracać swe szeregi tak jak nauczone były to czynić przez całe mijające stulecie; przystępowano do tworzenia partii narodowych, kontynuowano walkę o uniwersytety narodowe, wykłócano się o narodowe „okienka” w mass-mediach, oczekiwano pomocy ze stolicy, od strony „macierzy”, od Ligi Narodów – o, przepraszam, Rady Europy oczywiście...

Te dwa wydarzenia ze współczesnej historii Rumunii są symboliczne dla biegu wypadków w całej Europie Środkowo-Wschodniej po roku 1989. „Norma”, która nastąpiła po Tirgu Mures, stała się powszechna we wszystkich krajach postkomunistycznych. Czasami ustanawiano ją za pomocą zbrojnego konfliktu, jak to miało miejsce w byłej Jugosławii; czasami

poprzez krwawe, ale sporadyczne i na niewielką skalę, konflikty lokalne, jak w Siedmiogrodzie, a czasami poprzez drobne, ale nie kończące się incydenty na Śląsku, Spiszu, Bukowinie, w Wilnie, Przemyślu, Komarnie... Przede wszystkim jednak o jej dominacji zadecydowało to, iż w powszechnej świadomości „norma” ta była oczywista i naturalna, nie było żadnej innej, która mogłaby zająć jej miejsce. Wspólnoty narodowe, zwłaszcza te będące w mniejszości, okopały się na swych pozycjach i przystąpiły do obrony swych partykularnych interesów. Do istniejących już linii podziału doszły nowe. Natomiast Timisoara symbolizuje szansę jaką przez krótki moment mieliśmy w tym przełomowym okresie, szansę zrealizowania innego scenariusza rozwoju wydarzeń, opartego na postawie obywatelskiej, wyswobodzonej z opłotków narodowego egoizmu, gotowej do wspólnego budowania w oparciu o cały potencjał naszego najbliższego sąsiedztwa i wielokulturowych tradycji. Była wówczas szansa, aby w miejscach przez nas zamieszkiwanych znalazł się – używając sformułowania Józefa Mackiewicza – „sukcesor do całości”, a więc ktoś, kto scali i zintegruje świat, z którego w minionym okresie „każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek”. Sam fakt, że Rumuni i Węgrzy razem stanęli do walki o wspólną sprawę – a byli z nimi również miejscowi Niemcy, Serbowie i Żydzi – mógł w konsekwencji spowodować stworzenie wspólnej partii politycznej, wspólnego uniwersytetu i integracyjnego programu edukacyjnego dla szkół, wspólnej telewizji, radia czy gazety. Przecież podziały nie muszą przebiegać wzdłuż przynależności narodowej czy wyznaniowej. To był ten moment, w którym wydawało się to możliwe. W grudniu 1989 roku w Rumunii nikt złego słowa nie mógł powiedzieć o Węgrach, którzy byli towarzyszami we wspólnej walce. Podobnie było pomiędzy Polakami i Litwinami, zwłaszcza wówczas, gdy padły pierwsze ofiary podczas szturmów wojsk sowieckich na wieżę telewizyjną w Wilnie. Gorące przemówienia w polskim Sejmie, atmosfera solidarności z walczącymi o niepodległość sąsiadami, zaangażowanie we wspólną sprawę części litewskich Polaków. Coś podobnego jak na początku drugiej wojny światowej, gdy zwaśniona z Polską Litwa otworzyła swe granice dla polskich żołnierzy uciekających przed Sowietami i po ludzku ich przyjęła u siebie.

Takich przykładów można by znaleźć jeszcze wiele. Wszystkie trwały bardzo krótko. W Rumunii rządząca nomenklatura, która „ukradła” rewolucję Timisoarze dla dokonania jedynie wewnętrznego zamachu stanu (dzisiaj coraz więcej zwolenników ma teza, że grudniowe zajścia były świadomie w tym celu sprowokowane), tak naprawdę wystraszyła się jednego: sojuszu rumuńsko-węgierskiego. Szybko zaczęto rozgłaszać, że opozycja wyprzedaje rumuńskie interesy narodowe Budapesztowi. Hasło padło na podatny grunt zadawnionych urazów i lęków. W Timisoarze Rumuni zaczęli udawać, że nie mają nic wspólnego z Węgrami i poprosili swych węgierskich przyjaciół, aby nie podpisywali się z nimi na wspólnych programach lecz pisali swoje własne. Nieuchronnie zbliżało się Tirgu Mures. Propaganda rozgłaszała, że Węgrzy chcą odłączyć Siedmiogród od Rumunii. Do miasta nadjeżdżały autokary z chłopami rumuńskimi, którzy pamiętali Węgrów jedynie z lat 50-tych, kiedy jako komunistyczni urzędnicy przeprowadzali kolektywizację ich gospodarstw. Łatwo to można skojarzyć z freskiem znajdującym się w ogromnej cerkwi prawosławnej na głównym placu miasta, przedstawiającym pana węgierskiego, chłostającego rumuńskiego chłopca. Na tym placu po kilku dniach sporadycznych incydentów, spotkały się ze sobą manifestacje węgierska i rumuńska. Dokumentalne zdjęcia filmowe, które obiegły później cały świat, pokazywały człowieka zapamiętale okładającego jakąś tablicą z dykty drugiego człowieka. Domniemywano, że to Rumun bije Węgra, później okazało się jednak, że było tak, jak na fresku w cerkwi.

A potem wszystko wróciło do „normalności”. „Dziwisz się, że walczymy o swój węgierski uniwersytet?” – dopytywał się z niedowierzaniem mój znajomy z Klużu (on mówił: Kolozsvár), gdy próbowałem mu tłumaczyć, że pojęcia „uniwersytet” i „narodowy” wykluczają się wzajemnie. Stał się na głównym placu miasta przed pomnikiem siedmiogrodzkiego króla Węgier Mathiasa, na którym narodowy mer miasta George Funar nakazał przymocować tablicę w języku rumuńskim, z której wynikało, że król był pochodzenia rumuńskiego i został pokonany przez własny naród. Wokół rozpoczynały się właśnie zainicjowane przez Funara przygotowania do prac wykopaliskowo-archeologicznych, mają-

cych na celu odnalezienie ruin starożytnych rzymskich budowli. Gdyby prace rozwijały się dobrze, z pewnością trzeba by usunąć (przynajmniej na czas jakiś) pomnik „pokonanego” króla. Mieszkańcy, zarówno Węgrzy, jak i Rumuni, którzy uważają Mathiasa za swego wspólnego władcę, szykowali się do protestu. Później dowiedziałem się, że rząd pod naciskiem protestujących wstrzymał prace wykopaliskowe. Natomiast za pomyłkę uznano fakt zamalowania i pokrycia tynkiem podczas „porządkowania” miasta tablicy poświęconej pamięci Józefa Bema – władze lokalne zostały wprowadzone w błąd faktem wymawiania z węgierską imienia generała – József. Dopiero protesty mieszkańców ujawniły, że Bem nie Węgrem był lecz Polakiem. Działo się to wszystko w roku 1994. Z tego samego okresu podobne przykłady naszej środkowoeuropejskiej „normalności”, która nastąpiła po Tirgu Mures, mógłbym przytaczać bez końca. Na przywołanym wcześniej pograniczu polsko-litewskim, gdzie też rozsiewano plotki o rewindykacyjnych zakusach Warszawy wobec Wileńszczyzny, Polacy litewscy szybko doszli do przekonania, że trzeba tworzyć własny polski uniwersytet w Wilnie, a w Sejnach rozpoczęły się spory o pomnik Antanasa Baranauskasa, który był biskupem i Polaków, i Litwinów.

Zostawmy jednak w spokoju Tirgu Mures i jego konsekwencje, do których już przywykliśmy i skłonni jesteśmy raczej je bagatelizować. No bo cóż znaczą drobne incydenty na tle narodowym czy wyznaniowym wobec przemian i reform jakich doświadczamy obecnie, wobec procesu integracji europejskiej? Problem tkwi jednak w tym, że choć incydenty same w sobie nie są może groźne i mają zasięg lokalny, to jednak ujawniają istnienie ciągle tej samej „normy”, według której ułożone jest nasze myślenie i postępowanie, i która nie podlega żadnym przemianom ani reformom. Lecz by się przyjrzeć temu zjawisku bliżej, pytać raczej należy nie o Tirgu Mures, a o Timisoarę, o to dlaczego w dłuższej perspektywie Timisoara była niemożliwa?

2.

Wiele wskazuje na to, że po załamaniu się ideologii komunistycznej jej miejsce zajmuje ideologia nacjonalistyczna,

zrodzona w tym samym XIX wieku, bardziej jednak – jak się okazuje – żywotna. Ktoś powiedział nawet, że by przejść z systemu komunistycznego do demokratycznego, trzeba zmienić słownictwo i gramatykę, natomiast przechodząc do nacjonalizmu wystarczy zmienić jedynie słownictwo. Rzeczywiście niepokojąco łatwo i szybko ta zmiana się dokonuje. Sprzyja temu dziedzictwo poprzedniego systemu, który wprawdzie w sferze ideologii zwalczał tożsamość narodową, w praktyce jednak ugruntowywał dominację myślenia narodowo-państwowego. Rzecz dotyczy jednak nie tylko byłych krajów komunistycznych. Już na początku lat 80-tych Isaiah Berlin zwrócił uwagę na niespodziewany renesans nacjonalizmu we współczesnym świecie. Nikt z wybitnych myślicieli początku naszego stulecia tego nie przewidział. Wrócono raczej rychły zmierzch tej ideologii opartej na słabej jednostce poszukującej wsparcia i dowartościowania w określonej zbiorowości. Dla tych jednostek zbudowano państwa narodowe, w których posiadacze tej właściwej narodowości, a bardzo często i wyznania, mogli poczuć się u siebie i na swoim, mogli powiedzieć o sobie „my”, podczas gdy wszyscy inni to byli już „oni”, skazani na organizowanie się i walkę o przetrwanie w tzw. „mniejszościach”. Zaistnienie takiego tworu jak państwo narodowe pociągało za sobą daleko idące konsekwencje dotyczące organizacji życia społecznego i politycznego, sposobu myślenia i wartościowania. To jest „gramatyka”, którą posługujemy się do dzisiaj. Wykazał to przekonująco Michael Billig w książce „Banal Nationalism”, którą omawiał niedawno Jerzy Szacki na łamach *Gazety Wyborczej*: Billig „pokazuje jak myślenie w nacjonalistycznych kategoriach nieustannie ujawnia się w języku brytyjskiej i amerykańskiej polityki czy też w języku codziennej prasy, i to nawet wtedy, gdy nie dotyka ona wielkich narodowych tematów. (...) Świat, w którym żyjemy na co dzień, okazuje się uporządkowany w znacznej mierze w kategoriach narodowego ‘my’ i ‘oni’, choć wielu z nas o tym nie wie (...) ...tożsamość narodowa nie jest jedną z wielu tożsamości, pomiędzy którymi jednostka dokonuje swobodnego wyboru, lecz stanowi jej tożsamość bezwzględnie najważniejszą i jak gdyby ‘naturalną’, bo narzucaną codziennie przez tę ‘formę życia’, jaką jest państwo narodowe”.

Timisoara to było rumuńsko-węgierskie „my”, przeciwstawione „onym”, reprezentującym inny świat wartości. Była to zatem inna „gramatyka”. Wydawałoby się, że to tak niewiele, a jednak... By mógł się dokonać nowy „przewrót kopernikański” trzeba od czegoś zacząć. Napisałem o Timisoarze, że to była wielka szansa, jaką niosła ze sobą jesień narodów 1989 roku. Naiwnością byłoby sądzić, że mogła być ona już wówczas zrealizowana. Natomiast może jej jeszcze całkowicie nie zaprzepaściliśmy? Wydaje się, że tym razem historia dała nam łaskawie trochę czasu. Warto go wykorzystać próbując odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Timisoara była wówczas niemożliwa i jakie konsekwencje należy z tego wyciągnąć?

Z pewnością byliśmy nie przygotowani do zaproponowania nowej, wyrazistej postawy, odnoszącej się do naszych środkowoeuropejskich realiów. Wykryształowanie się tej postawy utrudniał fakt, że wyzwalaliśmy się z systemu komunistycznego, który tłumił i sztucznie redukował uczucia narodowe, które domagały się teraz ujścia i dowartościowania. Z drugiej strony przyjmowaliśmy na wiarę, że w Europie istnieją już wypracowane wzorce postaw, które potrafią uporać się z różnymi problemami, w tym również narodowościowymi, więc wystarczy je tylko przeszczepić na własnym gruncie. W konsekwencji w tym przełomowym okresie bardzo niewiele z nas odczuwało potrzebę wyartykułowania jakiejś nowej postawy, wypracowania nowych wzorców myślenia i wartościowania. Z jednej strony rugowaliśmy komunizm, z drugiej strony – przyjmowaliśmy Europę i w ten sposób utrwalaliśmy model państwa narodowego i robiliśmy miejsce dla jego ideologii – nacjonalizmu. Wprawdzie retoryka europejska jest dzisiaj bardzo antynacjonalistyczna i na każdym kroku podkreśla się obawy związane z odradzającymi się nacjonalizmami w Europie Środkowo-Wschodniej, to jednak sami zachodni Europejczycy pielęgnują swój własny nacjonalizm, co obnażył w swej książce Michael Billig i wcale im nie spieszo do zmiany tej „gramatyki”. Można by to doskonale wykazać na przykładzie stosunku państw europejskich do konfliktu w byłej Jugosławii, a szczególnie w Bośni i Hercegowinie, ale to już temat na osobną opowieść. W każdym bądź razie, na taką Europę

się otworzyliśmy, zapominając bardzo często o tym, co sami już wcześniej wypracowaliśmy, na przykład o „linii” paryskiej *Kultury*, propagującej konsekwentnie otwieranie się i zacieśnianie współpracy z najbliższymi sąsiadami, co nie byłoby możliwe bez uprzedniego pozbycia się rozmaitych narodowych resentymentów i uprzedzeń; albo o koncepcji Europy Środkowej lansowanej przez środowiska dysydenckie i emigracyjne. Paradoksalnie w roku 1989, kiedy można było przystąpić do ich urzeczywistniania, straciliśmy zainteresowanie tymi koncepcjami, nagle wydały nam się one albo nie-realne, albo drugorzędne. Do tego wszystkiego nasi intelektualiści, z właściwym sobie samokrytycyzmem, uznali, że są właściwie niepotrzebni, że wobec krachu wszelkich ideologii podejmowanie wysiłku formułowania nowych idei mija się z celem.

Oto jak w przybliżeniu można by przedstawić sytuację, kiedy okazało się, że Timisoara jest jedynie krótkim, spontanicznym zrywem, niemożliwym do utrzymania w dłuższej perspektywie. Cóż można było przeciwstawić zbliżającemu się nieuchronnie Tirgu Mures, które wsparte było na od lat ugruntowujących się przekonaniach, urazach, słabościach, profitach, strukturach...? Ich siła w tym, że są aż banalne, a tym samym prawie niedostrzegalne i przyswojone przez ludzi jako coś naturalnego. Tej „gramatyki” nie można zmienić z dnia na dzień. Jak wspominałem wcześniej, w moim przekonaniu ciągle istnieje jeszcze szansa aby to nie Tirgu Mures lecz Timisoara była symbolem środkowoeuropejskiej tożsamości. Wiele się od tamtego czasu zmieniło i ciągle zmienia. Dobrze ilustruje te zmiany przykład moich przyjaciół Smarandy Enache i Eléka Szokolý, którzy są liderami działającej w Tirgu Mures „Ligi Pro Europa”. Podobnie jak wielu intelektualistów swoje działania rozpoczęli od otwarcia na Europę i przemożnej woli sprowadzenia Europy do swojego miasta i regionu. Przyjeżdżali więc rozmaici zachodni eksperci, odbywały się seminaria, konferencje i szkolenia. Po jakimś czasie spostrzegli jednak, że niewielkie jest przełożenie tych poczynąń na życie, które toczy się dookoła nich. A przy tym ta Europa często rozczarowywała w konfrontacji z tym wyobrażeniem o niej, jakie mieli z perspektywy swojego Siedmiogrodu. Jako ludzi rzetelnie pod-

chodzących do życia i nie dających się zwieść ani łatwym splendorom, ani międzynarodowemu uznaniu, bardzo ich ta sytuacja męczyła. Ostatnim razem odwiedziłem ich w marcu ubiegłego roku. Akurat trwał organizowany przez nich w każdą rocznicę zamieszek rumuńsko-węgierskich festiwal kulturalny, któremu towarzyszyły rozmaite projekty edukacyjne. W spotkaniach licznie uczestniczyli mieszkańcy, zwłaszcza młodzi Rumuni, Węgrzy i Cyganie, bo Niemcy i Żydzi byli już raczej w podeszłym wieku. Brali udział w integracyjnych warsztatach artystycznych, wspólnie poznawali wielokulturowe dziedzictwo swego miasta, redagowali wspólnie gazetę, na wspólnym forum dyskutowali o zasłóściach historycznych i budowaniu wspólnej przyszłości, nauczyciele dzieci cygańskich dyskutowali o udoskonaleniu programu ich edukacji... Wszyscy spotykali się wieczorami na spektaklu rumuńskiego teatru bądź na koncercie orkiestry kameralnej z Budapesztu. Pomyślałem, że ich organizacja równie dobrze mogłaby się nazywać „Liga Pro Transylwanii”, bo tak brzmi łacińska i rumuńska nazwa Siedmiogrodu, a właściwie jeszcze inaczej: „Transylwania Pro Europa”.

Krzysztof CZYŻEWSKI

Książki

Literatura „ratunkowa”

(D.c. omówienia „Literatury polskiej w latach II wojny światowej” Jerzego Świącha, PWN, 1997)

Dla piszącej te słowa, jako autorki „Szkiców o literaturze emigracyjnej”, dzieło prof. Świącha jest lekturą szczególnie pasjonującą i skłaniającą do porównań z moim wówczas pionierskim opracowaniem. I nie tylko dlatego, że baza materiałowa uległa znacznemu poszerzeniu ale i dlatego, że daje sposobność konfrontacji literatury pod okupacją i „poza Krajem” a nadto przez objęcie spraw teatralnych, „literatury doświadczeń ekstremalnych”, holocaustu, obozów koncentracyjnych, jenieckich, „dipisów” i ledwo przeze mnie dotkniętego życia kulturalnego na Węgrzech i w Szwajcarii. Na szczególne podkreślenie zasługują rzeczowe omówienia życia nie zawsze kulturalnego we Lwowie w zimie 1939/40, w przechodzącym z okupacji pod okupację Wilnie i poddanych brutalnej germanizacji „ziemiach wcielonych do Rzeszy”.

W „Rozdrożu” (K, nr 5/596) zakwestionowałam termin „literatura na uchodźstwie” uważając, że nie mieszczą się w nim m.in. takie kategorie niedobrowolnych przemieszczonych, jak ofiary obozów hitlerowskich, deportacji, zsyłek i – przede wszystkim, zarówno zmobilizowani jak ochotniczy – członkowie Polskich Sił Zbrojnych, lotnictwa itd., a Rząd Polski działał nie na uchodźstwie ale na wygnaniu (*in Exile*).

Zakończenie dzieła prof. Świącha przynosi jego bardzo surowy osąd literatury lat wojennych i okupacji: „nie wydała (ona) arcydzieł na miarę owych niezwykle czasów. Miały one przyjść dopiero później”, ale – dodaję od siebie – powojenne sukcesy przygotowały. Myślę także, że pewien wpływ na charakter literatury w Kraju miał zadziwiająco nikły udział „wielkich piór” w wydawnictwach podziemnych. Dyktowana

rozsądkiem ostrożność sprawiła, że np. Dąbrowska, Nałkowska czy Kaden-Bandrowski pisali do szuflad, których zawartość dotąd się stopniowo ujawnia a chyba jednak najodważniejszy Iwaszkiewicz przełożył ponad współpracę w pismach podziemnych charytatywną działalność w Stawisku. Biografie debiutantów z okresu okupacji świadczą że istotnie, według genialnego określenia prof. Pigonia, strzelano brylantami, wysyłając ich na nie przemyślane akcje i przesadnie rozbudowując kolportaż wydawnictw podziemnych. Z drugiej strony literatura podziemna, jaka by nie była, ilustruje rolę literatury w podtrzymywaniu morale społeczeństwa łączywie konsumującego nie zawsze treściwą paszę „mowy wiązanej” w piśmie, druku i żywej mowie widowisk teatralnych. Pamiętać też warto o zniszczonych i przypadłych utworach takich jak np. dalszy ciąg opowieści biograficznych Wacława Berenta (o Staszicu), powieści Kadena przypadłych tak jak papiery Brunona Schulza.

Poza Krajem paraliżowała pióra obcość otoczenia i nieznamość języków francuskiego i angielskiego, tym ostatnim operowały jednostki a szkolna znajomość jęz. francuskiego jako języka obcego nie zdawała egzaminu i sprawiała wysunięcie na plan pierwszy samouczków i słowników. W bibliografiach dotyczących lat 1939-41 te kategorie druków wysuwają się na plan pierwszy.

Swoistym *curiosum* jest osłabienie kontaktu z literaturami obcymi, z których przekłady dominowały w Dwudziestoleciu na rynku wydawniczym, w księgarniach i wypożyczalniach, sprawnie przerzucając znajomość światowych bestsellerów. Tym skwapliwiej wyciągano ręce po wszelkiego autoramentu wydawnictwa w języku polskim. Szansa dla pisarzy? – coś kiedy i oni nie przewidując dalszego okresu koniunktury, miotali się bezsilnie, jak (znacznie później, ale podobnie, Miłosz po wybraniu wolności). Przyrodzone zdolności językowe Polaków osłabiły w miarę upływu lat efekty tego zjawiska. Pisarze wydobywali się z tej zapaści powoli, stopniowo odzyskując wiarę we własne siły. Pewni swego stanowiska Skamandryci zareagowali różnie a zawrotny sukces „Alarmu” Słonimskiego otwierał oczy na szansę własnej twórczości i odbiór u czytelników. Osąd ten potwierdzają kolejne wydania tomików wierszy Lechonia, Tuwima, Wierzyńskiego i niewiarygodną popularność Balińskiego, co prof. Święch dostrzegł i potwierdził, lokując tego ostatniego w bliskim sąsiedztwie Lechonia a przed królującym w Dwudziestoleciu Wierzyńskim. „Drugie debiuty” Skamandry-

tów, oceniane łącznie, niejako zastępują nie napisane arcydzieła i brak nowych wielkich nazwisk.

W końcowych fazach wojny włączyła się, co autor „Literatury polskiej w latach II wojny światowej” dostrzegł, opisał i wywindował na należne jej stanowisko, choć – formalnie biorąc – dorobek „tułacznej armii” mówi więcej socjologowi niż historykowi literatury. „Wszyscy pisali wiersze”, a co więcej „wszyscy” (a więc i nowe kategorie czytelników masowych) podwyższały rangę często amatorskich wyczynów, wzmacniając sentymentem tkwiące w nich okrucieństwa prawdziwego zdarzenia. Ważnym wyjątkiem jest dorobek Broniewskiego, rozbity między kraj i obczyznę, – przez pięć lat był pisarzem emigracyjnym. Prof. Święch słusznie zatrzymuje się dłużej przy omawianiu jego twórczości.

Pięknie oceniona została w „Literaturze” rola Jana Bielatowicza, jako niezrównanego „antologisty”, bibliografa i reportera, doceniającego wagę dokumentacji i potrzebę zachowania jej dla potomności. Wiem, co piszę: gdy po latach odtwarzaliśmy w Bibliotece Polskiej w Londynie dorobek II Korpusu, Bielatowicz prowadził nas za rękę. Ale choć po latach doszło nareszcie do scalenia podstawowych kolekcji, rozmiary poetyckich zrywów „braci żołnierskiej” rysują się mgliście. To samo da się powiedzieć o reportażach, gawędach – i tu pamięć podsuwa krąg *Ochotniczki* i rolę Herminii Naglerowej. Nie tylko zresztą pisarze patronowali literaturze piśmiennictwa w diasporze. Prof. Święch wspomina przelotnie dorobek Biblioteczki Szkolnej na Wschodzie i jej inspiratora i realizatora – Łukasza Kurdybachy. Przed jej uruchomieniem przewodnikiem były pisma 2. Korpusu z *Ortem Białym* na czele a równolegle ukazywało się *W drodze*. Prof. Święch wymienia mnie tkwiącą w „polskim Londynie” jako współpracowniczkę niektórych. Jak było to możliwe – ano tak, że poczta działała sprawnie a redaktorzy bombardowali listami upatrzone na współpracowników ofiary. Warto dodać, że czuwająca nad wydawnictwami i szkolnictwem „góra” – to zapomniani a godni przypomnienia zapaleńcy (jednym z nich był Józef Czapski). Rozdział włoski zasługuje też na szersze omówienie – nie tylko dlatego, że ujawniono aktualność opowieści biograficznych Berenta i że wykluwać się zaczął Instytut Literacki ale i akcji „turystycznej”, której dzieckiem jest „Passeggiata” Bielatowicza. Między innymi.

Badanie literatury „ratunkowej” tkwi w powijakach. Nie mam np. wątpliwości, że dokonał się tam wzrost czytelnictwa

literatury, wyrażający się nie tylko (a nawet przede wszystkim) powrotem do korzeni, popytem na powieści pozytywistów i pisarzy XX-lecia z Zofią Kossak-Szczucką i Marią Dąbrowską na czele. „Szarzy” czytelnicy z wielokrotnili swoje szeregi a symbolem stosunku do nich są prośby o „nowe” powieści Kraszewskiego. Pośmiertne ich „debiuty” zasługują na bliższe opisanie. Nie jest to fenomen ograniczony do Polaków: w wojennym Londynie biblioteki publiczne osiągały niezwykle wysokie cyfry wypożyczeń „klasyków” a uznanie dla Dickensa przerodziło się w kult. Literatura była ratunkiem przed depresją wywoływaną zaciemnieniem, alarmami, trudnymi problemami bytowymi. Spychana dziś na drugi plan książka była wówczas tym właśnie – ratunkiem. Jest w tym element ucieczki od rzeczywistości, lektury zamiast patrzenia na telewizyjne reklamy. Jest także potrzeba przypominania „krajów lat dziecinnych”, na odcinku polskim symbolizowana „Dolina Issy” i „Rokiem myśliwego”. Przypomnieć też warto w tym kontekście o realiach lat wojennych doskwierających poczynaniom wydawniczym: brakiem i cenami papieru, racjonowaniem i problemami transportu, brakiem drukarni dysponujących polskimi czcionkami ze znakami diakrytycznymi, prymitywnymi formami kolportażu, w Kraju urastającego do roli igrania ze śmiercią. Prof. Święch, urodzony w roku wybuchu wojny i nie znający tych spraw z autopsji, dobrze wyczuł i obrazowo pokazał szczególną atmosferę wojennego pięciolecia, które po upływie półwiecza przeobraziło się z „wczoraj” w „przedwczoraj” stojące na rozdrożu kolejnych rozdziałów literatury polskiej.

Feijó, Portugalia,
29 kwietnia 1997

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Kazimierza Traciewicza podróż do kresu mroku

Obecnie ukazała się w drugim wydaniu książka Kazimierza Traciewicza „Jom Kipur”, powieść a właściwie epos z czasów pogardy, relacja o losach Żydów na prowincji polskiej w latach okupacji. Rzecz liczy sobie niemało, bo aż 450 bitych stron tekstu, ale i tak jest to w pewnym sensie majstersztyk, by w jednej narracji (i w jednym bunkrze) pomieścić losy kilkunastu osób, które są losami całego narodu żydowskiego zamieszkującego dawne ziemie polskie. Ktoś powie: *pars pro toto*, ale czy może być inaczej? Dokonano tylu prób, by zrozumieć to, co się stało i – co gorsze – co się odtąd przydarza ludzkości w mniejszym ale niemniej przerażającym wymiarze. Ludzkości, zaślepionej przekonaniem, że „my” jesteśmy lepsi od „nich”, więc tych „onych” trzeba po prostu wymordować, wytrzebić siłą, może wypędzić gdzieś daleko, ale najpewniej – zamordować, unicestwić, *ausrotten*.

Książki Kazimierza Traciewicza nie można więc traktować w skali beletrystycznej, zresztą nie podjąłbym się takiej oceny pisać, bom nie krytyk, ale jeden z milionów świadków tej historii, która przetaczała się przed moimi oczyma. To jest historia straszna i – niestety – płonącymi okazały się nadzieje, że będzie oczyszczeniem, że będzie *katharsis* dla całej ludzkości. Od czasów, kiedy to nad okupowaną przez hitlerowców Europą, rozsnuły się dymy krematoriów oraz stosów spalanych trupów, odkąd rozprzestrzenił się ów słodkawy, mdlący smród nienawiści i zagłady, nie ma już nadziei, nie ma już spokoju i pokoju, właściwie nie pozostało nic, na co można by liczyć: żyjemy sobie spokojnie, nawet dostatnio, pielęgnujemy nasze radości i nasze rozrywki, ale nikt nie wie czy nazajutrz do naszych domów lub mieszkań nie wedrą się zjadłe samce o wzroku niewidzącym, tak jak niewidzące jest spojrzenie zwierzęcia w momencie orgazmu. Nienawiść roztoczyła nad nami swoje skrzydła, które szybują w powietrzu przesyconym smrodem nienawiści, wyziewami zagłady.

Czerwoni Khmerzy, nawiedźcy Saddama Husajna, Serbowie, Bośniacy i Chorwaci, izraelscy Żydzi i Palestyńczycy z intifady, terroryści islamscy w krajach arabskich i katolicy

w Irlandii, jacyś bliżej nam nieznani plemięcy Hutu czy Tutsi mordują się na oczach całej, podkreślam CAŁEJ ludzkości, oniemiałej, ale nie dążącej do tego, by przeciwdziałać tym ludobójstwom. Polityka okazała się bezradna, religie okazały się bezradne, nawet kultura okazała się bezradna. Kończymy wiek ideologizacji, tej największej trucizny w dziejach ludzkości, wstępujemy w nowy, który nie będzie lepszy. I właściwie jedyne co możemy uczynić, to we własnym maciupieńkim zakresie sprzeciwić się truciznom ideologii, bronić tej maleńkiej ale własnej ojczyzny etycznej. I takim właśnie dokumentem owego nie warcholskiego, ale z dna duszy płynącego *veto*, jest książka Traciewicza, którą trzeba koniecznie przeczytać, nie po to, by mieć rozrywkę na wieczorne godziny wypoczynku, ale aby nie poddać się fałom zapomnienia.

Traciewicz zastosował chwyt dobrze znany pisarzom, ale tu w pełni potwierdzony wieloma zbliżonymi przykładami: dobrą grupę bohaterów, reprezentujących różne etapy ludzkiego wieku, różne warstwy społeczne i – co najważniejsze – rozmaite poglądy. Tych ludzi skazanych przez ideologię na zagładę umieścił w bunkrze sporządzonym przez polskiego chłopca i kazał im egzystować w tym ukryciu aż po koniec kosmaru. Koniec? Traciewicz nie stwarza *happy-endu*: Żydzi wychodzący cudem z ukrycia jako żywi ludzie, napotykać niechęć czy nawet nienawiść ich dawnych sąsiadów: lata hitlerizmu roznieciły i podsyciły fobie antysemickie, co miało znaleźć haniebny finał w kieleckim pogromie. Autor zachowuje jakby dystans w stosunku do wydarzeń i choć jest po stronie mordowanych i zaszczytanych przedstawicieli Narodu Wybranego, i u nich potrafi dostrzec wady i małości. O wiele surowszy jest dla własnego narodu (tu trzeba wyraźnie podkreślić: Traciewicz nie jest Żydem, jest, jak to się mówi: katolikiem z dziada pradziada). Nie ukrywa tego co boli i zawstydzia, co sprawiło, że wielu czytelników książki odrzucało ją z gniewem i oburzeniem, a bardzo poważne pismo literackie odmówiło opublikowania jej fragmentu.

Autor jest, jak to się często określa, reprezentantem „małego realizmu”: dba o wiarygodność wydarzeń, scenografii, nawet przedmiotu. Opisuje wydarzenia tak, jakby je widział naocznie, jakby spisywał świadectwo. To trudne zadanie, bo fakty przedstawione w książce wyrastają ponad taką pisarską dosłowność. Ale czy było jakieś inne wyjście? Sądzę, że taką właśnie, pozornie zwyczajną konwencję narracji reje-stracyjnej należało zastosować. Patos byłby w takim kontek-

ście nie do zniesienia, symbolizm jeszcze bardziej. Jeżeli się chciało napisać zmyśloną ale zarazem prawdziwą historię Żydów polskich, to właśnie tak to należało zrobić. I nie należało obawiać się tych dramatycznych styków, które pojawiały się pomiędzy nimi a nami.

Ja się wychowałem bardzo niedaleko miasteczka, w którym mieszkało o wiele więcej Żydów niż Chrześcijan, w środowisku w którym Żyd był zjawiskiem codziennym, ale nie oznaczało to – zwyczajnym. Żyd był zawsze kimś „inym”, kimś „obcym”, kimś kim straszono dzieci, tak jak straszono się je nadal cyganem i odmieńcem. Mój ojciec, właściciel majątku ziemskiego, miał nieustannie do czynienia z żydowskimi kupcami, a wielu jeszcze dziś pamiętam, choć dawno nie ma po nich ani dymu, ani nawet popiołu (z naszego miasteczka wywożono Żydów do obozu zagłady w Bełżcu). Odczuwam bardzo dotkliwie to, co dopiero później (o ile to nie jest tylko moim złudzeniem) zacząłem rozumieć: że choć nie my wymyśliliśmy, ani tym bardziej zrealizowali Holocaust, ale że w jakimś stopniu jesteśmy zań odpowiedzialni.

I wcale nie tylko my: niech Francuzi czy Skandynawowie nie sądzą, że mogą być wolni od wyrzutów sumienia, a to mało – od tego straszego psychicznego „kaca”. A już szczególnie Amerykanie, zaś pośród nich amerykańscy Żydzi. Bo wszyscy ponosimy odpowiedzialność za zagładę tych Lerechów, Eisenów, Lingów i tego mnóstwa bezimiennych mieszkańców naszego miasteczka i setek innych europejskich diaspor.

I niech oni wszyscy, razem z ocalonymi i żyjącymi w Izraelu Żydami nie sądzą, że są „czysti”, bo już dziś nie ma „czystych” na tym pohańbionym wielokrotnie świecie wzajemnych nienawiści i szaleństw.

Książka Traciewicza „Jom Kipur” uświadamia to czytelnikom. I do lektury nie zachęcam dlatego, bym komu chciał sen z oczu spędzać, bym go do tego współuczestnictwa w hańbie zachęcał, ale jedynie w imię pamięci. Bo nie są potrzebne nam dzisiaj płaczki nagrobne, ani tragiczne wieszczki – Kassandry, bo niczego przepowiadać już nie trzeba, bo wszystko się ziściło. Potrzebna jest więc tylko i wyłącznie pamięć indywidualna, by się mogła zrastać w pamięć zbiorową, tylko ona bowiem ma szansę powstrzymać to narastanie zbrodni i ciemności. A Traciewicz jest autorem takiej właśnie książki, która naszą wygodnicką i selektywną (świadomie!) pamięć budzi i przywołuje do okrutnej jawy.

Tadeusz CHRZANOWSKI

Powieści pięciu pań

Spacer po polskich księgarniach jest niewątpliwie uczną dla oka, choć niekoniecznie dla ducha: tysiące kolorowych, lakierowanych okładek z podobiznami uroczych panienek lub też co atrakcyjniejszych szczegółów ich anatomii cieszą oko wyposzczone przez czterdzieści lat socrealizmu i zachęcają do kupna książek wydawanych przez setki nikomu dotychczas nie znanych wydawnictw. Równie mało znane – lub zgoła wcale nieznane – są nazwiska autorek, wzorem bowiem amerykańskim do pisania wzięły się energicznie panie, przez wiele lat ignorowane przez redakcje różnych państwowych czy spółdzielczych „oficyn wydawniczych”, jak to się teraz uroczyście nazywa. Nie mogłem powstrzymać ciekawości i bez namysłu wzięłem kilka barwnych i przyciągających wzrok tomików produkcji najnowszej, lat 1995 i 1996, chcąc się przekonać o czym to piszą nasze dzielne autorki i czym nas karmią nowi wydawcy.

Dlaczego wybrałem pięć, a nie na przykład siedem czy dziesięć autorek? I czym kierowałem się w wyborze? Przypadkiem, niczym więcej. Tym, co za moich czasów określano jako „na chybił-trafił”, a dziś, w krajowym pseudo-naukowym żargonie nazywa się metodą wybiórczą (co za słowo!) Uważam bowiem, że jest ona sprawiedliwsza niż dobór nazwisk dobrze znanych, szeroko omawianych przez krytyków, reklamowanych. Moje pięć pań to na pewno nie Dąbrowskie i Nałkowskie okresu przedwojennego, toteż ich książki wydają mi się lepiej reprezentować gusty czytelników, którzy z pewnością rzeczy te kupują, skoro pełno tego rodzaju tytułów w księgarniach. Nie kierowałem się też opinią recenzentów, a starałem się na podstawie lektury sformułować własną, być może nie zawsze słuszną, ale taką, pod jaką z całą odpowiedzialnością mogę się podpisać.

Dla wygody czytelników *Kultury*, być może odciętych od krajowych źródeł, podaję krótkie sprawozdanie z lektury.

Zacznijmy od wrażeń ogólnych. Wydaje mi się, że kiedy przed ośmiu laty zniknęła wszelka kontrola – a mam na myśli nie tyle cenzurę, co tzw. opinię publiczną, kształtowaną przez odpowiedzialnych wydawców i prasę – rzucił się na rynek

księgarski kto chciał i mógł, pod staropolskim hasłem „Hula! dusza, piekła nie ma!” Oznaczało to, oczywiście, nie tylko walkę konkurencyjną, ale także obniżenie standardów etycznych i estetycznych do poziomu tzw. przeciętnego czytelnika, od kilkunastu już lat karmionego importem najgorszej tandety filmowej czy telewizyjnej i rzekomo spragnionego tego samego typu lektury.

Ale żeby od ogólników przejść do konkretów weźmy dla przykładu powieść Krystyny Nepomuckiej „Serafina i kochankowie” (Wydawnictwo Anta, Warszawa, 1996), drukowaną – żeby było śmieszniej – w Drukarni Wydawnictw Naukowych S.A.! Powieść poprzedzona jest mottem z Pietra Aretino, a ten renesansowy pisarz, *nota bene* nie wymieniany przez żadną z historii literatury polskiej tego okresu, obficie z włoskich przykładów czerpiący, był jak znawcom wiadomo, autorem raczej pieprznych dialogów, z których jeden, „Jak Nanna swoją córeczkę Pippę na kurtyzanę kształciła”, przetłóżony został na polski w latach dwudziestych i wznowiony po wojnie, po czym nieodżałowany prof. Mieczysław Brahmmer, omawiając ten przekład powątpiewał czy „z rozmów renesansowych kurtyzan tego rzędu, choćby podsłuchanych przez niezrównanego znawcę środowiska, padało rewelacyjne światło na epokę i jej obyczaje. Ostatecznie warsztat tej conocnej pracy niewiele się zmienił – jeśli pominąć brak podpuszczką wytwornego tomiku Petrarke” (*Rocznik Literacki* 1958).

Współczesna polska Pippa, zwana tu Serafiną (albo „Lafi – brzmi tak bardzo z angielska”), nie czytuje Petrarke, kolekcjonuje natomiast partnerów reprezentujących całą galerię perwersji seksualnych, od masochizmu aż po sadyzm, ale nie brak jej przygód i z paniami, takich, np. jak spotkanie z rzekomo zmarłą damą, którą z letargu obudzono w grobowcu rodzinnym, kiedy trzech rzezimieszków obcęgami usiłowało wyrwać jej złote a może platynowe uzębienie z brylantami w zębach trzonowych!!! Przecieram oczy i pytam: ludzie! Gdzie my jesteśmy? W Polsce roku 1996 czy w mrokach średniowiecza? To już nie Aretino, to zgroza.

Pani Nepomucka nie stroni jednak od naszej rodzimej historii, czego przykład daje wychowująca polską kur... tyzanę ciotka, opowiadając o pewnej bohaterce czasów okupacji: „Osiem a nawet i dziesięć naganów zabierała w te specjalnie szyte galoty z gumką nad kolanami. Między nogami zaciskała jeszcze jeden dodatkowy, większego kalibru, albo obrzyn.

Chłopaki nazywali ją Szturmówką". Ażeby skończyć z folklorem dodajmy, że ciocia sypie rzekomo ludowymi przysłowiami, wśród których powiedzenie, że czuje się „samotna jak palec w d...” należy do najprzyzwoitszych. Wystarczy? Sądzę, że tak, powtórzmy więc tylko jeszcze reklamę z okładki powieści: „Krystyna Nepomucka należy do najbardziej lubianych polskich pisarek. Nakłady jej powieści przekraczają łącznie pół miliona egzemplarzy”. Wcale się nie dziwię – sam bym sobie chętnie poczytał... A jeśli dodamy, że autorka liczy sobie lat siedemdziesiąt sześć, zakonkludować wypadnie, że staruszka jest nieco figlarna...

Ambicji historycznych nie brak też przedstawicielce młodszej pokolenia, absolwentce polonistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Adrianie Szymańskiej, autorce powieści „Święty grzech” (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995), ozdobionej na okładce fotografią kobiecej sutki udającej oko opatrności. Bohaterem książki jest dzielny pilot, który podczas kampanii wrześniowej „nie migał się bynajmniej, dosiadał swojej poczwiwej Czapli i wzbijał się na niej w bezmiar nieba rojącego się od niemieckich stukasów, heinkli, dornierów i messerschmittów, ilekroć od niego zażądano”. Szkoda tylko, że zmieniwszy maszynę na P-11 „siedzi obok pilota zamiast rannego strzelca, tylko żadnych numerów kolego, ustawiał go kapitan jeszcze przed startem, ma się rozumieć, kapitanie, zapewniał Antoni skwapliwie”, podczas gdy szanowna autorka nie zauważyła, iż w myśliwskim P-11 było akurat miejsce na jednego tylko pilota i to bardziej chyba ograniczone niż w dzisiejszym maluchu. A wystarczyło spojrzeć na obrazek w pierwszej z brzegu encyklopedii... Gorzej, że wybuch strąconego niemieckiego samolotu kojarzy się bohaterowi ze wspomnieniem pierwszego stosunku z dziewczyną, a gorzej jeszcze, że prowadzony potem na egzekucję Antoni wspomina swoich bliskich i pragnie z nimi „osiągnąć mistyczny coitus”. Nieźle, jak na polonistkę, prawda?

Skomplikowana historia Antoniego Spadowskiego, jego żony, ich dzieci oraz ich z kolei kochanek i kochanków w okresie powojennym, byłaby mimo to znośną lekturą, gdyby nie męcząca maniera stylistyczna, polegająca na nie przerywanej jednym nawet akapitem narracji, całkowitym braku dialogów, a przede wszystkim zwrotach takich jak „byliśmy i umieliśmy być tak szczęśliwi jak francuska partia komunistyczna” (?), lub przekraczające wszechogarniający powieść

erotyzm opisy typu: „sądząc że już śpi, wsuwała tłustą łapę pod spodnie jego pizamy i miętoszyła niemęskiego żałośnie sisiora”. Seks, alkohol i frustracja nie są najlepszym budulcem książki mającej ambicje artystyczne.

Spragnionym oderwania od tzw. szarej rzeczywistości rodakom Krystyna Boglar („olśniewa Czytelnika mistrzostwem kryminalnej intrygi i znajomością psychologicznych zagadek duszy ludzkiej”, jak głosi reklama na okładce) oferuje dwie wyprawy w barwny świat zachodniej Europy – do Paryża w powieści „Tango na bananowej skórce” (Wydawnictwo Siedmiogród, Wrocław 1995) i na Łazurowe Wybrzeże powieścią „Całkiem przyzwoite piekło”. (Wydawnictwo Siedmiogród, Wrocław 1995). Opublikowana w 1994 r. bibliografia prac sześćdziesięcioparoletniej wówczas autorki wymienia imponującą liczbę 34 pozycji książkowych, nie ma wśród nich jednak ani jednej przeznaczonej dla czytelnika dorosłego, jest natomiast m.in. cykl bajek „Gucio i Cezar” w trzynastu częściach, czy też powieść pod fascynującym tytułem „Żeby konfitury nie latały za muchą”. Od czasu jednak, kiedy autorka została w 1990 r. Sekretarzem Zarządu Głównego ZLP musiała w nią wstąpić nowa wena i śmiało ruszyła na podbój Europy spod znaku Jamesa Bonda. W powieści umiejscowionej przede wszystkim w Paryżu, nie brakuje do kompletu nikogo: mamy tam francuską Résistance i Sureté amerykańskie CIA i izraelski MOSSAD złączone nie tylko bezlitosną walką z niemieckimi neohitlerowcami, ale także powiązaniami przede wszystkim typu łózkowego z czterema paniami z Polski, z których każda była kolejną partnerką pewnego niezdecydowanego pana. W centrum wydarzeń powieściowych jednak znajduje się pokaz mody u Ritza, oczywiście na Placu Vendôme, gdzie nasze panie podziwiają kreacje swojej rodaczki, zwiedziwszy uprzednio wszystkie najdroższe lokale, posmakowawszy najprzedniejszych win i najbardziej wyszukanych potraw, wożone najbardziej luksusowymi wozami tajnych agentów wszystkich zamieszanych w intrygę organizacji. A siedząc na centralnym placu francuskiej stolicy żadnej z nich nie przyszło nawet przypadkiem do głowy, żeby obejrzeć się za siebie i zobaczyć ostatnie mieszkanie pewnego zapomnianego rodaka nazwiskiem Fryderyk Szopen. Zapewne nawet o nim nie słyszały.

„Całkiem przyzwoitym piekłem” natomiast okazuje się międzynarodowy festiwal filmów w Cannes, gdzie Francuzi i Amerykanie prześcigają się w wysiłkach, żeby nie dopuścić do

nagrody filmu jakiegoś-tam Kieślowskiego („tego Polaka... jak mu tam”). Główną jednak rolę (poza dwiema Polkami) gra tu sycylijska mafia, która chce przejąć całość spraw dla własnego zysku, jaki ciągnie z kręcenia pornograficznych filmów, a nasze biedne, drugorzędne pracownice polskiego filmu mimo woli zostają wmieszane w najkrwawsze intrygi. Obie panie wyróżniają się błyskotliwą inteligencją, a dialogi tych przedstawiolek polskiej kultury brzmią m.in. tak: „Spoko... No, gdzie leżesz? Na parking, idiotko”, mającymi scharakteryzować je jako „swoje babki” i konsekwentnie w stosunku do tego kazać im postępować w sprawach męskodamskich. W sumie obie powieści Krystyny Boglar są bardzo swoiście pokazanym obrazem „wielkiego świata”, ale może tego właśnie Polakom obecnie potrzeba? „Żadna kobieta w Polsce tak nie pisze”, reklamuje autorkę okładka jej książki. I rzeczywiście.

Wszystkie omawiane dotychczas powieści są niemal programowo apolityczne, tak, jakby w Polsce między okresem okupacji a dniem bieżącym nie zdarzyło się zupełnie nic, jakby nie było ani komunizmu, ani „Solidarności”, ani przełomu roku 1989. Dlatego też dwie książki omawiane poniżej uważam za jaskrawie wobec poprzednich kontrastowe, stuprocentowo i świadomie polityczne, co zapowiadają pierwsze już zdania powieści Anny Bojarskiej „Czego nauczył mnie August” (Polski Dom Wydawniczy, Warszawa, 1995): „Miałem osiem lat. Siedziałem w moim pokoju i malowałem kredkami towarzysza Stalina z ratlerkiem”. Droga od dzieciniego a potem młodzieńczego zafascynowania komunizmem, poprzez negację systemu, aż po stanowisko ministra spraw wewnętrznych „w rządzie naszego złotośrodkowego, arystotelesowskiego premiera” (pytanie: kto był ministrem spraw wewnętrznych w 1989 roku? Odpowiedź: a kogo to dzisiaj obchodzi?), tak typowa dla wielu młodych polskich działaczy partyjnych i intelektualistów, pokazana jest w powieści przekonująco i logicznie, z historyczną dokładnością. Ale... Jeśli wątek polityczny rozwija się konsekwentnie, nie można tego samego powiedzieć o osobistych przeżyciach bohatera, zwłaszcza w dziedzinie erotycznej. Czy naprawdę koniecznie dla rozwoju powieści jest zupełnie sztucznie skomponowany romans z niemiecką prostytutką, prawnuczką Karola Marxa (a jakże!) i wyszukane opisy łóżkowej gimnastyki tego polsko-niemieckiego duetu? Czy naprawdę August, który narratora nauczył polityki, musi uczyć go *voyeurisme*’u w scenie ssania

palca nogi swojej partnerki, co doprowadza ją do nieprzytomnego orgazmu na oczach grupki malców? Sądzę, lepiej byłoby poprzestać na przerysowanej może, ale prawdziwie zabawnej satyrze, ukazującej jak tłum rosyjskich widzów, w przerwie między intelektualnymi wzruszeniami podczas baletowego przedstawienia, rzuca się jak oszalały do bufetu, opróżnia stoły i potulnie wraca na widownię, żeby znowu *kulturalnie* przeżywać sztukę.

Żałować tylko wypada, że autorka nie ograniczyła się do satyry, ale wprowadziła wyjątkowo oburzający fragment – postać brata bohatera powieści, degenerata i alkoholika, pół-Polaka, pół-Rosjanina, który nie dość, że przygotowywał sobie na ucieczkę z Kołomy jakiegoś „tłuszcioszka”, żeby go pożreć w drodze, ale potem, po wcieleniu do Armii Andersa, jako DRUGI (podkreślone w tekście) z żołnierzy „wpadł do tego klasztoru” na Monte Cassino. Niedoszły ludożerca został za to odznaczony Krzyżem Virtuti Militari (w tekście pisanym przez małe „m”), który „sam Anders mu przypinał”, a choć odznaczenie potem odebrano, zostawił je sobie na pamiątkę i powiesił na klatce kanarka imieniem Beria. Po co te nonsensy, nic nie mające wspólnego z prawdą, zniekształcające historię i zohydżające legendę.

Najpewniej jednak autorka uwierzyła jednej ze swoich postaci, która powiada: „W ogóle mógłbyś więcej mówić o łóżku, to ciekawsze niż te wasze partie, pochody, walki o władzę, miłość do komuny, unicestwianie tej miłości”. Więc mówi, choć nie cofa się przed stwierdzeniem, że „seks to paskudna sprawa. To świetny sposób, żeby kogoś zniszczyć raz na zawsze”. Więc niszczy, kolejno wszystkich, jakby chcąc udowodnić, że polityka i seks stanowią niebezpieczną mieszankę. Także w literaturze.

Za zdecydowanie najlepszą w wybranej grupie lektur uważam powieść debiutującej przed prawie trzydziestu laty Iwony Smolki „Musisz siebie zjeść” (Wydawnictwo Trio, Warszawa, 1996), w roku poprzednim wyróżnioną a następnie subsydiowaną przez Fundację Kultury. Ta doskonale napisana opowieść o czterech miesiącach między wprowadzeniem stanu wojennego w grudniu 1981 r. a wielkanocną manifestacją na warszawskim Starym Mieście, poprzez dzieje trojga dziennikarzy, stanowiących klasyczny trójkąt powieściowy – mężczyzna, który kocha kobietę zakochaną w innym mężczyźnie – pokazuje na niespełna stu pięćdziesięciu stronicach książki więcej, niż udało się to dotychczas osiągnąć

wielu sprawozdawcom tego okresu. Dramatyczna, zwarta i psychologicznie prawdziwa o ileż byłaby jeszcze lepsza, gdyby usunąć z tekstu rzekomo świadczące o realizmie narracji zwroty takie jak „muszę sobie znaleźć jakąś dupeńkę, prędzej mi przejdzie”, czy zupełnie obrzydliwy, klinicznie dokładny opis wkładania ręki „pod spódnicę grubej sklepowej”.

Znacznie ważniejsza i wciąż aktualna wydaje się postawiona w powieści retrospektywna refleksja z tamtego okresu: „Słowo Solidarność będzie znaczyło niemal tyle, co Pan Bóg. Nie teraz, potem, po wszystkim. Kiedy to wyszarzeje, spowszednieje w zmęczeniu, kiedy patos tego dnia będzie się wydawał śmieszny i niezrozumiały. I wtedy się okaże, że jest możliwe, że takie poszarpane i zniszczone jest nasze. Co my wtedy z tym słowem i z tym świętem zrobimy? Cud nigdy się nie spełnia tak, jak my go sobie wyobrażamy. Nigdy. On jest poza wyobraźnią, jest cudem”.

Czułbym się bardzo zmartwiony, gdyby na podstawie tego, co tu napisałem posądzono mnie o brak sympatii dla kobiet. Wręcz przeciwnie, a świadczą o tym choćby tytuły trzech moich kolejnych powieści: „Diana”, „Ariadne” i „Afrodyte”. Ale nie mogę pójść tak daleko w akceptacji przelotnej mody, bezkrytycznej aprobaty złych książek dlatego tylko, że napisane zostały przez kobiety, jak chociażby krzepki staruch, liczący sobie osiemdziesiąt siedem lat żywota, najstarszy polski organ polonistyki, wrocławski *Pamiętnik Literacki*, który w grudniowym zeszycie 1996 roku publikuje tekst, pod jakim obiema rękami podpisałyby się najbardziej *politically correct* feministki, a mianowicie artykuł Ryszarda Koziołka „O przedstawianiu ciąży i macierzyństwa w Trylogii Henryka Sienkiewicza. Próba lektury feministycznej”. Rozumiem, że jest to – jak to się teraz w Polsce mówi „trendowy” – sposób uczczenia rocznic wielkiego pisarza, ale, powiedzmy sobie szczerze, czy właściwy? Z równym powodzeniem napisać by było można tuzin artykułów o pogodzie, o kuchni, czy o zwierzętach w Trylogii. A przecież nie o to chodzi. Dlatego też uwagi moje kieruję pod adresem pisarzy płci obojga, od wydawców i redaktorów, pytając: czy tędy droga do XXI wieku?

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Nadeślane nowości wydawnicze

- WEST (Nigel). *Tajemnica kubańska*. Str. 224. Wyd. ANEKS, Londyn 1997.
- KOLANKOWSKI (Jerzy). *Literatura pod Śnieżką*. Str. 95. Wyd. Karkonoskie Towarzystwo Naukowe, Jelenia Góra 1996.
- MURZAŃSKI (Stanisław). *PRL – zbrodnia niedoskonała*. Rozważania o terrorze władzy i społecznym oporze. Str. 375. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo ALFA, Warszawa 1996.
- KRÓL (Marcin), KARPŃSKI (Wojciech). *Od Mochneckiego do Piłsudskiego*. Sylwetki polityczne XIX wieku. Str. 247. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1997.
- KARPINOWITZ (Abraham). *It was, Once it was Vilno*. Str. 173. Wyd. I.L. Peretz Publishing House, Tel-Aviv 1997.
- SAWICKA (Elżbieta). *Przystanek Europa*. Rozmowy nie tylko o literaturze. Str. 231. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1996.
- FITAS (Adam). *Model powieści Józefa Mackiewicza*. Str. 231. Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1996.
- Członkowie Polskiej Akademii Nauk. Informator. Str. 292. Wyd. Polska Akademia Nauk, Warszawa 1996.
- ŚWIECH (Jerzy). *Literatura polska w latach II wojny światowej*. Str. 583. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1997.
- GOMBROWICZ (Witold). *Trans-Atlantyk*. Str. 139. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- MIRKOWICZ (Tomasz). *Lekcja geografii*. Lipogramy. Str. 189. Wyd. Da Capo, Warszawa 1996.
- EYBE (Olaf D.). *Polen Texte*. Str. 165. Wyd. Verlag der Deutsch-Polnischen Gesellschaft der Bundesrepublik Deutschland e.v. 1995.
- LÉGENDES, nr 6. Str. 133.
- JAMRÓZ (Adam). *Demokracja*. Str. 72. Wyd. TEMIDA 2 przy współpracy i wsparciu finansowym Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, Białystok 1996.
- MORABITO (Marcel) BOURMAUD (Daniel). *Historia konstytucyjna i polityczna Francji (1789-1958)*. Str. 539. Wyd. TEMIDA 2, Białystok 1996.
- Polski informator 1997-98*. Wyd. Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii.
- KURZAWA (Marian). *Zobaczyc śpiącego w rowie diabła*. Str. 27. Konin 1997.
- ARIES (Philippe). *Le présent quotidien 1955-1966*. Str. 543. Editions du Seuil, Paris 1997.
- ACKERMANN (Irmgard). *Fremde Augen Blicke*. Mehrkulturelle Literatur in Deutschland. Str. 179. Wyd. INTER NATIONS, Bonn 1996.
- KARAŚ (Zbigniew G.). *Wolna wola i determinizm, czyli prawie: los, fatum, przeznaczenie*. Str. 119. Wyd. SURMAK, Warszawa 1996.
- GRABOWSKI (Andrzej). *I tam i tu z babcią Fiu-Fiu*. Str. 131. Oficyna Wydawnicza KARAT, Tarnów 1996/1997.
- BASARA-LIPIEC (Eugenia). *Sztuka i miłość*. Str. 83. Wyd. Oficyna Konfraterni Poetów, Dom Kultury „Podgórze”, Kraków 1996.
- SONNENBERG (Ewa). *Hazard*. Str. 80. Wyd. ASTRUM, Wrocław 1995.

Wolna trybuna

Kto wygra następne wybory?

Dla wnikliwego obserwatora sceny politycznej, to wszystko co wydarzyło się w Polsce i w Europie w ciągu ostatnich 17 lat, tj. od sierpniowych strajków w 1980 roku, aż po demokratyczne przemiany ustrojowe i powrót lewicy do władzy, jest w pełni zrozumiałe i nie budzi wątpliwości jako logiczny ciąg przyczyn i skutków. Okazuje się jednak, że funkcjonują (niemal wyłącznie) opinie obiegowe, kształtowane nie drogą skrupulatnego i obiektywnego ustalania prawdy opartej na powszechnie znanych faktach, lecz subiektywne, dla dodania splendoru rozmaitym ugrupowaniom, a nawet poszczególnym działaczom politycznym i dla realizacji ich aktualnych celów tj. dążeń do zdobycia, czy utrzymania się przy władzy, lub przynajmniej do zajęcia miejsc w parlamencie. Tymczasem jesteśmy już u progu kolejnej kampanii wyborczej po przywróceniu w Polsce ustroju w pełni demokratycznego, więc najwyższy czas, aby jasność w tej sprawie była powszechna.

Na początek rzecz najbardziej kontrowersyjna. Otóż mitem wymagającym rozwiania jest twierdzenie, że to w Polsce rozpoczęło się obalanie komunizmu. Dziś, gdy jesteśmy bogatsi o doświadczenia ostatnich lat, pozwalające ocenić rzecz z perspektywy niezbędnej dla prawidłowości takiej oceny – można śmiało mówić, iż w sensie ideologicznym nie było czego obalać. I to nie tylko dlatego – co przyznają także niektórzy autorzy prowieńienicji solidarnościowej – że komunizmu „już dawno w Polsce nie było”, bo po prostu nie było go u nas nigdy. Formacja polityczno-gospodarcza przyniesiona ze Wschodu na bagnietach czerwonoarmistów, która

później określana była jako realny socjalizm – zasługiwała bowiem tylko na miano patologii ustrojowej, a jej „ideologia” była po prostu kamuflażem totalitarnej wówczas władzy. Nie miała więc ona wiele wspólnego – poza frazeologią partyjnych zgromadzeń i wydawnictw – ani z komunizmem (przynajmniej w takiej postaci, jaką nadali mu Marks i Engels w Manifestie Komunistycznym), ani nawet z socjalizmem, który w myśl oczekiwań jego pierwszych ideologów powinien być raczej wyższą formą demokracji. Zresztą już sam termin: „realny socjalizm” sugerował, że klasyczny socjalizm jako ustrój państwowy uznawany był przez partie komunistyczne (z nazwy) i ich rządy – zarówno w ZSSR jak i w krajach satelitarnych – po prostu za nierealną utopię. Oczywiście ten sposób myślenia jest nie do przyjęcia dla zagorzałych bojowników (na słowa) z tak określanym komunizmem.

Ale ten właśnie tak określany reżim, który z biegiem lat stracił wiele ze swej rewolucyjnej ostrości, ówczesna opozycja (działająca niejawnie) zaczęła identyfikować z totalitaryzmem z okresu stalinowskiego. Mogło to być tylko po części zrozumiałe – była ona bowiem celem represji, choć łagodniejszych nieporównywalnie od stalinowskich. Również bogata literatura o represjach i zbrodniach stalinowskich oraz jego ofiarach, która zalała rynek księgarski po 1989 roku spowodowała przypisywanie tych zbrodniczych czynów także formacjom wywodzącym się z PZPR, jako spadkobiercom totalitarnego reżimu. Dla zagorzałych antykomunistów nie odgrywa żadnej roli, iż są to ludzie z innych już pokoleń, którzy w czasach stalinowskich byli dziećmi, lub w ogóle nie było ich na świecie. I tak ten stereotyp funkcjonuje do dziś we wszystkich ugrupowaniach postsolidarnościowych i wśród ich sympatyków od krańcowej prawicy aż nawet po lewicową Unię Pracy, a w każdym razie jej postsolidarnościowe kierownictwo.

Popularna jest w Polsce także – a nie pozbawiona słuszności – teza o trwającym długie lata procesie „systematycznego podmywania komunizmu”. Oceny tego działania, a raczej tych działań, nie można jednak odnosić tylko do wydarzeń na polskiej scenie politycznej. Proces ten był bowiem w rzeczywistości inspirowany i finansowany z Zachodu, a rozpoczął się o wiele wcześniej niż to przeważa w obiegowych

opiniach. Był on bowiem reakcją Zachodu na zmiany polityczne w Europie Wschodniej i Środkowej, wprowadzone natychmiast po wkroczeniu na te obszary Armii Czerwonej. Po zwycięstwie Wielkiej Koalicji nad III Rzeszą niemiecką dość szybko nastąpiło zatem oziębienie stosunków pomiędzy ZSSR, a Wielkimi Demokracjami Zachodu, które następnie przeszło w narastanie wzajemnej wrogości doprowadzając do tzw. zimnej wojny tj. bez użycia sił zbrojnych. Orężem w tej wojnie służącym jej udoskonaleniu i podniesieniu skuteczności były walki: ideologiczna, psychologiczna i ekonomiczna z komunizmem w jego realnej radzieckiej – czy jak kto woli – sowieckiej postaci i to o zasięgu globalnym, w miarę rozprzestrzeniania się idei socjalistycznych na świecie. Realizowano ją przy użyciu ogromnego potencjału wiedzy, wielkiej liczby kadr wysoko wykwalifikowanych i wyspecjalizowanych w różnych dziedzinach oraz olbrzymich nakładów finansowych. Jednakże bez porównania mniejszych niż koszty ewentualnej walki zbrojnej, choć i taką stosowano, ale peryferyjnie w Korei i Wietnamie. Dopiero dziś możemy docenić profesjonalizm politologów amerykańskich, bo w USA było centrum dowodzenia, którzy wyciągnęli właściwe wnioski z niedawnej historii, zdając sobie sprawę, że walki zbrojne wymagają wielkich nakładów i ofiar, nie zapewniając przy tym gwarancji na zwycięstwo, jak np. w Wietnamie.

Wewnątrz tzw. obozu socjalistycznego, w tym także w Polsce, korzystano z rezultatów uzyskanych w wyniku owej bezkrwawej wojny, czy też zaangażowanego w niej potencjału nie tylko technicznego, nawet wówczas, gdy były to własne inicjatywy. Jaki bowiem zasięg i skuteczność miałyby np. wystąpienia polskich intelektualistów, działaczy KOR-u i wolnych związków zawodowych bez nagłaśniania ich przez polskojęzyczne radiostacje z Zachodu?

Wydarzenia w Polsce z początku lat 80-tych w najlepszym zatem wypadku można uznać za owoce owej globalnej walki z systemem, z którego istnieniem na dłuższy dystans kapitalistyczny Zachód pogodzić się nie mógł. Sprzyjało tym działaniom narastające niezadowolenie tak społeczeństwa polskiego, jak i społeczeństw w krajach socjalistycznych z warunków bytu, niskich płac, niedostatku towarów na rynku, ograniczenia swobód demokratycznych, a także – co nie

mniej ważne – braku perspektyw na poprawę tego stanu rzeczy. Te właśnie przyczyny wywołały w Polsce falę strajków w 1980 i 1981 roku, ale do jej rozwoju i skuteczności przyczyniły się – w rozmaitych formach – operacje wyspecjalizowanych ośrodków antykomunistycznych z Zachodu, tajnych lub występujących pod najbardziej niewinnymi szyldami.

Patrząc na rzecz z drugiej tj. wschodniej strony – fala strajków w Polsce w 1980 i 1981 roku stała się przyczynkiem, sygnałem dla władz w Warszawie, a tym bardziej na Kremlu, że ta forma rządów sprawowana w ZSSR od 1917 roku, a w krajach satelickich od 1944 i 1945 roku – nie jest już do utrzymania u schyłku XX wieku. Dowodziły tego także ruchy wolnościowe, zwłaszcza w byłych koloniach, które uzyskiwały niepodległość, tak że w końcu jedynym państwem „kolonialnym”, bo gnębiącym inne narody pozostał ZSSR. A przy tym na świecie nastąpił ogromny postęp wiedzy, komunikacji (zwłaszcza w sensie przepływu informacji) i ogólnego poziomu wykształcenia społeczeństw. W krajach obozu socjalistycznego, gdzie wiele pozostawało do odrobienia włącznie z analfabetyzmem, dość rozpowszechnionym jeszcze przed drugą wojną światową – nastąpiło rozszerzenie zakresu powszechnej oświaty oraz szkolnictwa zawodowego, w tym także wyższego, które włącznie z akademickim stało się bezpłatne. Jeśli nauki humanistyczne były podporządkowane ideologii – to przecież nauki matematyczne i techniczne nie ulegają ideologicznym wpływom, zaś matematyka poza wiedzą związaną integralnie z tą dziedziną nauki – uczy przy tym logicznie myśleć. Tak więc wiadomości docierające do ZSSR i jego krajów satelickich z wolnego świata i to nie tylko w formie audycji radiowych, ale – choć nie bez trudności – w różnych rodzajach literatury włącznie z techniczną, a także w postaci filmów fabularnych osadzonych przecież w realiach krajów, w których zostały nakręcone – w sumie dawały duży, coraz większy materiał do przemyślenia, przetworzenia i wyciągnięcia właśnie logicznych wniosków. Preferowana także nauka języków obcych jeszcze bardziej ułatwiała dostęp do tych najrozmaitszych źródeł informacji ze świata. Tak więc ogólny wzrost poziomu wykształcenia społeczeństw w tych krajach, uznawany zresztą jako zdobycz ustrojowa – w tym

kontekście zabrzmiało to paradoksalnie – okazał się również orężem przeciwko komunizmowi.

Przywódcy tych państw musieli się także liczyć ze skutkami wymienionej już wojny ideologicznej, oraz, a raczej przede wszystkim z lawinowo narastającym wyścigiem zbrojeń. Ten ostatni był nie tylko ciągłą licytacją zasobów arsenałów broni, ale także wojną psychologiczną (np. słynne Reaganowskie „gwiazdne wojny”) oraz formą wojny ekonomicznej i to szczególnie dotkliwej dla – o wiele słabszych od zachodnich – gospodarek ZSSR i jego satelitów.

Mamy tu zatem do czynienia z całym wielowątkowym spletem zjawisk i działań powodujących już nie tylko korozję, ale wręcz kruszenie i to od zewnątrz, i od wewnątrz ów sowiecki tzw. komunizm, zarówno jako ideologię, jak i najbardziej fizyczną materię państwową.

Nie do przyjęcia jest przeto – wobec przypomnianych tu realiów – przypisywanie „Solidarności”, czy też wręcz Lechowi Wałęsie, pokonania komunizmu w Polsce, co uznaje się też za wywołanie reakcji łańcuchowej obejmującej cały obóz socjalistyczny. Brzmi to po prostu naiwnie. I co najwyżej – nadanie temu procesowi, na który złożyło się przecież oddziaływanie wielu czynników, takiego właśnie sensu – było po prostu zabiegiem propagandowym, podjętym przez Zachód w trakcie załamywania się komunizmu, który to zabieg przejściowo, ale tylko przejściowo okazał się pożyteczny.

Mamy tu zatem przejaw swoistej megalomanii polskiej, polegającej na przypisywaniu sobie sukcesów, które albo w ogóle nie miały szans na osiągnięcie ich własnymi siłami, albo – co najwyżej – były osiągalne dzięki powstaniu sprzyjających warunków. Przypomniat to na łamach *Wiadomości Kulturalnych* (nr 31 z 30 lipca 1995 r.) Jacek Zychowicz w artykule pt. „Powrót do Sarmacji”. Napisał on – także wbrew powszechnej opinii – o odzyskaniu przez Polskę niepodległości po pierwszej wojnie światowej, iż: „ówczesny obóz rządzący żywił złudzenie, że Polska zawdzięcza niepodległość własnemu zrywowi. Nikt nie chciał pamiętać, że listopad 1918 r. był szczęśliwym zbiegiem okoliczności, o którym przesądziła w dodatku zniechęcona rewolucja rosyjska”. Otóż prawidłowością historyczną jest to, iż nawet najważniejsze dla mniejszych krajów wydarzenia, są uwarunkowane

układem sił wewnętrznych u potężnych sąsiadów, a także pomiędzy światowymi mocarstwami.

Aby przeprowadzić dowód do końca, warto w skrócie przypomnieć wydarzenia ostatnich 17 lat. W grudniu 1981 roku ośmielona ustępstwami strony rządowej „Solidarność” żądała więcej, niż pozwalało na to pole manewrów dopuszczalnych dla władz polskich w ówczesnym układzie sił w Europie, a zwłaszcza w tzw. obozie socjalistycznym. Władze nie mając innego wyjścia – wprowadziły stan wojenny. Generał Wojciech Jaruzelski wziął na siebie ogromną odpowiedzialność za podjęcie decyzji tak dramatycznej dla społeczeństwa, w celu uchronienia kraju od tragedii, której z góry nie można było wykluczyć, a jej groźba była zbyt wielka, aby dopuścić jakiegokolwiek ryzyko.

Kilka lat po odwołaniu stanu wojennego – „Solidarność” znowu próbowała rozwinąć falę strajkową, lecz bez powodzenia. Ostatni strajk w Stoczni Gdańskiej był przecież dla „Solidarności” przegrany, jak i inne w tamtym 1988 roku. Przypomnijmy sobie ów marsz ze Stoczni Gdańskiej, gdy Wałęsa z Mazowieckim objęli nawzajem za ramiona kroczyli na czele milczącego pochodu.

Sytuacja kraju stawiała się jednak coraz trudniejsza. Wprowadzona od początku 1982 roku reforma gospodarcza Baki nie powiodła się, bo władzom zabrakło odwagi, aby doprowadzić ją konsekwentnie do gospodarki rynkowej. To okazało się nieuniknione, ale władze zdawały sobie sprawę, że będzie wymagało dotkliwych wyrzeczeń dla społeczeństwa i uznały za konieczne doprowadzenie do porozumienia z opozycją. Rząd wystąpił więc z ofertą Okrągłego Stołu. Prawda, że pod presją, ale nie „Solidarności” lecz krytycznej sytuacji ekonomicznej kraju, której nie można było rozwiązać bez kosztów społecznych, a więc i bez zgody społeczeństwa.

Bez zgody Jaruzelskiego na rozmowy z opozycją nic by nie wskórał Wałęsa, a wszystko to nie byłoby możliwe bez *główności i pieriestrojki* Gorbaczowa, oraz po prostu przegranej ZSSR w wyścigu zbrojeń ze Stanami Zjednoczonymi. Takie były wówczas rzeczywiste realia i historia je w przyszłości sprawiedliwie oceni.

Sytuacja w Europie w 1989 roku uległa już zmianie. Władze w Polsce miały więc o wiele szersze pole manewru.

W rezultacie dochodzi do Okrągłego Stołu i częściowo wolnych wyborów 4 czerwca 1989 roku. Ich wynik *de facto* był sukcesem „Solidarności”, która uzyskała 99% mandatów senatorskich i dopuszczone umową Okrągłego Stołu 35% mandatów poselskich. Kierownictwo PZPR, jej koalicjantów ZSL i SD oraz rządu, pomimo że miało nadal formalną przewagę w Sejmie (65% mandatów), a do dyspozycji siły zbrojne dowodzone przez jeszcze posłuszną mu kadrę oficerską, nadwiślańskie formacje MSW i milicję z jej wyspecjalizowanymi i wypróbowanymi już oddziałami do tłumienia społecznych niepokojów – tym razem nie podjęło próby ich użycia. Nie wykazało też chęci do odwołania się do „internacjonalistycznej pomocy” ze Wschodu, czy spoza innych granic, ale po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego (koalicja Obywatelskiego Klubu Poselskiego „Solidarności”, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego) – oddało władzę. I był to jego niezaprzeczalny, *de facto* decydujący udział w przywróceniu Polsce ustroju demokratycznego. Trzeba bowiem pamiętać, że od tamtej pory nie było precedensu dobrowolnego i bezkarnego oddania władzy przez którykolwiek z satelickich reżimów. A gdy się okazało, że po raz pierwszy Moskwa nie zareagowała – stało się jasne, iż droga do przekształceń ustrojowych w Europie jest otwarta. Dopiero wtedy nastąpiła owa reakcja łańcuchowa, która obaliła mur berliński i dotychczasowy porządek polityczny w całym byłym obozie socjalistycznym z Rosją włącznie. I czy się to komu podoba, czy nie – taka jest po prostu logika faktów.

(II)

Nie mniej nieporozumień narosło wokół zaskakująco szybkiego powrotu lewicy na arenę polityczną. Fakt przejścia steru rządów Rzeczypospolitej ponownie przez lewicę – dla ugrupowań postsolidarnościowych, a zwłaszcza prawicy, stanowi wciąż nieodgadnione zrzędnienie losu, o czym

świadczą jej poprzednie a także obecne działania. Ta niewiedza, nierozpoznanie wektorów decydujących o nastrojach społecznych, o realnym układzie sił na polskiej scenie politycznej, może przesądzić nawet o unicestwieniu każdego ugrupowania politycznego, oczywiście także i lewicy, która tak zadziwiająco szybko powróciła do sterów nawy państwowej, iż zapewne wysnuła z tego faktu niezbyt trafne wnioski, a to może ją kosztować – w krańcowym przypadku – równie prędką utratę władzy.

Spróbuję to wyjaśnić.

Po przegranych wyborach w 1989 roku formacja wywodząca się z byłej PZPR powszechnie była uznawana za wyeliminowaną na trwałe ze sceny politycznej odrodzonej Rzeczypospolitej. I oto w wyniku splotu wydarzeń ster rządów powrócił dosłownie do rąk wywodzących się ze – zdawać by się mogło na zawsze pogrzebanej – elity byłej PRL. I choć niemal we wszystkich państwach Europy Środkowej i Wschodniej powróciły rządy lewicy – co oczywiście nie mogło być dziełem przypadku – dla wielu jest to sytuacja niewyobrażalna, nie do przyjęcia, a jednak prawdziwa. Przegraną okazała się „Solidarność”, która straciła swą historyczną szansę.

Kto w 1989 roku mógł przypuścić, że ten ogromny, liczący ponad 9,5 miliona członków i dynamiczny ruch społeczny, już po ledwie kilku latach nie zdoła wprowadzić do Sejmu ani jednego posła. Warto przypomnieć, że również Ryszard Bugaj, tak chętnie (wówczas) słuchany w parlamencie jak i za pośrednictwem radia i telewizji – dla swej „Solidarności Pracy” w 1991 roku zdobył zaledwie trzy mandaty. Najwyraźniej już wtedy sama nazwa „Solidarność” zadziała odstraszaюще na jej byłych elektorat, z czego kierownictwo „Solidarności Pracy” wyciągnęło właściwe wnioski przekształcając się – po otwarciu swych szeregów dla wszystkich ludzi lewicy – w „Unię Pracy”.

Co zatem stało się przyczyną tak druzgoczącej klęski?...

Przecież odwrócenie się milionów wyborców od związku, który przed ledwie kilkoma laty był jeszcze synonimem wolności, niepodległości i nadziei dla niemal całego narodu – nie mogło nastąpić z byle błahej przyczyny. Tych co oddali w 1989 roku swe głosy na „Solidarność” musiał zatem

spotkać zawód dotkliwy, bolesny, którego się nie wybacza.

Przypomnijmy sobie umowy społeczne zawarte w Gdańsku, Jastrzębiu i Szczecinie: była w nich mowa o wolności, o swobodach społecznych i religijnych, ale przede wszystkim o poprawie bytu milionów obywateli utrzymujących się z pracy. „Solidarności” – Niezależnemu Samorządnemu Związkowi Zawodowemu przewodzili w Gdańsku i Szczecinie stocznio-
cy, na Górnym Śląsku – górnicy. Potęga tego ruchu wyrosła na barkach robotniczych, zwłaszcza załóg wielkich zakładów przemysłowych w całym kraju. Społeczeństwo polskie jest bowiem i jeszcze długo będzie w ogromnej przewadze – społeczeństwem pracobiorców.

Miliony tych ludzi z fabrycznych hal, z kopalnianych przodków, z portowych nabrzeży, z kolejowych szlaków, z poczt i szpitali, od pługą i od pióra, nawet ci, którzy nie zwrócili jeszcze czerwonych partyjnych legitymacji – 4 czerwca 1989 roku oddało swe głosy na listy wyborcze „Solidarności”, a tym samym okazało swą wolę przekazania jej władzy w państwie. Rządząca PZPR, choć jak pamiętamy i nadal legalnie sprawująca władzę na mocy postanowień Okrągłego Stołu – tym razem nie podjęła próby jej zachowania. Podporządkowała się wyborczemu werdyktowi narodu i potraktowała go jako rzeczywistą intencję polityczną, a nie formalny wynik wyborów, bowiem w „kontraktowym” Sejmie posłowie „Solidarności” byli w mniejszości. Formalne oddanie władzy nastąpiło w sierpniu 1989 roku po utworzeniu koalicji Obywatelskiego Klubu Poselskiego „Solidarności” ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym oraz rządu Tadeusza Mazowieckiego.

Społeczeństwo odetchnęło z ulgą i z ufnością oczekiwało realizacji programów wyborczych odwołujących się do owych umów społecznych z Gdańska, Jastrzębia i Szczecina.

Nic takiego nie nastąpiło: i wyborcze programy, i społeczne umowy już od dnia sukcesu wyborczego „Solidarności” przeszły do historii. Nikt z późniejszych rządów na serio już więcej o nich nie wspominał. Co więcej, rządy postsolidarnościowe (ani każdy z nich osobno) nie wypracowały w zamian żadnej spójnej koncepcji sprawowania władzy. Odrzucono też ustalenia żmudnie wypracowane i uzgodnione przy Okrągłym Stole, wychodząc zapewne z założenia, iż skoro

partner oddał władzę – można umowy z nim zlekceważyć.

Do dziś jednak działacze Unii Wolności, czyli byłej Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i kilku pomniejszych ugrupowań prawicowych, chętnie powołują się na swój solidarnościowy rodowód. Ale z niefrasobliwością uważają, że ten rodowód do niczego ich nie zobowiązuje. Nikt z nich bowiem nie poczuwał się – gdy byli w parlamencie – i nadal nie poczuwa, do zobowiązań wobec wyborców, nie identyfikują się z pierwotnymi założeniami ruchu, który wówczas, w 1989 roku wyniósł ich do władzy. Nikt z nich nie uprzedził także swych wyborców co ich czeka: jedni zostali pozbawieni pracy, drudzy zatrudnieni przez pazernych biznesmenów płacących mało i nie zawsze w terminie, nie otrzymują tego o co walczyli.

Jeszcze niedoświadczony wówczas eksperymentator Leszek Balcerowicz osiągnął wprawdzie efektowne zrównoważenie rynku, zlekceważył jednak skutki owych działań dla gospodarki kraju i doprowadził do upadłości wiele zakładów przemysłu państwowego, które następnie kolejny fanatyk Janusz Lewandowski za pół darmo przekazywał obcemu kapitałowi. Zawiniona przez te same rządy utrata rynków wschodnich oraz przedwczesna likwidacja Państwowych Gospodarstw Rolnych doprowadziła do prawie 3-milionowego bezrobocia oraz zaniechania upraw na tysiącach hektarów użytków rolnych. Proceder ten, realizowany z karygodną lekkomyślnością, bez liczenia się ze skutkami społecznymi, uzyskał eufemistyczne miano terapii szokowej, albo inne, lepiej oddające wyniki owego przedsięwzięcia: reformy przez ruinę. A gdy w wyniku tych operacji i innych zaniedbań w kasie państwowej zaczęło brakować pieniędzy – wywodzące się z „Solidarności” rządy obniżyły waloryzację płac w sferze budżetowej oraz – łamiąc prawo – waloryzację rent i emerytur, bez skrupułów przerzucając ciężar restrukturyzacji gospodarki na najbiedniejszych.

Państwo zostało doprowadzone prawie do bankructwa i do dziś nie może się z niego wydobyć. Brakuje pieniędzy na wszystko: na służbę zdrowia, oświatę, kulturę, kolej, wymiar sprawiedliwości, policję, a nawet wojsko. Tak hałaśliwie rozpropagowany wzrost produktu krajowego brutto, który

zresztą łatwo jest osiągnąć, gdy się startuje z bardzo niskiego progu, a ma się do dyspozycji nie w pełni wykorzystany potencjał produkcyjny – to dopiero odległa szansa na wydobyć się z drugiego dna, o istnieniu którego nikt wcześniej nawet się nie domyślał, a na które sprowadziły kraj rządy solidarnościowe. Tu warto dodać, że np. Czesi ten sam co u nas efekt rynkowy osiągnęli co prawda w dłuższym czasie, ale nie doprowadzili swego państwa do ruiny, przy bez porównania mniejszych kosztach społecznych, w tym przy minimalnym bezrobociu i niewielkiej inflacji.

Działania bez jakichkolwiek planów, wręcz bez zastanowienia, eksperymentowanie na żywym organizmie państwa bez choćby próby rozpoznania jego skutków, co więcej, obarczanie kosztami owych eksperymentów tych, którym brakuje na komorne, na światło, a nawet na chleb, wreszcie pozbawienie państwa środków niezbędnych dla utrzymania podstawowych służb, bez których nie może ono funkcjonować – oto w największym skrócie pełny obraz, pełny „dorobek” solidarnościowych rządów czyli tzw. samozwańczo „oboazu reform”.

Większość społeczeństwa jest sfrustrowana: zawiodł socjalizm, zawiodła i „Solidarność”. Obiektywną miarą społecznych nastrojów są oczywiście wyniki wyborów i udział w nich społeczeństwa. I tak w wyborach do parlamentu: po wysokiej frekwencji w czerwcu 1989 roku (z list okręgowych nie została wyciągnięta średnia krajowa) i wyborczym triumfie „Solidarności”, a następnie niższej frekwencji w wyborach prezydenckich (I tura – 60,6%; II tura – 53,4%) nastąpił spadek do ledwie 43,2% w wyborach parlamentarnych w październiku 1991 roku. A potem we wrześniu 1993 roku, w ostatnich wyborach do Sejmu i Senatu – wzrost frekwencji do 52,1% – zwycięstwo lewicy i PSL, a zarazem sromotna klęska „Solidarności” oraz wywodzących się z niej stronnictw politycznych. W wyborach samorządowych frekwencje malejące: 1990 – 42,3%, a w 1994 r. już tylko 33,8%. Nakładają się zatem dwie tendencje: niewiara, że drogą aktu wyborczego można cokolwiek zmienić, albo szukanie ratunku u lewicy licząc na jej wrażliwość na ludzkie troski.

Wyniki te świadczą, że wyborcy, tj. ci co idą do urn reagują bezbłędnie i ani myślą stosować taryfy ulgowej. Stąd

ogromna większość wyborców po prostu nie miała ochoty w 1993 roku głosować ani na „Solidarność”, na której się zawiodła, ani na ugrupowania post-solidarnościowe, nie znajdując dla siebie nic w ich hasłach wyborczych (bo programów *de facto* nie miały).

Nic zatem nie ujmując talentom organizacyjnym i doświadczeniu Sojuszu Lewicy Demokratycznej – powrót lewicy na arenę polityczną i przejęcie – wspólnie z Polskim Stronnictwem Ludowym – przez nią rządów Rzeczypospolitej, w decydującym stopniu było wynikiem oddania pola przez samą „Solidarność”, która zrezygnowała ze swojego pierwotnego programu, której rządy odwróciły się od ludzi pracy czyli swoich wyborców. I to jest właściwa odpowiedź na pytanie dlaczego lewica wygrała, a raczej... dlaczego „Solidarność” przegrała w wyborach 1993 roku. Nie brak wprawdzie wśród opozycji innych samokrytycznych głosów: „to my sami zafundowaliśmy im (tj. SLD i PSL) zwycięstwo”, „to my sami ponieśliśmy śmierć polityczną na własne żądanie...” (o obaleniu przez „Solidarność” w poprzedniej kadencji Sejmu rządu Suchockiej), „... a nieudolny prezydent [Wałęsa] bardzo to ułatwił”. Jako przyczyny niesprawności rządów postsolidarnościowych podaje się też brak odpowiedniego przygotowania kadr do objęcia rządów, bo o wiedzy jedynie teoretycznej, a w konsekwencji nierozpoznanie społecznych skutków przed rozpoczęciem poczyną reformatorskich, co doprowadziło do wielu błędów dotkliwych dla społeczeństwa. To też prawda, ale decydującymi były skutki zlekceważenia potrzeb własnego elektoratu, odwrócenia się od tych, od których postsolidarnościowe rządy otrzymały mandat władzy.

Na tym tle przebieg rządów koalicji SLD-PSL prezentuje się bez porównania lepiej, choć także daleko mu do ideału. Największym sukcesem politycznym lewicy i umocnieniem jej pozycji na scenie politycznej kraju był wybór na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Prawda, że w drugiej turze były to wybory co najmniej półpolityczne, tj. ci, którzy głosowali na Wałęsę czyli przeciwko Kwaśniewskiemu, czynili to z przyczyn *par excellence* politycznych. Natomiast obecny Prezydent RP został wybrany nie tylko przez swych rzeczywistych zwolenników, ale i tych, którzy nie chcieli, aby

najwyższe stanowisko w państwie zajmowała nadal osoba do tej funkcji nie przygotowana i nie nadająca się. A więc w pewnym stopniu powtórzyła się tu sytuacja z wyborów parlamentarnych 1993 roku, gdy SLD przejęła znaczną część elektoratu solidarnościowego. Na marginesie dodam, że w przedwojennej II Rzeczypospolitej prezydentów wybierało Zgromadzenie Narodowe, co skutecznie zapobiegało kandydowaniu na ten najwyższy urząd w państwie osób przypadkowych i czynienie z tego aktu parodii, jak to miało miejsce w pierwszych turach obu ostatnich wyborów prezydenta. Natomiast wybory powszechne i bezpośrednie dają prezydentowi mandat o randze politycznej równej parlamentowi (szczegóły określa konstytucja) i zapewniają wyborowi prezydenta przez aktualną, a nie z poprzednich wyborów parlamentarnych, większość polityczną. Jeśli zatem wybory powszechne i bezpośrednie prezydenta miałyby być utrzymane – należałoby pomyśleć o takim trybie nominowania kandydatów, aby zapobiec udziału w wyborach osób zupełnie przypadkowych i nie zamieniać ich w farcę.

Drugim sukcesem politycznym obozu rządzącego – tym razem już całej koalicji SLD-PSL – jest już niemal pewne, że kadencja obecnego parlamentu przetrwa do końca ustawowo określonych czterech lat i zapewne do końca tego okresu przetrwa również sama koalicja. Jest to fakt o dużym znaczeniu politycznym, bowiem w interesie kraju leży trwałość jego struktur parlamentarnych i rządowych. I to należałoby zaliczyć raczej na konto SLD i jego kierownictwa, którego dyplomatyczne zdolności w uzyskiwaniu kompromisów z PSL były widoczne. A przy tym PSL Waldemara Pawlaka jest koalicjantem wyjątkowo trudnym, hołduje bowiem tradycjom, które u schyłku XX wieku powinny być już przemijające: małorolnym gospodarstwom nie przystosowanym do efektywnej gospodarki wielkotowarowej. Stronnictwo to poza tym nie ma odpowiednich kadr a przejawia ogromną pazerność.

SLD, które wspólnie z PSL odważyło się przejąć rządy po ledwie paru latach władzy stronnictw postsolidarnościowych, wciąż jest celem ataków prawicy, nieraz niewybrednych i jak dotąd nie dających się jednoznacznie udowodnić jak owa „afery Oleksego”, obarczanie lewicy upadkiem Stoczni Gdań-

skiej, czy złą kondycję górnictwa węglowego poparte dramatycznymi nieraz protestami pokrzywdzonych inspirowanymi przez „Solidarność”. Najwyraźniej opozycja posługując się bezpodstawnymi, ale podchwytliwymi hasłami, jak np. „precz z komuną” pragnie odwrócić uwagę znacznej części społeczeństwa od pozytywów pragmatycznie sprawowanych rządów lewicy i w ten sposób wypróbowany już dawno, pozyskać sobie zwolenników, co zresztą w znacznym stopniu jej się udaje. Z drugiej strony SLD, którego sztandarowym hasłem wyborczym było: „tak dalej być nie musi” – zdominowane jest przez socjalistycznych z nazwy, czy raczej tylko wyborczej retoryki liberałów, trudniących się na co dzień biznesem, czyli po prostu robieniem pieniędzy. W tym zakresie bliższa jest im głoszona przez Balcerowicza teza, że aby było co dzielić – trzeba najpierw zarobić. Zarówno te działania, jak i też zresztą niezbyt wyraźne załoty do Unii Wolności pozostają jednak nie odważajmniej ze względów tradycyjnych, tj. pezetpeerowskich rodowodów owych socjaldemokratycznych zwolenników liberalizmu gospodarczego. W rezultacie rządy SLD-PSL nie przyniosły dostatecznej poprawy sytuacji tej połowie społeczeństwa, która ledwie wiąże koniec z końcem, a w znacznej części cierpi nędzę. Odwrócenie tendencji, tj. zamiast ograniczenia wysokości rent i emerytur stopniowe przywracanie ich wysokości i wypłaty łącznie z odsetkami, wciąż jest dla rencistów i emerytów mało odczuwalne. Niezadowoleni są też ze zbyt niskich podwyżek, co wywołuje raz po raz protesty pracowników sfery budżetowej, a to skłania ich do szukania pomocy u „Solidarności”. Świadczą o tym wyniki badań opinii publicznej, których wprawdzie nie należy przeceniać, jak to miało miejsce w 1993 roku z oceną szans ówczesnej Unii Demokratycznej, ale lekceważyć też nie wolno. Wyniki tych badań – w zależności kto i kiedy je wykonuje, wskazują na przewagę raz Akcji Wyborczej „Solidarności” – to znów Sojuszu Lewicy Demokratycznej, co dowodzi, że szanse są wyrównane. Ale w wyborach decydować będą różne czynniki. Już obecnie widać, że „Solidarność” pod przewodnictwem Mariana Krzaklewskiego – choć daleko jej do tej z 1980-1981 roku – stała się znowu organizacją dynamiczną, w odróżnieniu od OPZZ, o którym prawie nie słychać. Sam Krzaklewski, choć

można mu wiele zarzucić jak np. że jest jak na inżyniera nie dość pragmatyczny i skoordynowany, a za to nazbyt hałaśliwy, spełnia jednak pospolite wymagania stawiane przywódcy ruchów rewindykacyjnych. Wśród liderów SLD natomiast nie brak ludzi o dużej wiedzy i doświadczeniu, wśród których są ministrowie i kandydaci na ministrów, a nawet premiera, a do takich ról Krzaklewski jeszcze nie dorósł – a jednak lider „Solidarności” jest przywódcą, zdolnym pociągnąć za sobą innych, zaś SLD obecnie takiego przywódcy nie ma. Na Józefie Oleksym ciąży wciąż zarzut utrzymywania kontaktów – nawet tylko towarzyskich – z rezydentami obcego wywiadu, a większość pozostałych zajmowała nomenklaturowe stanowiska w PRL. Po wyborze Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta jakoś nie pomyślano o przywódcy z zupełnie czystą kartoteką, a przecież taka potrzeba polityczna była ewidentna od dawna. A dla wyborców będą liczyć się tylko ich subiektywne sympatie, a nie obiektywne walory kandydatów. Oczywiście przechodzenie władzy z rąk do rąk rządzących w ręce opozycji w ustroju demokratycznym jest zjawiskiem prawidłowym, z tym że w naszym nie ustabilizowanym politycznie społeczeństwie nastroje zmieniają się jak rozkołysana koleba.

Tak więc choć trudno dziś przewidzieć wyniki wyborów – wiadomo już, że nowy parlament będzie bardziej zróżnicowany, zaś ugrupowania polityczne, które uzyskają dostateczną liczbę mandatów do przejęcia władzy, na pewno w dość szerokich koalicjach – nie będą miały łatwego życia. Na pewno więc sprawdzi się i w tych nadchodzących wyborach zasada zweryfikowana już od 1989 roku: nie wolno lekceważyć elektoratu – trzeba działać na jego rzecz permanentnie, gdy jest się u władzy, a nie przypominać sobie o nim dopiero na krótko przed wyborami.

Andrzej KOŹMIŃSKI

Polemiki

Uwagi o artykułach *Kultury*

Chciałbym zwrócić uwagę na „Apel w rocznicę ‘Operacji Wisła’” (*Kultura* 3/594). Jest to sprawa ważna i nigdy nie będzie dosyć o tym przypominać między innymi dlatego, że Polacy w swym narcyzowskim usposobieniu są przekonani, że są najlepszym, najbardziej tolerancyjnym, najbardziej lubianym itd. narodem na świecie, a kto myśli inaczej jest po prostu POLONOFOBEM. Nie chodzi tutaj o to aby drażnić naród, któremu nie dzieje się najlepiej i który musi ciężko pracować, ale o to, aby ściągnąć marzycieli na ziemię i pozbawić ich różnych szkodliwych iluzji.

Przeglądając pobieżnie nazwiska sygnatariuszy tego apelu można dojść do wniosku, że wśród nich przeważają sympatycy byłej Solidarności z roku 1980 i Unii Wolności, w każdym razie osoby będące w chwili obecnej w opozycji do rządzącej koalicji. Ludzie ci mieli decydujący wpływ na politykę polską przez pierwsze 4 lata po upadku komunizmu i trzeba stwierdzić, że zrobili niemało. Jeśli chodzi jednak o sprawę „Operacji Wisła” to przyznam się, że nie wiem czego oni dokonali, nawet w sensie deklaratywnym i to trzeba by w pierwszym rzędzie wyjaśnić.

W chwili obecnej na napisanie takiego apelu nie trzeba specjalnej odwagi, oraz nie grozi to żadnymi konsekwencjami, a zebranie podpisów nie nastroczało chyba żadnych trudności, aczkolwiek są tam osoby znane w przeszłości ze swych „patriotycznych” wypowiedzi. W moim pojęciu jest to, szczególnie biorąc pod uwagę rozmiar tych represji w stosunku do własnych obywateli TANI GEST. Podobnie tanim gestem jest teraz – w napiętej sytuacji budżetowej Polski, gdzie brak jest pieniędzy na wszystko – wezwanie aby Sejm RP dołożył starań do wynagrodzenia krzywd wtedy uczynionych. Jeśli apel taki ma być rozumiany poważnie, to

należałoby przynajmniej określić proponowany rozmiar odszkodowań i nazwać źródła jego pokrycia, np. dodatkowy podatek powszechny. Nawiasem mówiąc jest to znowu typowa polska niedoróbka o ile chodzi o szczegóły i lekceważenie spraw prawnych i finansowych. Może stworzyć specjalny fundusz?

W apelu tym należałoby także podkreślić to, że represje te objęły 200.000 do 500.000 **obywateli polskich** (łącznie z deportowanymi do byłego ZSSR) i że o objęciu tymi represjami decydowało najczęściej arbitralne widzimisię jakiegoś urzędnika lub wojskowego. Tzn. że jakkolwiek zarzut względem deportowanych nie został w żaden sposób, a tym bardziej sądownie, udowodniony. Należy wspomnieć również, że w ramach „Operacji Wisła” pewną ilość osób uwięziono, także bez sądu, w oślawionym obozie w Jaworznie, gdzie dokonywano morderstw, a morderstwa te są takim samym przestępstwem jak mordowanie byłych żołnierzy z AK czy z innych organizacji podziemnych.

Podobnie TANIM GESTEM jest zwalanie winy za „Operację Wisła” wyłącznie na rządzącą wówczas z łaski Kremla klikę komunistyczną. Deportacje w ramach „Operacji Wisła” odbyły się wówczas z akceptacją, a przynajmniej za wiedzą i milczącym przyzwoleniem większości narodu polskiego. Przemilczanie tego faktu przypomina twierdzenia Niemców, którzy po wojnie oświadczaali, że o obozach koncentracyjnych i o zagładzie Żydów nic nie wiedzieli, co mogło być w wielu wypadkach prawdą, bo hitlerowcy się tym publicznie nie chwalili, natomiast o „Operacji Wisła” pisały wówczas wszystkie gazety. Nieprzyznanie się do tego, w takim apelu jest uproszczeniem, które **uwłacza godności narodu polskiego**. Poza tym, społeczeństwu polskiemu należy jasno powiedzieć, dlaczego ponosi za te czyny przynajmniej odpowiedzialność moralną i dlaczego powinno ponieść koszty tych odszkodowań, tak jak to powiedziano Niemcom.

Dalszą sprawą, aczkolwiek nie tak bardzo kontrowersyjną, jest artykuł p. Jerzego Pomianowskiego „Dwie Rosje”. Wiem o głębokiej wiedzy p. Pomianowskiego na tematy rosyjskie i artykuł ten po pierwszym czytaniu bardzo mi się podobał, otrzymałem również z Polski korespondencje pełne uznania na ten temat. Jednak po przeczytaniu we *Wprost* z marca 1997 artykułu „Rzeczpospolita wielu narodów” i po przemyśleniu moich obserwacji z pobytu w Polsce, doszedłem do wniosku, że p. Pomianowski nie uwzględnił pewnego czynnika.

Zgadzam się z *Kulturą*, że polityka wschodnia ma dla Polski pierwszorzędne znaczenie i dotychczas była i jest prowadzona bez żadnej wizji, bez odpowiednich ludzi i środków. Ekipa „Solidarnościowa” zawiodła i tutaj, a od obecnej przecież nie można nic lepszego oczekiwać. Dlatego ten ważny odcinek jest, jak wiele innych, po prostu zaniedbany.

Moim zdaniem p. Pomianowski w swych ocenach opiera się jedynie o analizy dotyczące sytuacji „polskiego lobby” względnie ludzi z inteligencji rosyjskiej podatnych na głos z Polski. Rosja obejmuje jednak około 250 milionów ludności (podaję z pamięci), a w demokracji każdy ma 1 głos. P. Pomianowski nie analizuje równocześnie jaki wpływ na tę masę wyborców ma to „polskie lobby” w Moskwie i ilu Rosjan czyta, względnie będzie czytało, czasopismo *Polsza*.

Wiemy równocześnie, że ludność byłego ZSSR najczęściej tłumaczy sobie opacznie oficjalne wiadomości urzędowe. Podobnie było w czasie II Wojny Światowej kiedy przez długi czas ludność nie wierzyła w bestialstwa Niemców opisywane przez źródła oficjalne, dopóki nie usłyszała relacji naocznych świadków. W chwili obecnej, pracuje w Polsce, przeważnie nielegalnie około 200 tysięcy osób (z terenów byłego ZSSR). Osoby te pracują bardzo dobrze i jako pracownicy są cenieni, a Polacy odnoszą się do nich dobrze. (Niestety zarzucając przedwojennym ziemianom wyzysk chłopów, Polacy płacą tym ludziom obecnie 30 do 50% tego, co się płaci Polakom, nie mówiąc o ubezpieczeniach. O to się jeszcze kiedyś ci ludzie upomną i Polacy znowu będą udawać, że o niczym nie wiedzą).

Na razie jednak dla pracowników z byłego ZSSR Polska jawi się jako kraj czysty, praworządny i jakby przedsięnek raju. Właśnie ci ludzie, ich rodziny rozgłaszają na terenach byłego ZSSR pozytywną opinię o Polsce i są przyszłym pomostem między tymi krajami i zaryzykowałbym twierdzenie, że propaganda ta jest skuteczniejsza niż czytanie *Polszy*. Dlatego nie podzielam w pełni pesymizmu p. Pomianowskiego, aczkolwiek w dalszym ciągu popieram jak najbardziej WSZYSTKIE postulaty *Kultury* pod adresem polskiej polityki wschodniej.

Kazimierz KARNKOWSKI

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

31.3.97

Zmarła w Krakowie w wieku 53 lat Jolanta Rokoszowa, członek Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk w Salzburgu. W ostatnich latach wykładała kulturę i język polski w Institut National des Langues et Civilisations Orientales (INALCO) w Paryżu.

5.4.97

Nowojorski *Nowy Dziennik* w numerze z 8-go kwietnia br. podaje, że prasa bułgarska informuje o niebывалым skandalu w polskiej telewizji. Ekipa telewizyjnych „Wiadomości” przybyła do Sofii na wywiad z prezydentem Peterem Stojanowem. „Pijani jak świnię” – stwierdziła przed prezydenckimi drzwiami dziennikarka „Wiadomości”, która miała za chwilę przeprowadzać wywiad z prezydentem. By uniknąć skandalu Bułgarzy zaproponowali dziennikarce wypożyczenie własnej ekipy telewizyjnej. Ta jednak odmówiła, twierdząc, że Polacy są specjalistami i zdecydowała się zostawić na miejscu operatora dźwięku, który w czasie rozmowy z prezydentem walczył z ciężkim „kacem” i chwilami zasypiał. Nie jest to pierwszy skandal w polskiej telewizji i byłby czas zająć się jej reorganizacją pod względem fachowo-technicznym, a nie pod kątem, jakie stronnictwo polityczne będzie w niej dominowało.

14.4.97

Kopiec Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie jest zagrożony. Od kilku lat osuwa się północno-wschodni stok kopca, a prawdziwa katastrofa zaczęła się po wielkiej burzy w maju ub.r. Koszt uporządkowania kopca wynosi ok. 2 mln złotych, których Komitet Opieki nad Kopcem nie potrafił do tej pory zebrać. Sejm RP, który od 1992 r. sprawuje honorowy patronat nad zabytkiem, nie udzielił najmniejszej pomocy. A jednocześnie stawia się w całej Polsce brzydkie pomniki Marszałka, bardzo często bez sensu.

20.4.97

Jury Nagrody im. Adolfa Bocheńskiego tegoroczną nagrodę przyznało p. Wolfgangowi Pailerowi z Niemiec za książkę pt. „Stanisław Stomma – nestor der polnisch-deutschen Aussohnung”.

25.4.97

Jury Nagrody im. Jana Strzeleckiego przyznało ją w tym roku Krystynie Kerstenowej.

27.4.97

Zmarł w Krakowie w wieku 67 lat Piotr Skrzynecki. Był założycielem i przez ponad 40 lat duszą kabaretu „Piwnica pod

Baranami”, *spiritus movens* krakowskiej cyganerii, odkrywca kilku generacji artystów.

15.5.97

Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat Andrzej Drawicz, znakomity rusycysta i tłumacz, niegdyś współzałożyciel STS.

23.5.97

Otwarto wystawę Jana Lebensteina: „Obrazy do Ksiąg Genetis” w Galerii Opus we Wrocławiu na placu Kościuszki. Wystawa potrwa do 5 czerwca br.

ZACHÓD

1.5.97

Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie przyznał tegoroczną nagrodę prof. Jerzemu R. Krzyżanowskiemu z USA.

3.5.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się tradycyjne spotkanie Towarzystwa Historyczno-Literackiego z okazji rocznicy Konstytucji 3-Maja. W czasie spotkania prof. Jerzy Łukaszewski, ambasador RP we Francji w latach 1991-1996, wygłosił odczyt pt. „Polska u progu trzeciego tysiąclecia”.

5.5.97

W Instytucie Polskim w Paryżu otwarto wystawę twórczości Henryka Stażewskiego (1894-1988). Wystawa została przygotowana przy współpracy Galerie Denise René oraz grupy innych galerii międzynarodowych i kolekcjonerów. Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało wieczór z odczytem prof. Georges Nivata pt. „La mémoire de l'histoire en Pologne et en Russie”. Georges Nivat jest profesorem literatury i cywilizacji rosyjskiej na uniwersytecie genewskim oraz w Instytucie Europejskim w Genewie.

6.5.97

Staraniem Centre de Civilisation Polonaise na uniwersytecie Paris IV-Sorbonne odbył się odczyt Marty Wyki, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. „Krytyka literacka i twórczość Wisławy Szymborskiej – Prix Nobel 1996”. Po konferencji recytowano utwory Wisławy Szymborskiej w języku polskim i francuskim.

20.5.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego oraz Stacji Naukowej PAN odbyła się konferencja na temat „Język polski w Polsce i we Francji”. W konferencji wzięli udział: Halina Zgólkowa, profesor Uniwer-

sytetu Poznańskiego; Jerzy Bartymiński, profesor Uniwersytetu MSC w Lublinie; Janine Ponty, profesor uniwersytetu w Besançon; Anna Masiewicz z Académie de Créteil - GRETA; Wanda Krzemińska, wicedyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu oraz Michał Kwiatkowski, b. redaktor dziennika *Narodowiec*.

21.5.97

Na Uniwersytecie Thames Valley w Londynie odbyła się konferencja „Polska, W. Brytania i Europa”, zorganizowana z inicjatywy prof. Jana Ciechanowskiego. Była ona poświęcona kwestii wstąpienia Polski do Unii Europejskiej i NATO oraz potrzebie i sposobom zacieśnienia współpracy polsko-brytyjskiej we wszelkich dziedzinach. Mówcy – przedstawiciele Foreign Office oraz Ambasady RP w Londynie i naukowcy – wykazali dużą zgodność poglądów i podkreślali jak wielkie znaczenie ma ta współpraca oraz integracja Polski i innych krajów Europy Środkowej z Zachodnią. Tego zdania była też licznie zgromadzona publiczność, wśród której obecni byli emigranci starszego pokolenia, ale przeważali biznesmeni i naukowcy brytyjscy, w tym wielu polskiego pochodzenia.

22.5.97

Zmarł w wieku 97 lat w podlondyńskim Antokolu (Dom Spokojnej Starości dla zasłużonych Polaków), prof. Stanisław Swianiewicz, działacz niepodległościowy, wybitny ekonomista, blisko współpracujący przed wojną z *Buntem Młodych* i *Polityką*, po wojnie z *Kulturą*. Jego książka „Polityka gospodarcza hitlerowskich Niemiec” ukazała się w ramach Biblioteki Polityki. Więzień Starobielska, zrządzeniem losu uniknął śmierci. Jego wspomnienia „W cieniu Katynia” ukazały się w Bibliotece Kultury w roku 1976.

25.5.97

Polska Akademia Nauk otworzyła swoją placówkę w Moskwie. Zadaniem przedstawicielstwa będzie rozwijanie współpracy między naukowcami polskimi i rosyjskimi. Zdaniem wiceprezesa PAN prof. Mariana Truszczyńskiego największe perspektywy stwarza współpraca w naukach ścisłych, zwłaszcza w matematyce, fizyce i chemii.

Listy do Redakcji

Paryż, 7 maja 1997

Drogi i Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wiem czy wypada mi zabrać głos w sprawie, która może jest już stracona, ale jednak chciałbym zwrócić uwagę czytelników na pewne zjawisko wypaczenia językowego, które godzi w wizję Europy Polaków.

Ta refleksja nasunęła mi się przy czytaniu doskonałego skądinąd felietonu Mariusza Wilka „Zapiski Sołowieckie”. Nie chodzi o liczne rusycyzmy, którymi ożywia on swój styl, które są naturalne, a nawet niezbędne dla miejscowego kolorytu jego pasjonującego świadectwa. Chodzi tylko i wyłącznie o niewłaściwe – jak mi się wydaje – posługiwanie się przymiotnikiem *ruski*, który u niego, jak niestety teraz coraz częściej w Polsce, występuje z reguły zamiast *rosyjski*. Czytamy w ostatnim (nr 4, 1977) numerze *Kultury*: w *ruskim piecu*, w *ruskiej historii*, Fletcher piszący o *Rusi* w końcu XVI w., *ruski naród*, po *rusku*, *ruskie osady XVII w.*, w *ruskiej „głubinkie”*, itd.

Wydaje mi się, że takie użycie słowa przyjęło się w gwarze żołnierskiej po II wojnie światowej, a później przeszło do pewnych kręgów, ale ładunek kulturowy i geopolityczny tego pojęcia jest tak ważny, że nie rozumiem, dlaczego pisarze i odpowiedzialni dziennikarze nie zachowują odwiecznego obyczaju języka polskiego, każącego mówić o *Rusi* w dwóch tylko wypadkach: 1) kiedy mówi się o Słowiańszczyźnie wschodniej przed w. XV, tzn. kiedy nie było *Rosji* (słowa *Rosja* i *rosyjski* pojawiły się po raz pierwszy w księstwie moskiewskim w r. 1485); 2) na określenie dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Od „Burdy ruskiej” J.B. Zimorowica, po publicystykę *Kraju* wychodzącego po polsku w Petersburgu do r. 1914, poprzez całą literaturę, ziemie ruskie zawsze były odmienne od moskiewsko-rosyjskich. Ziemie ruskie w języku polskim to Białoruś i Ukraina (Ruthenia po łacinie, nie Russia).

Precyzja języka ma však swoją wagę, szczególnie w chwili, kiedy niezależność tych krajów każe je ściśle rozróżniać.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Daniel BEAUVOIS

Toronto, 1 marca, 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Słusznie mówi Piotr Wandycz, że powstanie katedry historii Polski na uniwersytecie w Toronto zasługuje na nagłośniecie.

Jednakże do tej wzmianki zakradła się poważna nieścisłość, dotycząca „ufundowania” katedry historii i kultury polskiej w Toronto. Katedra powstała dzięki ofiarności społeczeństwa polonijnego, bez pomocy prowincjonalnego czy innego rządu. Dzięki temu, że ufundowaliśmy katedrę sami, rząd w żadnym wymiarze nie może narzucać wprowadzania programów.

Z wyrazami poważania i serdecznym pozdrowieniem

Stanisław T. ORŁOWSKI

Kraków, 17 kwietnia 1997 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Dla dobra czytelników *Kultury* i prozy Danuty Mostwin chciałbym sprostować błąd, jakiego się dopuściła Teresa Halikowska-Smith w recenzji z powieści Danuty Mostwin „Nie ma domu” (*Kultura* nr 3, 1997).

Recenzentka pisze (powołując się przy tym na postłowie autorki), że jest to ostatnia, ale chronologicznie pierwsza pozycja wielotomowej sagi rodzinnej.

Otóż Danuta Mostwin zamieszczone na końcu „Słowo od autorki” zaczyna od zdania: „Powieść ‘Nie ma domu’ jest czwartym tomem sagi...” i następnie wymienia kolejno wszystkie jej części, z powieścią „Nie ma domu” na czwartym miejscu.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Marian STĘPIEŃ

Poznań, 25 kwietnia 97.

Szanowny Panie Redaktorze,

W dniach od 7 marca do 24 kwietnia odbywały się w Poznaniu drugie po ubiegłorocznych a w Polsce jedyne – Dni Kultury Rosyjskiej. Zorganizował je Konsulat Generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu przy pomocy władz miejskich i instytucji

kulturalnych miasta. Program obejmował recital fortepianowy Arkadego Wołodosa, cieszące się ogromnym powodzeniem spektakle baletowe „Giselle Rouge” Borysa Eifmana z Sankt Petersburga, retrospektywny przegląd filmów rosyjskich („od Tarkowskiego do Szukszyna”), prezentację filmu Michaiła Kolotowowa „Czerwony namiot”. Wystawiono również dwa „rosyjskie” przedstawienia z programu Teatru Wielkiego w Poznaniu: „Jezioro łabędzie” i „Borysa Godunowa”. Całość zamykały wysoko oceniane występy młodych talentów ze słynnej Moskiewskiej Szkoły Muz. Imprezie towarzyszyły Dni Kuchni Rosyjskiej w hotelu „Polonez” oraz kiermasz książki rosyjskiej, który wszakże zawiódł oczekiwania: nie było ani najnowszej literatury rosyjskiej, ani czasopism; było trochę klasyki (Czechow, Gribojedow, Tolstoj) i słowników; ceny nie były umiarkowane.

Zofia TROJANOWICZOWA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.Z., *Australia* – Pana opowiadania „Wizyta” nie zamieścimy, jest bardzo słabe.

Bogumił S., *Polska* – Pana zapisy – poezją nie są.
Leszek Kozłowski, *Szwecja* – Listu nie zamieścimy, uwagi krytyczne należałoby wyrażać w formie bardziej kulturalnej.

J.W., *Szwajcaria* – Listu nie drukujemy, gdyż zawarta w nim krytyka nie dotyczy tego, co Unger napisał, a tego, czego Unger nie napisał. Gdyby Unger uwzględnił tylko niektóre (zresztą nieraz słuszne) ze spraw, których brak tak Pana uderzył, artykuł rozrósłby się do niemożliwych rozmiarów. Jeżeli chodzi o „deflorację” Szwajcarii, która tak Pana zabolala, to radzimy zapoznać się z ogłoszonym 7 maja raportem rządu amerykańskiego (oraz z podobnymi dokumentami pochodzenia francuskiego i brytyjskiego), po ich przeczytaniu nie będzie Pan już mógł mieć żadnych złudzeń, co do rozmiaru grzechu, który doprowadził do tej szokującej operacji.

Maciej F., *Polska* – Z przekładu nie skorzystamy. Klasyczny sonet – z takim mamy tu do czynienia – ma następujący układ rymów: abba baab cdc dcd – tak też jest w oryginale.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH
Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wydawca: INSTITUT LITERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1997.

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1997			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 499 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUDZIESTY

zawiera opracowania: T. Bujnicki: *Wilno: tradycje historyczne, kulturowe i literackie jako czynniki formujące świadomość narodową polskiej mniejszości na Litwie*; A. Pukszt: *Ostatnie chwile Rektora Stefana Ehrenkreutza i USB*; K. Bieniecki: *Raporty brytyjskich lotników o Polsce*; K. Styś: „Burza” i „Deszcz” na terenie obwodu AK Kozienice; W. Andruszkiewicz: *Holocaust w Ejszyskach*; L. Tomaszewski: *Kedyw w okręgu wileńskim Armii Krajowej*; R. Czyżewski: *Obóz pracy „Dora”*; H. Czermińska-Żelaźniewiczowa: „Urszula”: *Ludzie z „Zagajnika” 1942-1944*; T. Mianowicz: *Instrukcje dla bratniej partii: Rozmowy Andrieja Gromyki w Warszawie przed IX Zjazdem PZPR*; T. Wyrwa: *Miscellanea tomu XXI londyńskich Tek Historycznych*; B. Berdychowska: *Sojusz Piłsudski – Petlura*; A. Pasternak: *3 Maja 1946 roku w Krakowie*; POLEMIKI: Zarząd Koła Pułku 4. Pancernego „Skorpion”, Z.J. Starostecki, E. Głowacki i A. Ziółkowska-Boehm: *Listy dotyczące wywiadu przeprowadzonego przez p. A. Ziółkowską-Boehm z Z.J. Starostecim oraz LISTY DO REDAKCJI i SPROSTOWANIA.*

Str. 240

Cena F. 90,00